

Donosem i pałką

Z działań Służby Bezpieczeństwa
na Górnym Śląsku
i w Zagłębiu Dąbrowskim
w latach 1956-1980



IPN KATOWICE



Donosem i pałką

Z działań Służby Bezpieczeństwa na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim w latach 1956-1980

pod redakcją
Adama Dziuby



© Copyright by Oddział Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu & PPHU Drukpol sp.j., Katowice 2008

Recenzenci

prof. dr hab. Ryszard Kaczmarek

dr Adam Dziurok

Korekta

Monika Rosenbaum

Projekt logo serii

Bogusław Nikonowicz

Skład i łamanie

Bogusław Nikonowicz

Druk

PPHU Drukpol sp.j.

Tarnowskie Góry, Kochanowskiego 27

Na okładce wykorzystano fotografie ze zbiorów Archiwum Państwowego w Katowicach

ISBN 978-83-8098-293-2

Wydawca

PPHU Drukpol sp.j.

Tarnowskie Góry, Kochanowskiego 27

Wstęp

Lata 1956-1980 to okres, w którym rządy w Polsce Ludowej sprawowały ekipy Władysława Gomułki (1956-1970) i Edwarda Gierka (1971-1980). W województwie katowickim czas ten nie obfitował w dramatyczne wydarzenia. Wylączając końcówki rządów obydwu pierwszych sekretarzy, było na ogół spokojnie. Dekada lat 60. upłynęła pod znakiem ekonomicznego zastój, na tle którego województwo katowickie zarządzane przez Edwarda Gierka jako I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, pozytywnie się wyróżniało. Zindustrializowany do granic możliwości region, gdzie skoncentrował się przemysł energetyczny i maszynowy, określany był mianem „polskiej Katangi” i nawet w siermiężnych czasach Gomułki traktowano go w specjalny sposób. Początek kolejnej dekady niósł nadzieję na polepszenie sytuacji. Pierwsze lata władzy nowego I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR zwane są niekiedy okresem rządów tzw. „technokratów”. Były to czasy „przyspieszenia”, krótkotrwałej socjalistycznej prosperity, do dzisiaj wspomniane przez wielu z nostalgią, jako okres wzmożonej konsumpcji i dobrobytu. Przyszło jednak za nie niebawem zapłacić kryzysem ekonomicznym, z którym komunistyczna władza nie poradziła sobie już do końca swych rządów.

Ówczesny system polityczny na tyle różnił się od wcześniejszego totalitaryzmu w stalinowskim wydaniu, że wielu współczesnym badaczom wydaje się nietotalitarną formą komunistycznej dyktatury, zbliżoną do rządów autorytarnych. Zaś mieszkańcy Polski, którzy legitymowali gomułkowski socjalizm w wyborach w 1957 r., uważali go za ustrój, w którym da się w miarę normalnie żyć. Tym bardziej, że nie widzieli dla niego alternatywy. Dwubiegunowy podział świata, w którym demokratyczne kraje zachodnie rywalizowały z „obozem socjalistycznym” kierowanym przez ZSRS wydawał się trwały i niezmienny. Nic zatem dziwnego, że do masowych protestów przeciwko

komunistycznej władzy nie dochodziło zbyt często. Zresztą w gwałtownych kulminacjach społecznego niezadowolenia mieszkańcy Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego udziału nie brali, wyłączając protesty studenckie z 1968 r. W 1970 i 1976 r. województwo katowickie jawiło się wręcz jako oaza spokoju na tle regionów, w których doszło do strajków i zamieszek.

Wydać się zatem może, że w niekonfliktowym i pracowitym województwie zarządzanym przez „dobrotliwego” Gierka i jego następcę Zdzisława Grudnia, aż do 1980 r. Służba Bezpieczeństwa nie miała wielkiego pola do popisu. Tym bardziej, że odeszła pozornie daleko od wzorców funkcjonowania stworzonych przez swego poprzednika – Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego – i nie podejmowała prób totalnej kontroli społeczeństwa.

Po zmianach systemowych lat 1954-1956 zreorganizowana lokalna bezpieka ukierunkowana została na kontrolę zakładów przemysłowych, walkę z Kościołem katolickim i zagrożeniami stwarzanymi przez potencjalne działania obcego wywiadu lub przeciwników systemu. Opozycji jednak w województwie katowickim do 1977 r. praktycznie nie było, podobnie jak masowych akcji strajkowych czy innych manifestacji niezorganizowanego oporu społecznego. Ludzie bez szemrania brali udział w zrytualizowanym życiu politycznym i zazwyczaj nie sprawiali władzy kłopotów. SB mogła się zatem – teoretycznie – skoncentrować na walce z Kościołem katolickim, prowadząc ograniczone działania profilaktyczne przeciwko potencjalnym przeciwnikom ustroju i mobilizując od czasu do czasu aparat bezpieczeństwa przy okazji akcji specjalnych – tych zwyczajnych, związanych z zabezpieczeniem przebiegu kampanii politycznych aranżowanych przez komunistyczne władze (wynikających np. z kalendarza wyborczego), jak i nadzwyczajnych, które były wynikiem niepokoju mających swe źródło w sytuacji międzynarodowej czy też wewnętrznej.

Jednak obraz, w którym w województwie katowickim PZPR rządzi, ludzie są jej posłuszni, a SB wyłapuje wyłącznie tych, którzy starają się ten układ zaburzyć, jest z gruntu fałszywy. Aparat bezpieczeństwa, choć nie tak aktywny jak w latach 1945-1956, nadal starał się sprawować totalną kontrolę nad społeczeństwem i wieloma przejawami jego życia. Realizował przy tym zadania, które zlecał mu aparat partyjno-państwowy, będąc jednocześnie swoistym „krzywym zwierciadłem” deformującym i wyolbrzymiającym fobie, na które cierpiała władza.

Gomułkę i jego ekipę cechowała posunięta do granic aberracji szpiegomania. W jej świetle osoby przybywające z zachodnich państw demokra-

tycznych były na ogół agentami „dywersyjnych ośrodków”, dostarczającymi swym zakamuflowanym mocodawcom amunicji w postaci informacji, mogących deprecjonować komunistyczne porządki w Polsce i przyczynić się do prób ich zdestabilizowania. Chodziło przy tym bardziej o banalne wiadomości na temat życia codziennego Polaków, niż o *stricte* szpiegowskie dane dotyczące produkcji przemysłowej czy spraw wojskowych. Najważniejsze było zatem kontrolowanie kontaktów Polaków z obcokrajowcami i panowanie nad przekazywanymi w ich trakcie treściami. Istotne było również zapobieganie szerzeniu się negatywnych opinii wśród przybyszów z Zachodu, poprzez tworzenie na użytek zagranicznych gości prawdziwie potiomkinowskich iluzji polskiej rzeczywistości. SB angażowała się nie tyle w kreowanie ułudy, co dogłębne, by obcokrajowcy przypadkiem nie przeniknęli poza lukrowną fasadę. Paradygmatowi, że zagraniczni goście na wszelkie sposoby przyczyniają się do wzmożenia walki ideologicznej w dwubiegunowym świecie Wschód-Zachód, władza pozostała wierna także w latach rządów Gierka. SB nadal tropiła więc szpiegów i jeszcze bardziej pilnowała, by Zachód widział w Polsce prężny i nowoczesny kraj zadowolonych ludzi.

Górny Śląsk połączony rozlicznymi więzami z mieszkańcami Republiki Federalnej Niemiec jawił się jako obszar szczególnie wzmoczonej penetracji „wrogich ośrodków”. Przy tym zagadnienie aktywności obcych wywiadów, w rozumieniu SB, spletało się na jego terenie w sposób nierozzerwalny z pro-niemieckimi sympatiami części społeczeństwa, co na potrzeby propagandy połączono z tzw. rewizjonizmem zachodnioniemieckim, czyli rzekomym dążeniem RFN do przywrócenia granic sprzed II wojny światowej. Operacje kontrwywiadowcze i walka z rewizjonizmem stały się, obok zwalczania wpływów Kościoła katolickiego, pierwszoplanowymi kierunkami działań katowickiej SB w latach 1956-1980. Nie zaniebdywano oczywiście i innych potencjalnych zagrożeń, np. stwarzanych przez studentów po 1968 r. Jednak triada: zabezpieczenie kontrwywiadowcze, rewizjonizm i walka z katolicyzmem dominowała w sprawach prowadzonych przez bezpiekę i przewijała się przez nie w różnych proporcjach.

Tom, który pragniemy zaprezentować czytelnikowi, poświęcony jest mało znanym działaniom katowickiej SB w latach 1956-1980. Autorom chodziło o popularne ujęcie tematu; pragnęli zarysować pewne problemy i przedstawić ciekawsze sprawy w sposób mogący zainteresować czytelników nie parających się historią zawodowo. Poszczególne artykuły nie składają się jednak

na pełny obraz działań katowickiego aparatu bezpieczeństwa i nie roszczą sobie prawa do syntetycznego i wyczerpującego ujęcia tematu.

Istotą opracowania jest ukazanie form aktywności lokalnej bezpieki w ramach zarówno pierwszoplanowych, jak i drugorzędnych kierunków działania. Autorzy poszczególnych artykułów, oprócz starannej charakterystyki zamierzeń SB w opisywanej sprawie, starali się także ukazać absurdalność niektórych sytuacji i niezamierzoną tragifarsę podejmowanych przez funkcjonariuszy przedsięwzięć. Oczywiście *toutes proportions gardées*: jeśli były działania operacyjne (niejawne), były także ich ofiary. Dlatego często farsa spletała się z tragedią.

Dobrym wprowadzeniem do świata nonsensów PRL jest opracowanie Bogusława Tracza podejmujące temat kompleksowych zabiegów władz mających na celu wyeliminowanie z rynku mięsnego nieprawidłowości. Była to jednak walka z góry skazana na przegraną; w warunkach oderwanej od rzeczywistości ekonomiki realnego socjalizmu mięsa notorycznie brakowało, a ludzie przedsiębiorczy bogacili się wykorzystując tę przypadłość ustrojową. Usiłowania Milicji Obywatelskiej, SB i organów prokuratury o to, by na rynku mięsnym nie dochodziło do oszustw, przypominały bój z wiatrakami.

Kolejny syntetyczny artykuł opisuje długotrwałe zabiegi SB zmierzające do wykorzenia na Górnym Śląsku postaw proniemieckich nazywanych „niemieckim rewizjonizmem”. Aresztowania, grzywny, wielokrotne napomnienia i próby zohydzenia Niemiec Zachodnich okazywały się jednak mało skuteczne. Zwłaszcza w warunkach cudu gospodarczego, jaki od początku lat 50. XX w. przeżywała RFN. Racjonalnym rozwiązaniem tego problemu mogła być rezygnacja ze zwalczania śpiewów i rozmów w języku niemieckim czy ściągania rysowników swastyk w szkolnych zeszytach, zaś rewolucyjnym byłoby otwarcie granic, ale przed tym, ze względów systemowych, władze się wzbraniały. Pozostawały zatem metody opisane przez Sebastiana Rosenbauma.

Następny artykuł dotyczy operacji SB związanych z wizytami znamienitych politycznych gości. Adam Dziuba przedstawił sposób, w jaki SB przygotowywała się do przyjazdu Nikity Chruszczowa i jak doszło do blamażu służby, czyli wybuchu bomby na trasie, oraz półtorarocznego, nieskutecznego śledztwa prowadzonego w celu ustalenia sprawcy. Na uwagę zasługuje fakt, iż katowicka bezpieka znacznie bardziej od zamachu obawiała się antyradzieckich demonstracji, toteż skupiła się na drobiazgowej kontroli trasy pod tym właśnie kątem. Zamachowiec został ujęty dopiero w 1961 r., gdy powtórzył

swój wyczyn, detonując bombę przy drodze, którą miał podróżować Władysław Gomułka.

Kolejne artykuły dotyczą spraw mniejszego kalibru, ale doskonale charakteryzują metody pracy SB i jej obsesyjne zachowania wobec osób podejrzewanych o różne nieczne zachowania. Adam Dziuba opisał kilkuletnią akcję przeciwko osobie podejrzewanej o szpiegostwo na rzecz USA, głównie z powodu przywiezienia z RFN cennego telewizora. Łucja Marek przedstawiła kilka przypadków, którymi aparat bezpieczeństwa zajął się po nielegalnym przejściu prywatnej korespondencji. Enigmatyczne sformułowania zawarte w listach stanowiły pożywkę dla funkcjonariuszy podejrzewających ich autorów o antypaństwową działalność lub szpiegostwo. Artykuł Moniki Bortlik przybliżył próby ucieczek z komunistycznego raju. Zbiegowie, nie mając szans na opuszczenie PRL drogą legalną, zdecydowali się na niebezpieczną eskapadę w wagonach z eksportowanym na Zachód karbidem. Grzegorz Bębniak opisał z kolei sprawę, w której ze szczebla Ministerstwa Spraw Wewnętrznych podjęto działania przeciwko człowiekowi piszącemu listy do Radia „Wolna Europa”. SB, opierając się na przejętej korespondencji, zwietrzyła wówczas niebezpieczeństwo ze strony rzekomej antykomunistycznej organizacji.

Tomasz Kurpierz, powracając do wątku wizyt „na najwyższym szczeblu”, scharakteryzował przedsięwzięcia związane z przyjazdem na Góry Śląsk prezydenta Francji Charlesa de Gaulle’a w 1967 r. Warto podkreślić, że SB znacznie więcej zabiegów poświęciła temu, by mieszkańcy województwa katowickiego przypadkiem nie zdradzili się z niechęcią do ustroju i ZSRS, a zabezpieczenie przed możliwością zamachu potraktowała rutynowo i marginalnie. W wypadku de Gaulle’a okazało się to jednak wystarczające.

Następny szkic poświęcony jest monitorowaniu przez SB zachowań studentów w czasie wakacji. Po burzliwych wydarzeniach marca 1968 r. władze państwowe uznały za słuszne edukowanie młodzieży studenckiej, także poprzez zapoznawanie jej z trudem pracy fizycznej. Tej specyficznej „nauce” służyła instytucja Studenckich Praktyk Robotniczych. Ponieważ żak z definicji był osobnikiem podejrzanym, SB bardzo ciekawiło zachowanie grup studenckich w czasie praktyk i ich interakcje z robotnikami.

Obawy przed antysystemowymi wystąpieniami cechowały przygotowania do obsługi imprez z udziałem gości zagranicznych. Starano się zresztą zapobiec nie tylko antykomunistycznym czy rewizjonistycznym wypowiedziom, ale także przekazywaniu nawet błahych informacji przybyszom zza zachod-

niej granicy. Im zaś starano się uniemożliwić ewentualne próby działań wywiadowczych oraz poznanie polskiej rzeczywistości, utrudniając kontakty z mieszkańcami Polski. SB miała więc odpowiedzialne zadanie dopilnowania, by zagraniczni goście nie wwieźli do Polski żadnych niebezpiecznych przedmiotów i idei, a wywieźli tylko lukrowany obraz naszego kraju i ewentualnie wyroby rękodziela kupione w „Cepeli”. W tej konwencji Ryszard Mozgól opisał Międzynarodową Wystawę Gołębiarską z 1969 r., Michał Szyrkiewicz Mistrzostwa Świata i Europy w Hokeju na Lodzie w 1976 r., zaś Dariusz Węgrzyn Międzynarodowy Festiwal Teatrów Lalkowych, który odbył się w Białymstoku-Białej również w 1976 r.

Czytelnik nie znajdzie w prezentowanym opracowaniu artykułów poświęconych walce aparatu bezpieczeństwa z Kościołem katolickim. Autorzy przyjęli założenie, że opiszą słabo znane kierunki aktywności SB w latach stabilizacji systemu, a działania SB przeciwko instytucjom kościelnym i klerowi do takich nie należą. Powstało już kilka znaczących prac naukowych, a także liczne artykuły popularnonaukowe poświęcone tej problematyce.

I ostatnia uwaga: być może czytelnik, wglębiając się w tajniki operacji SB, zdziwi się, że aż tak wiele w nich nielogiczności, a nawet groteski. Pamiętać jednak trzeba o tym, że zadania dla aparatu bezpieczeństwa wyznaczały władze partyjne, ich obsesje przekładały się zaś na pracę bezpieki. Ta sumiennie wykonywała swoje zadania, bo wszak tego od niej oczekiwano. Inna sprawa, że przy ich realizacji grzeszyła nadgorliwością, jednakże to również mieściło się w logice systemu, który oczekiwał nie tylko posłuchu, ale i entuzjazmu wobec najdziwniejszych inicjatyw jego decydentów.

Adam Dziuba

Bogusław Tracz

Na froncie walki o „masę mięsną”

Latem 1994 r. na ekrany niewielkich kin studyjnych w Polsce wszedł film krótkometrażowy pt. „Mięso”. Reżyserem i autorem scenariusza tej półgodzinnej etiudy filmowej był Piotr Szulkin, który z ironią przedstawił skróconą wersję historii Polski Ludowej. Nie bez pewnej dozy słuszności i oparcia w faktach uczynił on sprawą kluczową swojego spojrzenia na dzieje PRL-u właśnie brak „masy mięsnej” i wędlin na rynku. Jeden z bohaterów na samym początku filmu wypowiada zdanie: „Mięso jest nierozzerwalnie związane z najnowszą historią Polski”. Stwierdzenie to tylko pozornie brzmi niedorzecznie. Obecność „kwestii mięsnej” w życiu gospodarczym, politycznym i społecznym w Polsce Ludowej nie ograniczała się jedynie do zagadnień spożycia i dystrybucji. Gwałtowność reakcji społecznych, które towarzyszyły próbom ograniczenia spożycia mięsa, jak i decyzje w tym zakresie poszczególnych ekip rządzących, potwierdzają tezę o istotnym znaczeniu jego dostępności, zasad podziału i dystrybucji, jako jednego z istotnych kryteriów oceny polityki władz.

Mięso było zawsze towarem cennym i poszukiwanym. Jako źródło wysokowartościowego, łatwo przyswajalnego białka, tłuszczu i węglowodanów wyróżnia się ono szczególnie dużą jakością odżywczą. Dla pracowników fizycznych, górników, hutników stanowiło (i stanowi) cenne uzupełnienie diety. Jednak jeszcze w połowie XIX w. jadano go niewiele i bardzo nieregularnie, głównie w święta. Rozwojowi przemysłu wydobywczego i ciężkiego towarzyszyły kolejne fale osadnictwa, a wraz z nimi zmiany nawyków kulinarnych. W górnośląskich miastach dość szybko pojawiły się jatki i targi mięsne, choć jeszcze długo mięso uchodziło za towar luksusowy i w zasadzie jadano je raz w tygodniu, najczęściej w niedzielę. Na początku XX w. spożycie mięsa na jednego mieszkańca Górnego Śląska wynosiło ok. 35 kg rocznie, przy czym większość z tego konsumowali utrzymujący dom mężczyźni, a kobiety i dzieci musiały zadowolić się ziemniakami i potrawami zbożowymi. W okresie międzywojennym spożycie mięsa i jego przetworów nieustan-

nie rosło, ale w zasadzie nie przekroczyło 40 kg rocznie na osobę. Kulinarnym kompromisem pomiędzy potrawami zbożowymi a mięsem były popularne śląskie krupnioki (zwane poza Śląskiem kaszanka), które na stałe weszły do robotniczego menu. Ceniono sobie także tańsze, a równie kaloryczne podroby i uzyskiwany domowym sposobem smalec. W okresie międzywojennym za zaopatrzenie aglomeracji górnośląskiej w produkty mięsne po obydwu stronach granicy odpowiadały liczne ubojnie, rzeźnie i drobne zakłady produkcyjne, które znajdowały się w rękach prywatnych. W latach 30. XX w. polscy i niemieccy producenci mięsa systematycznie zwiększali swoją ofertę, a miejsce niewielkich masarni zaczęły zajmować duże zakłady, których możliwości przerobowe wciąż powiększano.

Wojenna zawierucha zniszczyła górnośląski przemysł mięsny. W końcowym okresie wojny większość produkcji przeznaczano na potrzeby armii. Zarówno wycofujący się Wehrmacht, jak i wkraczająca na Górny Śląsk Armia Czerwona, rekwirowały inwentarz żywy. Większość wyposażenia rzeźni i zakładów mięsnych znajdujących się po niemieckiej stronie Górnego Śląska została doszczętnie ograbiona przez zwycięzców, a znajdujące się w nich urządzenia wywieziono jako jedno z wielu trofeów wojennych do Związku Sowieckiego lub po prostu zniszczono. Przedstawiciele polskiej administracji przejmujący wiosną 1945 r. pod swą władzę cały obszar aglomeracji przemysłowej stanęli w obliczu ogromnych problemów aprowizacyjnych.

Początkowo, w 1945 r., zezwolono na częściowe przywrócenie systemu gospodarczego opartego na wzorcach przedwojennych. Większa część produkcji, dystrybucji i handlu mięsem znalazła się znów w rękach prywatnych. Jednocześnie wspierano tworzenie konkurencyjnych spółdzielni handlowych i rozbudowywano Państwową Centralę Handlową. W latach 1947-1949 dokonano unifikacji i centralizacji handlu i produkcji, a państwo przejęło nadzór nad większością zakładów.

Przejęcie przez instytucje państwa nadzoru nad handlem i gospodarką spowodowało ogromne upolitycznienie tych sfer życia społeczno-gospodarczego. Jeszcze w listopadzie 1945 r. powołano Komisję Specjalną do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym. W obszarze zainteresowań jej pracowników mieściły się także osoby spekulujące mięsem. W jej działania często ingerowały „czynniki zewnętrzne” – partia, Urząd Bezpieczeństwa i władze sądownicze. Osoby podejrzane o nielegalny ubój czy handel mięsem znalazły się w kręgu uwagi bezpieki.

Utrzymujący się permanentnie niedobór mięsa na rynku zachęcał do różnego rodzaju nadużyć. Z punktu widzenia rozwiązań prawnych ich zwalczaniem, po likwidacji Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym, zajmować się miała Milicja Obywatelska. Jednak w obliczu wagi problemu wspomagały ją: prokuratura, Służba Bezpieczeństwa, inspektoraty kontrolno-rewizyjne przy prezydiach Wojewódzkich Rad Narodowych, Państwowa Inspekcja Handlowa, urzędy celne oraz organy administracji finansowej prezydiów miejskich i powiatowych Rad Narodowych. Innym słowy, w działania zmierzające do wykrycia tzw. „kombinacji mięsem” zaangażowano wiele instytucji powołanych zarówno do zwalczania przestępczości, jak i ochrony bezpieczeństwa państwa, inwigilacji obywateli oraz władzę lokalną i przedsiębiorstwa państwowe.

Dużą wagę przywiązywano do propagandowej otoczki „bitwy o mięso”. Co jakiś czas zarówno w „Trybunie Robotniczej”, jak i w „Dzienniku Zachodnim”, ukazywały się relacje z frontu walki przeciwko prawdziwym i domniemanym złodziejom mięsa i spekulantom.

W kwietniu 1956 r. na posiedzeniu Egzekutywy Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Stalinogrodzie (jak nazywały się wówczas Katowice) postanowiono omówić z tutejszym Prezesem Sądu Wojewódzkiego nieprawidłowości „na odcinku mank i nadużyć” oraz problem wzrostu przestępczości w handlu. Postulowano, by o skali i zakresie wszelkich nieścisłości oraz środkach zaradczych informowano na bieżąco wojewódzkie, miejskie i gminne władze partyjne. W poszczególnych sklepach znienacka organizowano kontrole. W trakcie jednej z nich ustalono m.in., że sprzedawczyni w sklepie mięsnym w Piotrowicach sprzedawała gatunkowo gorszą kielbasę śląską jako kielbasę rzeszowską, a kielbasę cytrynową jako kielbasę szynkową. Ponadto kości płaskie wołowe i kości wieprzowe, które w sprzedaży detalicznej kosztowały jeden zł za kilogram, oferowano trzykrotnie drożej.

Obraując w marcu 1958 r. XI Plenum Komitetu Centralnego PZPR wyznaczyło jako zadanie do realizacji „ugruntowanie ładu i porządku w zakładach pracy oraz usunięcie hamulców wzrostu wydajności pracy i obniżenia kosztów produkcji jako element walki o wzrost dochodu narodowego i o stworzenie realnych możliwości szybszego wzrostu stopy życiowej mas pracujących”. Jednak w sklepach straszyły pustki i wciąż brakowało towaru. Jednocześnie funkcjonował „czarny rynek”, na którym można było kupić prawie wszystko, a przynajmniej to, czego brakowało w państwowych skle-

pach. Postanowiono więc powrócić do sprawdzonych metod sprzed 1956 r. W Zakładach Mięsnych powołano do istnienia zakładowe „komisje do walki ze spekulacją”, w skład których weszli członkowie partii. Np. w gliwickich Zakładach Mięsnych członkowie takiej komisji uczestniczyli w odprawach straży przemysłowej i brali udział w kontroli osobistej pracowników oraz wozów wyjeżdżających z towarem. Skutkiem ich działań było wykrycie osób, które wynosiły towar z terenu wytwórni. Zwolniono dziewięciu pracowników i wymieniono wszystkich magazynierów.

W październiku 1959 r. powołano Inspektorat do Walki z Nadużyciami w Gospodarce Mięsnej przy Komendzie Wojewódzkiej MO w Katowicach. W jego prace zaangażowanych zostało pięciu oficerów milicji. Cała piątka została wcześniej zatwierdzona przez Egzekutywę Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Przed Inspektoratem postawiono następujące zadania: ujawnianie i zwalczanie przestępstw dokonywanych w procesie skupu i obrotu zwierzętami rzeźnymi i hodowlanymi, ujawnianie i zwalczanie nielegalnego handlu żywcem i mięsem oraz ujawnianie i zwalczanie przestępstw w zakładach przetwórstwa mięsnego. Na początku postanowiono oddelegować pracowników Komendy Wojewódzkiej MO do Komend Powiatowych i Miejskich w celu zapoznania funkcjonariuszy terenowych ze specyfiką pracy operacyjnej „na mięsie”. Jednostkom milicji, na terenie których znajdowały się zakłady i przetwórnie mięsne, narzucono obowiązek działań prewencyjnych określonych jako „system blokad dla odstraszenia od kradzieży” oraz przygotowywanie kontrolowanych zasadzek na złodziei. Przykładowym działaniem Inspektoratu była trzydniowa akcja, którą przeprowadzono w dniach 17-20 października 1959 r. W tym okresie Inspektorat został wzmocniony wszystkimi pracownikami Wydziału IV Komendy Wojewódzkiej MO w Katowicach oraz wytypowanymi funkcjonariuszami komend miejskich. Pod okiem milicji przeprowadzono remanenty w sklepach i przetwórniach mięsnych oraz dokonano sprawdzenia wcześniejszych kontroli. W ciągu następnych dni skonkretyzowano zakres dalszych działań Inspektoratu i wytypowano 802 osoby, które określono jako „zasadniczy element zagrożenia o działalność przestępczą w mięsie”. Wśród nich znaleźli się m.in. chłopcy, rzeźnicy, pracownicy Zakładów Mięsnych i przetwórni – przeważnie konwojenci i magazynierzy. Postanowiono, że do każdego dużego zakładu mięsnego zostanie „przywiązany” jeden pracownik operacyjny. Wzmocnione siły Inspektoratu miały od tej pory kontrolować magazyny, transporty do placówek handlo-

wych oraz doglądać cyklu produkcyjnego, zwłaszcza w zakładach, z których docierały informacje o działalności przestępczej, a w których zauważono, że pewne osoby afiszowały się stanem posiadania nieadekwatnym do zajmowanego stanowiska i zarobków. W ciągu pierwszego miesiąca działania Inspektoratu wszczęto 158 spraw.

W Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach zachowały się zbiorcze opracowania poszczególnych afer gospodarczych z terenu województwa, które sporządzano pod koniec lat 70. na podstawie oryginalnych materiałów archiwalnych zgromadzonych w Wydziale „C” Komendy Wojewódzkiej MO w Katowicach. Trudno dziś dokładnie określić, jak duże było zaangażowanie katowickiej bezpieki w działania mające przeciwdziałać nielegalnej produkcji i spekulacji mięsem. W kontekście „walki z nieprawidłowościami na rynku masy mięsnej” Służba Bezpieczeństwa zajmowała szczególną rolę, lecz nie główną i nie jedyną. Należy pamiętać, że po 1954 r. bezpieka przeszła szereg zmian i restrukturyzacji oraz znacznie ograniczono liczbę funkcjonariuszy. Na początku lat 60., wraz z nową instrukcją operacyjną dotyczącą pracy SB, ukształtował się zakres spraw, które od tej pory pozostawały w zainteresowaniu bezpieki. Do najważniejszych należały m.in.: działalność kontrwywiadowcza, walka z rewizjonizmem zachodnioniemieckim, zwalczanie wszelkiej aktywności antysocjalistycznej, ograniczenie działalności i wpływu Kościoła oraz nieprawidłowości w gospodarce. SB prowadziła niekiedy również sprawy o „przestępstwa przeciwko własności społecznej”, pod warunkiem, że wynikały one ze spraw wchodzących w zakres działań bezpieki lub zachodziło podejrzenie, że popełniają je osoby o wrogim nastawieniu do ustroju socjalistycznego. Była to raczej „poboczna” sfera zainteresowań bezpieki, wynikająca z nakładania się na siebie kompetencji SB, MO i organów kontroli oraz z zakresu prowadzonych innych działań operacyjnych. Na przykład w zakładzie, w którym wykryto aferę gospodarczą, a gdzie wcześniej prowadzono już rozpracowanie środowiska pracowniczego, np. ze względu na działalność „rewizjonistyczną”, sprawę przejmowała Służba Bezpieczeństwa w obawie, że zaangażowanie osób trzecich mogłoby doprowadzić do utraty dotychczas pozyskanych konfidentów i załamania się prowadzonych spraw. Podobnie niektóre afery gospodarcze stanowiły pokłosie działań operacyjnych w zupełnie innej sferze, a obawa przed dekonspiracją powodowała, że Służba Bezpieczeństwa wołała samodzielnie prowadzić dochodzenie i dążyć do wykrycia sprawców. Ponadto w przestępstwach go-

spodarczych często brali udział członkowie partii, funkcjonariusze lokalnej administracji, dyrektorowie zakładów oraz osoby o szerokich koneksjach i znajomościach wśród partyjnego *establishmentu*. Przepuszczalnie również z tego względu niektóre ze spraw interesowały SB.

Podobnie jak pozostała praca operacyjna bezpieczeństwa, również przestępstwa gospodarcze i tzw. „typu aferowego” rozpracowywano za pomocą osobowych źródeł informacji. Szczególną uwagę zwracano na zawód lub zajęcie osoby pozyskiwanej do współpracy agenturalnej. Poszukiwanymi współpracownikami byli zwłaszcza: konwojenci, kelnerzy, sprzedawcy sklepowi, dozorczy, stróże, taksówkarze. Ponieważ słusznie podejrzewano, że „przeciuki” towaru następują na styku produkcji państwowej i drobnego handlu prywatnego oraz prywatnej produkcji i usług, starano się zwerbować czeladników i uczniów zatrudnionych u prywatnych producentów lub osoby zajmujące się pośrednictwem w handlu i usługach. Celem pracy operacyjnej było również pozyskiwanie właścicieli prywatnych punktów sprzedaży na bazarach i prywatnych producentów. Szczególną uwagę przywiązywano do roli tajnych współpracowników w rozszyfrowywaniu dużych grup działających w sposób zorganizowany, których członkowie maskowali się fikcyjnymi lub sfalszowanymi dokumentami. W takim przypadku zalecano proponowanie współpracy osobom tkwiącym w grupie, najlepiej cieszącym się zaufaniem danego środowiska.

„Bitwa o mięso” na terenie województwa katowickiego zaczęła wchodzić w swą główną fazę w drugiej połowie lat 50. i osiągnęła apogeum w latach 1964-1965. Na terenie województwa funkcjonowało wówczas dziesięć dużych zakładów mięsnych, kilkadziesiąt mniejszych przetwórni, 210 masarni i 143 punkty skupu żywca. Dystrybucją mięsa zajmował się Miejski Handel Mięsem oraz, w mniejszym stopniu, Miejski Handel Detaliczny.

W większości nadużyć w zakładach przemysłu mięsnego wykorzystywano fakt, że przetwarzany tam surowiec był niejednorodny i mógł stosunkowo szybko zmieniać swą wagę. Należy pamiętać, że od tucznika do kotleta schabowego droga jest długa, a masa mięsna w poszczególnych fazach produkcji podlega różnym zabiegom, jak np. spuszczenie krwi, wyciskanie soków, rozkruszanie, oddzielanie kośćca itd. Również żywiec przeznaczony do uboju był niejednakowej jakości, co wynikało z różnorodności ras i metod tuczenia. Odpowiednie normy i wskaźniki zakładały w tym przypadku nawet kilkuprocentową tolerancję, co m.in. stanowiło podstawę do wypracowywania „nadwyżek”. Sztuczny przyrost wagi wędlin uzyskiwano przez dodawanie do

mięsa nadmiernej ilości wody, soli i tłuszczu oraz przez podmianę w procesie produkcyjnym szlachetnych rodzajów mięsa na gorsze jakościowo. Z kolei w handlu okazję do nadużyć stanowił fakt, że w większości przypadków sklepy otrzymywały mięso w tuszach, półtuszach i ćwierćtuszach, które dopiero w sklepie lub na jego zapleczu rozbierano na mniejsze elementy. Wykorzystywano również tzw. ubytki naturalne związane z wysychaniem mięsa i wędlin w trakcie sprzedaży. Choć w praktyce towar nie miał czasu się zeschnąć, to teoretycznie od rzeczywistej wagi sprzedawanych wyrobów można było odjąć odgórnie ustaloną normę owych ubytków. Bardzo często podmieniało gatunki, sprzedając gorsze jakościowo mięso i wędliny jako lepsze. Poza tym zdarzało się, że część mięsa „wyprowadzono” ze sklepów do warsztatów wędliniarskich, tam przerabiano je na wędlinę i następnie sprzedawano po wyższych cenach, bez stosownych faktur i rachunków. Wreszcie oszukiwano bezpośrednio na sprzedaży, a to przez rozregulowanie wag lub szybkie, niechlujne ważenie i stosowanie przez personel sklepowy własnych, często wręcz fantastycznych przeliczników.

W 1960 r. aresztowano sześciu pracowników Przedsiębiorstwa Obrotu Zwierzętami Hodowanymi w Bytomiu i jego gliwickiego oddziału, którym zarzucono, że działając w grupie przestępczej zagarnęli sumę ok. 2 125 tys. zł. Była to na owe czasy kwota oszałamiająca. W latach 1961-1964 górnik zarabiał średnio 3090 zł i były to najwyższe zarobki w gospodarce społecznej (np. w leśnictwie otrzymywano wówczas 1377 zł miesięcznie). Głównym oskarżonym był starszy inspektor zatrudniony w tej firmie, który sporządzał protokoły fikcyjnych zakupów warchlaków. Na ich podstawie rzekomi dostawcy pobierali w Kasach Spółdzielczych pieniądze, którymi następnie cała szóstka dzieliła się między sobą. Kasy Spółdzielcze wypłaconymi kwotami obciążły Przedsiębiorstwo Obrotu Zwierzętami Hodowanymi w Bytomiu sumą 1 796 tys. zł, a gliwicki oddział firmy sumą prawie 550 tys. zł. Sprawę prowadził Wydział IV i Wydział Dochodzeniowy KW MO w Katowicach. Proces przed Sądem Wojewódzkim w Katowicach zakończył się w styczniu 1962 r. Szef grupy przestępczej skazany został na 15 lat więzienia i 300 tys. zł grzywny oraz przepadek mienia w całości, a pozostali otrzymali kary od ośmiu do trzech lat pozbawienia wolności.

Tylko na przestrzeni jednego, 1963 r., na terenie województwa katowickiego wszczęto: 64 dochodzenia w sprawie nadużyć w skupie zwierząt oraz o nielegalny ubój i handel mięsem, 291 dochodzeń w związku z kradzieżami

w Zakładach Mięśnych oraz 51 dochodzeń o nadużycia i spekulacje w detalicznym handlu mięsem. Aresztowano 35 osób. Ponadto skierowano do Kolegiów Karno-Administracyjnych Prezydiów Rad Narodowych 22 wnioski o ukaranie. Dodatkowo, w związku z prowadzonymi dochodzeniami, zajęto 4476 kg mięsa i przetworów mięśnych, 104 skóry bydłce, 530 m jelit i 2000 kg paszy. Między innymi przeprowadzono dochodzenie przeciwko komendantowi Straży Przemysłowej Zakładów Mięśnych w Częstochowie oraz trzem podległym mu strażnikom, którzy pobierali systematycznie łapówki w kwocie 10-20 zł od pracowników wynoszących kradzione mięso i wędliny z częstochowskich Zakładów Mięśnych. Jak ustalono w trakcie dochodzenia, komendant za otrzymane łapówki zakupił parcelę, na której wybudował dom i umeblował komfortowo mieszkanie. Wyrokiem sądu powiatowego w Częstochowie skazano go na pięć lat więzienia i 25 tys. zł grzywny. Natomiast pozostali trzej strażnicy otrzymali karę trzech lat pozbawienia wolności i po 10 tys. zł grzywny każdy. Z kolei w Zakładach Mięśnych w Gliwicach prawdziwą plagą było wykrawanie z tusz niewielkich kawałków mięsa. Nagminne były również małe, nie przekraczające pół kilograma kradzieże „na własny użytek”. Tylko w kwietniu 1963 r. 49 pracowników tych zakładów złapano na próbie wyniesienia niewielkich ilości mięsa i podrobów.

Tragikomiczny może się dziś wydawać przypadek jednego z członków partii, który połakomił się na połówkę świni. Kradzież się nie udała, a amatora świńskiej półtuszy ukarano naganą i wykluczono z partyjnych szeregów. W tym samym czasie aresztowano również mieszkankę Katowic, właścicielkę „meliny”, do której pracownicy katowickich Zakładów Mięśnych przynosili kradzione mięso, a ta sprzedawała je miłośnikom świeżej karkówki, chudego boczku i tłustej słoniny. Zatrzymano również dwóch kierowców Bazy Transportowej Przemysłu Mięsnego w Bytomiu, którzy z zaplombowanego samochodu ukradli 143 kg mięsa wołowego skażonego przyszczycą i następnie sprzedali je różnym, przypadkowym osobom spotkanym na trasie. Częstym przypadkiem było wykrycie w sklepie mięsa czy wędlin niewiadomego pochodzenia, które wyrabiano w prywatnych, zakonspirowanych wytwórniach. Np. kierownik sklepu nr 7 Miejskiego Handlu Detalicznego w Chorzowie aresztowany został pod zarzutem systematycznego wprowadzania do obrotu wędlin, na które nie było żadnych faktur ani dowodów dostawy. W chwili zatrzymania znaleziono w zarządzanym przez niego sklepie 15 kg kielbasy karkowskiej parzonej. Zatrzymywano również osoby, które oszukiwały klientów

przy sprzedaży mięsa, oferując niższe gatunki po cenie wyższych. Niezależnie od tego Inspektorat Mięсны przy Komendzie Wojewódzkiej MO przeprowadził szereg kontroli sklepów należących do Miejskiego Handlu Mięsem w Rybniku, Bytomiu, Tarnowskich Górach, jak również w kilkunastu zakładach przemysłu mięsnego. Pobrano próbki do badania laboratoryjnego celem przeprowadzenia analiz na zawartość wody i tłuszczu. Wyniki analizy wykazały w szeregu wypadków przekroczenie dopuszczalnej zawartości wody.

Pod koniec 1963 r. przy Prokuraturze Wojewódzkiej w Katowicach powołano specjalny Zespół Koordynujący pracę wszystkich organów powołanych do wykrywania i ścigania przestępstw w handlu i gospodarce. W jego skład weszli przedstawiciele Prokuratury, Komendy Wojewódzkiej MO, Sądu Wojewódzkiego, katowickiej delegatury Najwyższej Izby Kontroli i Wojewódzkiego Inspektoratu Kontrolno-Rewizyjnego. Celem tego zespołu miało być zsynchronizowanie pracy poszczególnych organów zajmujących się zwalczaniem przestępczości. Przewodniczący zespołu, prokurator wojewódzki Kazimierz Nowak, w wywiadzie dla prasy stwierdził: „Szczególną uwagę przywiązujemy do zwalczania przestępstw spekulacyjnych, które w efekcie przynoszą szkodę klientom lub konsumentom. Postanowiliśmy energicznie tępić wszelkie oszustwa w dziedzinie handlu pieczywem, nabiałem, mięsem i oczywiście w gastronomii”.

Kryzys na rynku mięsnym pogłębiał się. Na terenie województwa katowickiego przydział surowego mięsa przeznaczonego do sprzedaży w I kwartale 1964 r. był niższy o 2195 ton od podaży w analogicznym okresie rok wcześniej. Szczególne braki odnotowano w zaopatrzeniu w wieprzowinę i, jak zwykle, w bardziej luksusową cielęcinę. Rynek starano się bezskutecznie zapęlnić kaszanką i wyrobami gorszymi gatunkowo. W marcu 1964 r. Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach zwróciło się do Ministra Handlu Wewnętrznego o dodatkowy przydział 150 ton mięsa i 100 ton tłuszczu zwierzęcego, zwłaszcza że pod koniec marca wypadały święta Wielkiej Nocy. Również zaopatrzenie w tzw. wędliny IV grupy (balerony, szynki, kiełbasa myśliwska itp.) w okresie przedświątecznym nie wyglądało kolorowo. Zarząd wojewódzki Miejskiego Handlu Mięsem ustalił możliwy udział wędlin tej grupy na 16 proc. w stosunku do całości oferty, co dało około 720 ton wędlin wysokogatunkowych, a więc 240 ton mniej niż przed rokiem. By zapobiec katastrofie, Wydział Ekonomiczny Komitetu Wojewódzkiego PZPR zobowiązał Wojewódzkie Zjednoczenie Przemysłu Mięsnego do zabezpieczenia



Rozbiórka mięsa – Zakłady Mięsne w Gliwicach

produkcji wędlin IV grupy w wysokości 24 proc. w stosunku do ogólnej puli produkcji przewidzianej na miesiąc marzec. W tym celu postanowiono uruchomić oszczędności i nadwyżki mięsa, które przemysł mięsny zgromadził na przestrzeni dwóch pierwszych miesięcy roku.

W pierwszej połowie 1964 r. do Komendy Wojewódzkiej MO w Katowicach dotarła informacja, że kierownik rozbieralni mięsa należącej do Powszechnej Spółdzielni Spożywców w Bytomiu, w porozumieniu z podległym mu personelem, dokonywał systematycznych kradzieży mięsa i słoniny. Rozpoczęto szeroko zakrojone działania operacyjne, na podsta-

wie których w maju 1964 r. Wydział Dochodzeniowo-Śledczy Komendy Wojewódzkiej wszczął śledztwo. W ciągu następnych tygodni ustalono, że przestępczy proceder uprawiała grupa składająca się z 13 osób, wśród których prym wiodli: kierownik rozbieralni mięsa Państwowej Spółdzielni Spożywców w Bytomiu, technolog w tejże rozbieralni, robotnik i magazynier katowickiego Oddziału Odpadów Wtórnych w Chebziu. Część mięsa i słoniny nie była przez nich inwentaryzowana i pozyskane w ten sposób nadwyżki były rozprowadzane przez dwóch wtajemniczonych konwojentów do sześciu sklepów Miejskiego Handlu Mięsem na terenie Rudy Śląskiej. Faktyczna ilość wyprowadzonego „na lewo” towaru jest dziś trudna do oszacowania. Materiały Służby Bezpieczeństwa mówią o mięsie i słoninie przekraczających wartość czterech mln zł. Z kolei „Trybuna Robotnicza”, której dziennikarze relacjonowali najważniejsze wydarzenia z terenu województwa, napisali o 32 tonach mięsa o wartości 1 200 tys. zł. W trakcie śledztwa zabezpieczono u podejrzanych 971 339 zł, bony towarowe o wartości 358 dolarów oraz trzy budynki mieszkalne na „poczet naprawienia szkód, jakie sprawcy spowodowali swą działalnością na szkodę gospodarki uspołecznionej”. Zakrojone na szeroką skalę czynności dochodzeniowe objęły również pracowników dyrekcji Miejskiego Handlu Mięsem i Miejskiego Handlu Detalicznego w Rudzie Śląskiej. Wszyscy podejrzani zostali aresztowani i wraz z aktem oskarżenia przekazani do dyspozycji Sądu Wojewódzkiego w Katowicach, który już w połowie następnego miesiąca wydał wyrok. Kary były niezwykle surowe. Kierownik rozbieralni mięsa skazany został na 15 lat więzienia, 500 tys. zł grzywny, przepadek mienia oraz pozbawienie praw publicznych na lat dziesięć. Pozostali otrzymali wyroki 12, 10, 8, 5, 4, 2 i 1 roku pozbawienia wolności oraz wysokie grzywny opiewające na kwotę od dwóch do trzech tys. zł.

Prawie równocześnie, także w pierwszej połowie 1964 r., wykryto kolejną aferę w Zakładach Mięśnych w Gliwicach, tych samych, o których pisała cztery lata wcześniej „Trybuna Robotnicza”. Podobnie jak w Bytomiu i Rudzie Śląskiej, tak i tutaj sprawcy nie zapisywali nadwyżek mięsa i wędlin. Uzyskiwano je w dość prosty sposób, wykazując w dokumentacji rozliczeniowej fikcyjnie podwyższone straty oraz zaniżając normy technologiczne przy produkcji wędlin. Do Sądu Wojewódzkiego w Katowicach skierowano akty oskarżenia przeciwko 29 osobom. Skazano 24, trzy zostały uniewinnione, jedna zmarła w czasie procesu, a jedna została wyłączona ze sprawy ze wzglę-

du na chorobę psychiczną. Najwyższy wyrok wydany w tej sprawie opiewał na dziesięć lat pozbawienia wolności.

Mniej więcej w tym samym czasie sklepy mięsne na terenie województwa zostały zaopatrzone w krajalnice do wędlin, jednak, jak zauważył dziennikarz „Trybuny Robotniczej”, w większości przypadków stały one nieczynne. Podejrzewano, że za tym faktem kryły się nieczyste machinacje. Cieniutko pokrajaną kielbasę można i trzeba było staranniej zważyć, natomiast w całości klient zmuszony był brać, ile mu dają, a w tłocznej kolejce najczęściej nie było czasu na sprawdzenie wagi i kalkulowanie w pamięci, ile dokładnie powinien dany kawałek kosztować.

Jesienią 1964 r. histeria wokół „kwestii mięsnej” osiągnęła swe apogeum, a to za sprawą słynnego procesu pracowników Miejskiego Handlu Mięsem w Warszawie. W weekendowym numerze „Trybuny Robotniczej” z 21-22 listopada 1964 r. ukazała się pierwsza część relacji z rozprawy. Od tego dnia, przez następne tygodnie prawie codziennie ukazywały się specjalne sprawozdania, w których na bieżąco informowano o tym, jak strasznych zbrodni dopuścili się oskarżeni i sugerowano, że to właśnie oni są winni brakom na rynku mięsnym. Akt oskarżenia stwierdzał, że zgodnie z wytycznymi i wskazaniami kierownictwa PZPR, Rady Państwa i rządu, organy ścigania podjęły energiczne wysiłki, aby wzmocnić walkę z przestępczością gospodarczą i zapewnić ochronę mienia społecznego przed grabieżą i nadużyciami. „Czynny te bowiem wyrządzają ogromne szkody materialne oraz powodują zakłócenia w planowym zaopatrywaniu ludzi pracy w artykuły pierwszej potrzeby, a także opóźniają stałe podnoszenie stopy życiowej ludności”. Na ławie oskarżonych zasiadł Stanisław Wawrzecki – jeden z dyrektorów Miejskiego Handlu Mięsem w Warszawie. Oprócz niego w stan oskarżenia postawiono czterech innych dyrektorów handlu uspołecznionego, czterech kierowników państwowych sklepów i jednego właściciela prywatnej masarni. Do Warszawy został wysłany specjalny sprawozdawca z Katowic, który na bieżąco informował o przebiegu procesu. Ostatnia notka, z informacją o karze śmierci dla Wawrzeckiego, ukazała się w katowickiej „Trybunie Robotniczej” w dniu 3 lutego 1965 r. Przewodniczący Rady Państwa nie skorzystał z prawa łaski i wyrok wykonano. Był to jedyny wyrok śmierci za przestępstwo gospodarcze wykonany w PRL po 1956 r.

Rok 1964 r. przyniósł również zmiany w oficjalnie zatwierdzonym i nadzorowanym przez państwo asortymencie wędlin. Postanowiono w całym



W Zakładach Mięśnych w Gliwicach

kraju ujednoczyć produkowane gatunki, ponieważ stwierdzono, że wiele wyrobów różniło się od siebie tylko nazwą i ceną, co skłaniało do rzekomych nadużyć. Były też gatunki kielbas, np. serbska, wczasowa czy limanowska, które w sklepach pojawiały się przypadkowo, gdyż produkowano je w minimalnych ilościach. Ostatecznie podjęto decyzję o zaniechaniu produkcji dziesięciu rodzajów wędlin, głównie kielbas, których receptury niezbyt się od siebie różniły.

W czerwcu 1965 r. rozpoczął się proces w Raciborzu, gdzie przed sądem stanęli m.in. dyrektor naczelny raciborskich Zakładów Mięśnych, mistrz uboju i mistrz peklowni oraz kierownik działu zbytu. Akt oskarżeń-

nia stwierdzał, że w okresie od 1961 do 1963 r. oskarżeni przekazali dwóm kierownikom sklepów mięsnych w Gliwicach do sprzedaży „na lewo” towar za ok. 3 070 tys. zł. Szacowano, że w ciągu niecałych trzech lat oskarżeni „wyprowadzili” z zakładu ok. 12,5 tony mięsa i przetworów. Pikanterii całej sprawie dodaje fakt, że jeden z kierowników sklepów, który uczestniczył w przestępczym procederze, był komendantem Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej w Gliwicach. W trakcie śledztwa przyznał się do nadużyć na kwotę ok. jednego mln zł. Sprawa była na tyle poważna, że poświęcono jej posiedzenie egzekutywy gliwickiego Komitetu Miejskiego PZPR. Sam proces był wyjątkowo krótki i trwał niespełna trzy tygodnie. Zapadły bardzo surowe wyroki – od 4 do 15 lat pozbawienia wolności. Wspomniany miejski komendant ORMO i kierownik sklepu mięsnego w jednej osobie otrzymał karę 12 lat więzienia.

W dniu 24 listopada 1967 r., w trakcie obrad X Plenum KC PZPR, postanowiono podnieść ceny mięsa o 16,7 proc., co w zamysle partyjnych dygnitarzy miało powstrzymać rosnące wciąż spożycie i ograniczyć popyt.

W 1968 r. ujawniono zorganizowaną czternastoosobową grupę działającą na szkodę Zakładów Mięsnych w Zabrze. W jej skład wchodził pracownicy zabrzańskich Zakładów Mięsnych, konwojenci Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Transportu Handlu Wewnętrznego oraz kierownicy sklepów spożywczych Miejskiego Handlu Detalicznego. I w tym przypadku schemat działania był podobny. Pracownicy przetwórci wędlin Zakładów Mięsnych w Zabrze, oszukując na normach określających skład wędlin i zawartość masy mięsnej w produktach wysokoprzetworzonych (kielbasy, mielonki), uzyskiwali nadwyżki towarów, które następnie poza ewidencją, przez magazyny, trafiały do sklepów. Działalność grupy trwała od sierpnia 1966 r. i, jak ustalono, zagarnięto na szkodę Zakładów Mięsnych w Zabrze sumę około 500 tys. zł. Do sądu skierowano akt oskarżenia przeciwko 14 osobom, w tym w stosunku do 12 osób zastosowano areszt tymczasowy.

W drugiej połowie lat 60. o tzw. aferach gospodarczych nieco przycichło. Dopiero na początku następnej dekady wszczęto kolejne postępowania w związku ze sprawami, które chronologicznie odnosiły się jeszcze do omawianego okresu. Wydział Dochodzeniowo-Śledczy KW MO w Katowicach w 1971 r. wszczął śledztwo w sprawie kradzieży mięsa, wędlin i wyrobów gotowych na szkodę Wojewódzkiej Spółdzielni Spożywców Oddział w Piekarach Śląskich. W toku śledztwa udowodniono, że grupa składająca się z 22

pracowników WSS w Piekarach w okresie do 1967 r. do października 1971 r. zajmowała się produkcją nadwyżki mięsa, poprzez wykazywanie – oczywiście na papierze – większych ubytków rozbiorowych i strat mięsa niż to miało miejsce w rzeczywistości. Stosowano również zwiększenie wagi zarówno mięsa, jak i produkowanych wyrobów mięsnych, przez dodawanie wody i innych składników nie przewidzianych recepturą. W tym samym roku Komenda Miejska MO w Sosnowcu wykryła rozległą aferę gospodarczą w Miejskim Handlu Detalicznym „Artykuły Spożywcze” w Sosnowcu, Wojewódzkiej Spółdzielni Spożywców „Społem” Oddział w Sosnowcu, Zakładach Mięsnych w Mysłowicach oraz Zakładach Jajczarsko-Drobiarskich w Chorzowie. Pracowników tych przedsiębiorstw oskarżono o nieprawidłowości w produkcji i oszustwa przy rozprowadzaniu i sprzedaży wędlin oraz różnych przetworów mięsnych na przestrzeni lat 1967-1971. Prokuratura Wojewódzka w Katowicach przedstawiła trzy akty oskarżenia przeciwko 47 osobom. Byli to pracownicy wyżej wymienionych spółdzielni i zakładów oraz konwojenci i pracownicy Państwowej Inspekcji Handlowej w Katowicach. Związek pomiędzy poszczególnymi oskarżonymi był bardzo luźny, często nic nawzajem o sobie nie wiedzieli, a łączyć ich miało jedynie to, że działali w podobny sposób i na szkodę tych samych przedsiębiorstw i spółdzielni. Dzięki mało rygorystycznemu traktowaniu norm technologicznych w zakładach mięsnych i drobiarskich, uzyskiwano znaczne nadwyżki mięsa, które następnie sprzedawano w zaprzyjaźnionych sklepach. Dokonywano również pokątnych ubojów, a uzyskane w ten sposób mięso nielegalnie rozprowadzano. Kierownicy sklepów wraz z obsługą dodatkowo czerpali zyski, podmieniając gatunki mięsa i oszukując na wadze. Jak odnotował jeden z funkcjonariuszy: „przestępczy proceder mógł ciągnąć się przez tak długi okres czasu, ponieważ pracownicy powołani do nadzoru i kontroli sami nakłaniali do przestępczej działalności czerpiąc w zamian korzyści materialne w postaci różnego rodzaju łapówek”. Dwie osoby skazano na 12 i 10 lat, zaś większość oskarżonych na ok. dwa-cztery lata pozbawienia wolności.

Jak ustalili Dariusz Jarosz i Maria Pasztor, tylko w przeciągu pięciu lat, w okresie od 1964 do 1969 r., na terenie województwa katowickiego wartość zagarniętego mięsa i jego przetworów obliczano na 25 205 tys. zł, a wielkość łapówek, które przekazali sobie uczestniczący w tym procederze, wyniosła ok. 245 tys. zł. W okresie tym w stan oskarżenia postawiono na terenie województwa 208 osób, z czego aresztowano 175. Najwyższe wyroki, jakie za-

padły przed katowickim Sądem Wojewódzkim, wynosiły 15 lat pozbawienia wolności. Na Górnym Śląsku na szczęście nie zapadł w tzw. „sprawach mięsnych” ani jeden wyrok śmierci.

Pomimo ciągłych braków w zaopatrzeniu, niskiej jakości asortymentu i absurdalnych przepisów blokujących swobodną dystrybucję towaru, przeciętne roczne spożycie mięsa na jedną osobę w gospodarstwach domowych paradoksalnie wciąż rosło i wynosiło: w 1960 r. – 42,5 kg, 1962 r. – 45,8 kg, 1964 r. – 47,1 kg, 1966 r. – 51 kg, 1968 r. – 52,2 kg, 1970 r. – 52,6 kg. Jednak liczby te nie były imponujące. Maria Pasztor w swoich badaniach ustaliła, że w państwach geograficznie położonych blisko siebie, tj. Republice Federalnej Niemiec, Niemieckiej Republice Demokratycznej i Czechosłowacji, pod koniec lat 60. konsumowano znacznie więcej mięsa niż w Polsce. I tak w 1968 r. w RFN – ok. 70 kg, w NRD i Czechosłowacji – ok. 63 kg na jednego mieszkańca. Polska była w tym czasie najbardziej zbliżona do Węgier, gdzie spożywano ok. 52 kg na osobę. Liderem pozostawały USA i Australia – 108 i 103 kg na jednego mieszkańca. Jednocześnie, pomimo nieustannych braków, mięso w życiu codziennym Polaków odgrywało istotną rolę, a nawyki żywieniowe zmierzały w stronę zwiększenia ilości „schabowych” w tygodniowym jadłospisie. Suto zastawiony stół, na którym dominowały wędliny, był dumą każdej gospodyni, a bułka z kielbasą lub salcesonem, ewentualnie pasztetem, stanowiła podstawę niejednego drugiego śniadania. Stąd cały czas dążono do zwiększenia zakupów mięsa, a jednocześnie okazywano niezadowolenie z fatalnego zaopatrzenia i nie chciano zgodzić się na ograniczenie jego podaży za pomocą podwyżek cen, które wywoływały coraz większe protesty. Jesienią 1967 r. udało się jeszcze skanalizować społeczne niezadowolenie, a w uspokajanie nastrojów zaangażował się sam pierwszy sekretarz partii, który przybył na wiec protestacyjny zorganizowany przez robotników z Żerania.

Dekadę lat 60., a ściślej 14-lecie rządów ekipy Władysława Gomułki, zamyka tragiczny grudzień 1970 r., kiedy to na Wybrzeżu oddziały wojska i milicji krwawo stłumiły protesty społeczne, a władza ludowa po raz kolejny strzelała do robotników. Bezpośrednią przyczyną robotniczego buntu było ogłoszenie 13 grudnia 1970 r. podwyżki cen artykułów żywnościowych. Kluczową pozycję wśród towarów, które podrożały, stanowiło właśnie mięso i jego przetwory. Na Górnym Śląsku nie doszło do protestów i wystąpień na taką skalę jak na Wybrzeżu, jednak nastroje nie były optymistyczne. Bezpieka, milicjanci i aktywiści partyjni pracowali pełną parą, by możliwie skutecz-

nie zneutralizować jakiegokolwiek objawy niezadowolenia. Na terenie województwa przeprowadzono szereg aresztowań, które zastosowano wobec osób podejrzewanych o krytyczny stosunek do rządzących państwem. Prowadzono również zakrojoną na szeroką skalę akcję tzw. „rozmów prewencyjnych”, których celem było uzasadnienie konieczności podwyżki i ukazanie wydarzeń na Wybrzeżu jako „chuligańskich wybryków”, których inicjatorami mieli być wrogowie państwa i ustroju.

Objęcie funkcji I sekretarza PZPR przez Edwarda Gierka, który 20 grudnia zastąpił na tym stanowisku Gomułkę, powitano z nadzieją, a nowy przywódca partii otrzymał niemały kredyt zaufania. Z zadowoleniem przyjęto decyzję o anulowaniu grudniowej „regulacji cen”, którą podjęto ostatecznie 14 lutego 1971 r. Od 1 marca znów obowiązywały ceny sprzed grudnia 1970 r. Postanowiono, że zostaną one „zamrożone” do końca 1972 r. Jesienią 1972 r. decyzję tę przedłużono na następne dwa lata, a w grudniu 1974 r. o kolejny rok. Choć w wielu sferach gospodarki nowa ekipa starała się, niekiedy z realną korzyścią, zmieniać sposoby zarządzania, podstawa systemu nie została naruszona. Mięso pozostało towarem, którego produkcja, przetwórstwo i zbyt odbywały się przy zachowaniu prawie całkowitej dominacji państwa. Nadużycia gospodarcze, korupcja i spekulacja mięsem nie zniknęły wraz z odsunięciem od władzy ekipy Gomułki, choć pierwsze lata sterowania przez Edwarda Gierka i śląskich „technokratów” partią rządzącą przyniosły poprawę zaopatrzenia i w początkach lat 70. zakup mięsa i wędlin nie stanowił już tak dramatycznego problemu. Jednak w drugiej połowie tej dekady powrócono do systemu racjonowania. Po raz kolejny przed sklepami pojawiły się długie kolejki, a w sklepach coraz częściej oglądano puste haki. Niedobór „masy mięsnej” mógł zatem zostać wpisany w epitafium kolejnej komunistycznej ekipy rządzącej.

Źródła i literatura:

Akta z zasobu Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Katowicach: sygn. IPN Ka 0216/23; IPN Ka 0216/151; IPN Ka 0216/191; IPN Ka 057/613 t. 6; IPN Ka 057/613 t. 8; IPN Ka 057/613 t. 14; IPN Ka 057/613 t. 15; IPN Ka 057/639; IPN Ka 057/643; IPN Ka 057/646; IPN Ka 057/647; IPN Ka 098/9 t. 2.

Akta z zasobu Archiwum Państwowego w Katowicach: Komitet Miejski PZPR w Bytomiu; Komitet Miejski PZPR w Gliwicach; Komitet Miejski PZPR w Katowicach;

Komitet Miejski PZPR w Tarnowskich Górach; Komitet Miejski PZPR w Zawierciu;
Komitet Wojewódzki PZPR w Katowicach.

„Dziennik Zachodni”, roczniki 1957-1977.

„Trybuna Ludu”, roczniki 1956-1970.

„Trybuna Robotnicza”, roczniki 1956-1977.

L. Beskid, *Zmiany spożycia w Polsce*, Warszawa 1972.

A. Dudek, Z. Zblewski, *Utopia nad Wisłą. Historia Peerelu*, Warszawa 2008.

E. Górski, S. Krzyżanowski, *Źródła informacji o przestępstwach i przestępcach gospodarczych*, Warszawa 1969.

D. Jarosz, M. Pasztor, *Afera mięsna. Fakty i konteksty*, Toruń 2004.

Informacja Wydziału Handlu Prezydium WRN w Katowicach w sprawie aktualnego stanu rynku woj. katowickiego w artykule pierwszej potrzeby, Katowice 1964 (maszynopis powielony w zbiorach Biblioteki Śląskiej).

T. Kamiński, *Handel wewnętrzny woj. katowickiego w okresie 25-lecia PRL*, [w:] *Konferencja ekonomistów województwa katowickiego poświęcona węzłowym problemom handlu wewnętrznego*, Katowice 1969 (maszynopis powielony w zbiorach Biblioteki Śląskiej).

Kartki z PRL. Ludzie, fakty, wydarzenia: 1944-1970, t. 1, red. W. Władyka, Warszawa 2005.

Komisja Specjalna do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym 1945-1954. Wybór dokumentów, wstęp i oprac. D. Jarosz, T. Wolsza, Warszawa 1995.

S. Krzyżanowski, W. Sobczyński, *Postępowania przygotowawcze w sprawach o przestępstwa gospodarcze*, Warszawa 1973.

P. Lipiński, *Mięso a w środku rzeźnik*, „Gazeta Wyborcza” nr 133, 10 IX 1999 r., dodatek: „Magazyn” nr 23, s. 6.

Umowa o kartki, red. J. Kurczewski, Warszawa 2004.

M. Sowuła, *Rynek mięsny w Polsce*, Warszawa 1965.

Ściganie przestępstw przez organa Służby Bezpieczeństwa, red. J. Szwadzki, Warszawa 1964.

T. Zawadzak, *Ujawnienie przestępstw gospodarczych za pomocą inwigilowania osób żyjących ponad stan*, „Służba MO” nr 2-3, 1965 r., s. 259-269.

Z. Zblewski, *Leksykon PRL-u*, Kraków 2000.

Sebastian Rosenbaum

Przeciw „krucjacie rewanżystów” . Służba Bezpieczeństwa w walce z „zachodnioniemieckim rewizjonizmem”

„Rewizjonistyczne” zagrożenie

Widmo krążyło nad Polską Ludową: widmo „zachodnioniemieckiego rewizjonizmu”. Do takiej parafrazy Marksa i Engelsa uprawnia pobieżna nawet lektura prasy i publikacji książkowych doby PRL, materiałów archiwalnych pozostałych po komunistycznym obozie władzy i powiązanych z nim organizacjach społecznych. Zwłaszcza na „Ziemiach Odzyskanych” groźny fantom zza Łaby zdawał się przybierać wyjątkowo realne kształty, o czym nadprodukcja tekstów „antyrewizjonistycznych” świadczy aż nadto dobitnie. Od regionalnej prasy codziennej po elitarne periodyki – zagrożenie „rewizjonistyczne” należało do stałego repertuaru publicystycznego ich łamów. Ilość książek – tak literackich czy publicystycznych, jak i naukowych – poświęconych różnorodnym aspektom „rewizjonizmu” była ogromna. Słowo pisane było oczywiście refleksem decyzji zapadających na najwyższym szczeblu – w Komitecie Centralnym Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i jej komitetach wojewódzkich. Centrum obozu władzy determinowało linię polityki „antyrewizjonistycznej” struktur administracyjnych, aparatu bezpieczeństwa, organizacji społecznych. Poczynając od początku lat 50. w województwie katowickim przywołane instancje tworzyć poczęły totalny front walki z „rewizjonizmem”, mając w tym rzecz jasna błogosławieństwo Warszawy.

Czym jednak właściwie był ów „zachodnioniemiecki rewizjonizm”? Związała, choć skądinąd mocno upraszczająca realia definicja, sformułowana została ustami Władysława Gomułki: „jednym z naczelnych celów polityki wszystkich rządów Niemiec Zachodnich było i jest zburzenie istniejących granic państwowych Polski i przyłączenie do Niemiec trzeciej części terytorium państwa polskiego”. Walka z „rewizjonizmem” była zatem odsłoną w boju o terytorialną integralność Polski Ludowej. I choć integralność tę gwarantowała

wał „potężny sojusznik” ze Wschodu i globalna sytuacja geopolityczna (choćby w postaci buforowej Niemieckiej Republiki Demokratycznej) – dawanie odporu „rewizjonizmowi”, demaskowanie jego szermierzy, obalenie jego argumentów, władze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej traktowały jako absolutną konieczność.

„Rewizjonizm” postrzegano wówczas jako element zjawiska szerszego: „imperialistyczno-militarystycznej” polityki Zachodu. Powstała w 1949 r. Republika Federalna Niemiec, traktowana w PRL jako państwo „konstytucyjnego rewizjonizmu” (do czasu ustaleń przyszłej – niedosłej – konferencji pokojowej RFN stała na gruncie granic z 1937 r.), była częścią systemu zachodnich sojuszy, owego przeciwstawnego Sowietom bloku w dwubiegunowym świecie powojennym. Politykę zachodnioniemiecką uznawano za dyktowaną przez Stany Zjednoczone i „światowe monopole”. Na początku lat 50. pisano na łamach katowickiego „Śląska Literackiego”: „Adenauer jest [...] niczym innym, jak tylko wykonawcą poleceń amerykańskiego kapitału monopolistycznego”, jego „krucjata przeciwko Polsce Ludowej jest krucjatą o zyski na Śląsku. [...] Rewizjonizm zachodnio-niemiecki przybiera różne formy”, które mają „jedno i to samo źródło [...] jest nim ta sama grupa monopolistów, która stworzyła separatystyczną republikę adenauerowską [...], która [...] pragnie narzucić całemu światu wojnę, krwawą wojnę o zyski na węglu, na miedzi, na stali i cynie”.

Wskazywano też na własne, niemieckie korzenie „rewizjonizmu”. W takim ujęciu był on elementem historycznego splotu militarystyczno-imperialistycznego, którego nosicielami byli „junkrzy, baronowie węglowi, kapitaliści-monopoliści i służąca im kasta”. „Rewizjonizm” to nie tylko rewizja granic, twierdzono, że to także dążenie do „odbudowy ducha pruskiego w imperialistycznym wydaniu”, to „wybielanie hitleryzmu”, „próby odbudowania Wehrmachtu”, „obalenie rewolucji w NRD”. Retoryka ta przez cały niemal okres PRL nie ulegała istotnej zmianie. Jeszcze pod koniec lat 80. w poważnych opracowaniach RFN nazywano „przyczółkiem nie tylko politycznych, ale i militarynych sił imperializmu”.

W mateczniku „rewizjonizmu”

„Rewizjonistami zachodnioniemieckimi”, w oficjalnych enuncjacjach PRL, zdawały się być niemal całe elity polityczne RFN. Ale kim byłiby owi politycy funkcjonujący przecież w warunkach demokracji parlamentarnej, bez

odpowiedniego poparcia społecznego? Polityczny *establishment* RFN w swojej niechęci do uznania pełnoprawnego charakteru granicy na Odrze i Nysie liczyć mógł, zdaniem autorów peerelowskich, na rozległe poparcie zachodni-niemieckiego społeczeństwa. Pokażna, bo w 1950 r. prawie ośmiomilionowa jego część (zasilona od połowy lat 50. setkami tysięcy „późnych przesiedleńców”), składała się z Niemców – uciekinierów i wypędzonych ze Wschodu, nie tylko zresztą z Polski. Tę potężną grupę, niejednorodną, ale przecież zespoloną wspólnym mianownikiem przymusowej utraty stron ojczystych, „zagoszparowały” związki ziomkowskie (*Landsmannschaften*) skupiające przesiedleńców wedle kraju (regionu) pochodzenia. Ich reprezentacją społeczno-polityczną był z kolei Związek Wypędzonych (*Bund der Vertriebenen*). Ziomkostwa i BdV to w propagandzie peerelowskiej najwyższe „rewizjonistyczne” zło, struktury odpowiedzialne za szerzenie odwetowej („rewanżystowskiej”) propagandy, utrwalanie w społeczeństwie zachodni-niemieckim odmowy dla granicy na Odrze i Nysie i antypolonizmu. Nazwiska liderów ziomkowskich i BdV towarzyszyły Polakom przez lata jako egzemplifikacje wszystkiego, co najgorsze w Niemczech. Linus Kather, Wenzel Jaksch, Herbert Czaja, Otto Ulitz, Herbert Hupka i wielu innych gościli na łamach prasy polskiej, szczególnie tej ukazującej się na Górnym Śląsku, nierzadko częściej niż gwiazdy kina czy muzyki popularnej. Sposób ich prezentacji dobrze charakteryzuje tytuł książki Mirosława Cygańskiego o Otto Ulitzu: „Zawsze przeciwko Polsce”. Pisano o nich paszkwile, wydobywając na światło dzienne faktyczne lub naciągane związki z nazizmem, pisano też naukowe rozprawy i analizy, tworząc w instytucjach zachodnich kartoteki działaczy ziomkowskich, *nota bene* kopiowane potem przez Służbę Bezpieczeństwa dla jej własnych zadań operacyjnych.

Za kolejny rozsądnik „rewizjonizmu” uznawano w PRL Instytuty Badań Wschodu (*Ost-* wzgl. *Ostforschungsinstitute*), zachodni-niemieckie placówki badawcze zajmujące się „pseudonaukową”, jak pisano zwykle w komunistycznych publikacjach, analizą dawnych niemieckich ziem wschodnich. Z ustaleń *Ostforscherów* „ziomkowie” czerpać mieli swoją argumentację przeciw polskiej administracji na Ziemiach Zachodnich i Północnych.

W „antyrewizjonistycznej” propagandzie PRL uderza przemieszanie trafnych rozpoznań z historyczną przesadą i nieznośnym upraszczaniem. Przede wszystkim zwraca jednak uwagę ogromny rozmach, z jakim tropiono i odnotowywano najmniejsze nawet sygnały postaw „rewizjonistycznych”. Inten-



Propaganda o „piastowskim” Górnym Śląsku służyć miała walce z „rewizjonizmem”. Zdjęcie z obchodów 22 Lipca w Katowicach w 1958 r.

sywność owej propagandy zdradza, że nie była ona tylko polemiką z głosami niemieckimi, ale także nieustanną perswazją skierowaną ku części regionalnej społeczności – zwłaszcza województwa katowickiego.

Rodzimi „rewizjoniści”

„Rewizjonista” swój macecznik miał między Renem i Łabą. Jednak także część społeczeństwa polskiego dawała posłuch hasłom płynącym z Republiki Federalnej. Chodziło głównie o „autochtonów”, jak nazywano dawnych obywateli Niemiec i ich potomków. W województwie katowickim zamieszkiwali oni przede wszystkim Bytom, Gliwice, Zabrze, powiat gliwicki oraz część powiatu lublinieckiego i tarnogórskiego. Również mieszkańcy przedwojennego województwa śląskiego mieli być podatni na wpływy „rewizjonistyczne”. W czerwcu 1960 r. Sekretariat KC PZPR wydał specjalną uchwałę w sprawie zwalczania nastrojów „rewizjonistycznych” w kraju, w której odnotowano, że „autochtoni” stali się obiektem „rewizjonistycznej” propagandy z RFN. W tym czasie określenie „rewizjonizm” było już stosowane dość powszechnie jako slogan opisujący najszerzej pojmowane nastroje proniemieckie. Każdy przejaw sympatii do niemieckości, nie mieszczący się w państwowej sztancy oficjalnej przyjaźni z „pierwszym demokratycznym państwem niemieckim”, czyli NRD, mógł powodować oskarżenie o sprzyjanie „rewizjonizmowi”. Opinie Górnoszlązaków często faktycznie zawierały żądania rewizji granic na korzyść Niemiec czy też pochwały Republiki Weimarskiej i III Rzeszy. Ale pod podejrzenia o „rewizjonizm” podpadało także samo posługiwanie się językiem niemieckim, czytanie niemieckojęzycznych książek czy śpiewanie niemieckich piosenek, nawet w czasie „zakrapianych libacji”.

Nastroje przychylne Niemcom na Górnym Śląsku przytłumione zostały przez represyjne działania władz polskich w okresie tuż powojennym (przymusowe wysiedlenia, zamykanie w obozach, wywłaszczenia) oraz akcją weryfikacji i rehabilitacji, rychło jednak postawy „autochtonów” uległy zmianie. Skalę sympatii proniemieckich szacowano wówczas na bardzo dużą. Rzecz jasna, aparat bezpieczeństwa nie pozostawał głuchy na to zagrożenie. W Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Katowicach zakładano, że pepinierą owych postaw są grupy dawnych funkcjonariuszy nazistowskich. Aby środowisko to spenetrować, konieczne było zainstalowanie w nim odpowiedniej liczby informatorów. Z końcem lat 40. rozpo-

często więc energiczną akcją werbunkową, w efekcie której w 1954 r. na usługach UBP województwa katowickiego znalazło się co najmniej 1150 informatorów z kręgów dawnych hitlerowskich aktywistów. Jednak kilka lat później w katowickiej SB utyskiwano, iż szerzenie się „rewizjonistycznych” nastrojów wśród Górnoślązaków nie zostało w należyтым stopniu „operacyjnie uchwycone”. Dlaczego? Otóż w międzyczasie zmieniać się zaczęło środowisko będące pepiniarą postaw proniemieckich. Stanowili je nie tylko dawni hitlerowcy, ale głównie ludzie młodszy, urodzeni w latach 30., rzadko skompromitowani większym stopniem partycypacji w strukturach nazistowskich niż przynależność do hitlerowskich organizacji młodzieżowych. Dotarcie do tych osób okazało się dla katowickiej bezpieki ciężkim orzechem do zgryzienia i skutkowało przeciętnymi wynikami operacyjnymi. Środowiska „autochtoniczne” trudne były do zinfiltrowania, zwłaszcza w mniejszych skupiskach – wioskach czy osiedlach. Analizując ten problem kilka lat później, kpt. Zygmunt Drębkowski z Komendy Powiatowej MO ds. SB w Tarnowskich Górach narzekał na „brak odpowiedniego rozmieszczenia tajnych współpracowników”, co powodowało, „że poszczególne akty wrogiej działalności rewizjonistycznej były dla nas zaskoczeniem, przysparzającym wiele trudności w ustaleniu i rozeznawaniu sprawców [...]. W większości interesowaliśmy się niewłaściwymi osobami, co rozpraszało nasze wysiłki operacyjne, uniemożliwiając tym samym skoncentrowanie naszej pracy operacyjnej we właściwym kierunku”. Te uwagi da się też odnieść do innych obszarów województwa. Jak wykazywały analizy pracy SB dokonywane na szczeblu wojewódzkim, słabe wykorzystanie tajnych współpracowników w sprawach „rewizjonistycznych” było powszechną przypadłością pracy katowickiej bezpieki. W 1963 r. płk Stanisław Opitek, wówczas naczelnik Wydziału III (walka z opozycją), sygnalizował pewną „poprawę rozeznania sytuacji i przeciwdziałania”, jednak jego ocena globalna pracy „po zagadnieniu” wypadła krytycznie. Utyskiwał na bezcelowe przeciąganie spraw, zbyt małą liczbę agentów (radził: „stosować przymus” podczas werbunku), nieumiejętność szybkiego dokumentowania i represjonowania tzw. „szepczanki” (prezentowania w prywatnych rozmowach zwalczanych opinii) itd. Tymczasem SB przykładała do walki z „rewizjonizmem” wielką wagę. Zaryzykować można tezę, że po likwidacji opozycji i podziemia zbrojnego z końcem lat 40., a przed ukształtowaniem się nowej opozycji demokratycznej i powstaniem „Solidarności” na przełomie lat 70. i 80., owe trzy dziesię-

ciolecia „pomiędzy” to okres dominacji linii „antyrewizjonistycznej” w pracy operacyjnej górnośląskiej (katowickiej, ale też opolskiej) esbecji.

Początkowo działania operacyjne SB wobec „rewizjonizmu” pozostawały rozdzielone pomiędzy dwa wydziały katowickiej bezpieki: III i II (kontrwywiad). Jednak w kwietniu 1965 r. połączono „zagadnienie niemieckie” w całość. Jak uważano w kierownictwie SB w Katowicach, „pozwoliło to na kompleksowe spojrzenie na problem i właściwe nakierunkowanie sił i środków”. W połowie tego roku prowadzonych było 157 spraw „antyrewizjonistycznych”. W sprawach tych wykorzystywano 132 tajnych współpracowników, a zaangażowanych w nie było 30 starszych oficerów i oficerów operacyjnych. Problemem, z którym SB stale się borykała, była niska znajomość języka niemieckiego we własnych szeregach: z początkiem lat 70. w skali całego województwa znało go zaledwie kilka osób. Główny ciężar „pracy” koncentrował się na „terenach autochtonicznych”, w pierwszym rzędzie Gliwicach, Zabrze i Bytomiu, ale także np. Chorzowie, Tarnowskich Górach, Tychach, Świętochłowicach, Siemianowicach, Katowicach itd. W połowie lat 60. populacja ludności miejscowej, owego naturalnego „ekosystemu”, w którym „epidemia rewizjonistyczna” szerzyła się najzuchwalej, wynosiła ok. 380 tys. osób. Należy odnotować, że nie tylko „autochtoni” wykazywać mieli skłonności do nastrojów proniemieckich. Dotyczyło to także przedwojennych mieszkańców polskiego województwa śląskiego; w tej grupie, jak pisano w 1965 r., „zasadniczy procent” dorosłych miał przed 1945 r. kategorię II lub III Volkslisty, rzecz dość naturalna w realiach Górnego Śląska pod rządami III Rzeszy, jednak dla piszącego te słowa funkcjonariusza SB będąca najwyraźniej sama w sobie skandalem.

Szpiedzy, sabotażyści, wilkołaki

W uzasadnieniu wniosku z 29 września 1960 r. o założenieteczki zagadnieniowej „rewizjonizm niemiecki“, kierownik Grupy III Wydziału III KW MO ds. SB w Katowicach kpt. Henryk Jaroński pisał, że problem ten „w obecnej chwili na terenie nam podległym jest zagadnieniem dominującym”. I dodawał: „w wyniku pracy operacyjnej stwierdzono, iż elementy rewizjonistyczne i zgermanizowane stanowią nie tylko bazę do działalności szpiegowskiej, lecz prowadzą dywersję polityczną i są zorganizowane w nielegalnych grupach”. Jaroński wskazał tym samym na dwa szczególnie groźne aspekty „rewizjonizmu”: szpiegostwo i „podziemie”. W pierwszych latach powojennych

to nie wywiad zachodnioniemiecki traktowany był jako główne zagrożenie, ale przede wszystkim wywiad amerykański. W początkach lat 50. pojawiły się również wyroki śmierci za współpracę z wywiadem niemieckim (skądinąd *Organisation Gehlen*, późniejszy *Bundesnachrichtendienst* z siedzibą w Pullach koło Monachium, działała w ścisłej kooperacji z wywiadem USA). Ogółem w PRL zapadło 15 wyroków śmierci za – faktyczną lub rzekomą – kooperację z niemieckimi ośrodkami wywiadowczymi, z tego wykonano osiem, siedem później złagodzono. Poza 15 przypadkami orzeczenia najwyższego wymiaru kary, w latach 1944-1984 zapadło jeszcze 188 wyroków więzienia za współpracę z wywiadem RFN, z czego prawie 1/5 odnosiła się do województwa katowickiego. Fakt, że wyroków śmierci zapadało z czasem mniej, nie oznacza w żadnym razie zmierzchu szpiegomanii. Przeciwnie, zdaniem SB przejściowa liberalizacja kontaktów wyjazdowych między PRL a RFN po 1956 r. związana z tzw. „akcją łączenia rodzin”, zaowocowała większym niż dotąd napływem szpiegów na teren województwa. Przybywać mieli jako obywatele niemieccy odwiedzający krewnych lub podróżujący po Górnym Śląsku w celach turystycznych, jako obywatele polscy, podczas pobytu czasowego w Niemczech Zachodnich zwerbowani przez ośrodek w Pullach lub wywiad amerykański. Nie inaczej było kilkanaście lat później, po podpisaniu umowy polsko-niemieckiej w 1970 r. SB poddawała przesłuchaniom osoby powracające z wizyty w RFN, próbując ustalić, czy nie doszło do werbunku lub chociaż jego próby. Wiedzano też, że mieszkańcy województwa wyjeżdżający na stałe do RFN „poddawani są infiltracji wywiadowczej” w obozach przejściowych, takich jak Friedland czy Unna-Massen.

Potężna fala ówczesnej górnośląskiej emigracji miała dla SB także pozytywne strony. Mówiąc najogólniej, stwarzała warunki dla penetracji wywiadowczej terytorium Republiki Federalnej. W czasie pierwszej akcji „łączenia rodzin” (co najmniej od 1957 r.) przy katowickiej SB powstała Samodzielna Grupa Specjalna werbująca (z sukcesem) szpiegów spośród osób wyjeżdżających do Niemiec. Podobnie było i podczas drugiej fali wyjazdów w latach 70. W 1970 r. katowicka SB przeanalizowała akta osobowe 22 tys. osób ubiegających się o wyjazd stały. Spośród chcących wyjechać wyselekcjonowano konfidentów różnych kategorii i kandydatów na nich (ponadto osoby mające w Niemczech znajomych podejrzanych o współpracę z wywiadem, posiadających kontakty z niemieckimi działaczami politycznymi i „wpływowymi osobami życia gospodarczego i naukowego”). Z tej grupy wyłonić miano

agentów „do zadań długofalowych” na terytorium RFN. Szukano też potencjalnych agentów „do zadań krótkofalowych”, tj. na rok lub dwa lata. Ci agenci, pozorując przyjazd na stałe, rozpoznawać mieli metody infiltracji emigrantów z Górnego Śląska przez wywiad RFN, jak również zbierać wiadomości o „sposobach traktowania przyjezdnych w obozach przejściowych, warunkach mieszkaniowych, stosunku miejscowej ludności” itd., a następnie wracać do kraju. Ich informacje – oczywiście odpowiednio spreparowane – służyć winny przede wszystkim propagandowemu wykorzystaniu w prasie i innych mediach. Chodziło o wyhamowanie tendencji wyjazdowych, których ówczesna skala mocno zaniepokoiła władze. Wyselekcjonowano jeszcze jedną grupę, która rekrutować się miała spośród „zaprzyśięgłych Niemców” („elementy antysocjalistyczne”, „głównie eks-hitlerowcy, rewizjoniści”). Przeznaczono ich do roli tzw. dezinformatorów: nieświadomie przez nich realizowanym zadaniem było bowiem mieszanie szyków niemieckiemu wywiadowi i kontrwywiadowi. Dokonywano tzw. pseudowerbunku wytypowanej osoby, od zgody na współpracę uzależniając pozwolenie na wyjazd z Polski. Zakładano, że delikwent po przybyciu do RFN skontaktuje się z tamtejszymi służbami, informując je o werbunku i w ten sposób SB wejdzie z nimi w kontakt, by przekazywać fałszywe informacje. Od wiosny 1971 r. działania wokół kontrwywiadowczego i wywiadowczego wykorzystania emigracji mieszkańców województwa katowickiego do RFN koordynowane były w ramach operacji „Ren”. Zakończyła się ona w 1973 r., po wysłaniu do republiki bońskiej prawie 100 dezinformatorów oraz, jak się wydaje, kilkunastu prawdziwych agentów.

Szpiegostwo na rzecz Zachodu stanowiło, szczególnie w pierwszych latach Polski Ludowej, prawdziwą obsesję władz. Nie inaczej było z podejrzeniami o dywersję i sabotaż w przemyśle. Nieustanne problemy występujące w produkcji przemysłowej województwa śląskiego (potem katowickiego), wynikłe głównie z braku wykwalifikowanych pracowników, nadmiernie wyśrubowanych norm produkcyjnych, zniszczeń w sprzęcie (spowodowanych głównie szabrunkiem przez Sowieców), błędów polityki ekonomicznej etc., władze chętnie sprowadzały do umyślnych działań „jednostek antysocjalistycznych”. Stosowano z pełną premedytacją zasadę wynajdywania „kozła ofiarnego”, na którego w niemal magicznym rytuale zrzucano winy za niedostatki produkcyjne. Pokazowe procesy, w których na podstawie wątłych poszlak, bez decydujących dowodów winy, skazywano na karę śmierci osoby podejrzane

o sabotaż i dywersję, uznać należy za typowe „akty przemocy” mające spariżować strachem społeczność i wymusić większą jeszcze uległość i większy posłuch. Podobnie jak w przypadku zarzutów o szpiegostwo, i tu zapadły wyroki śmierci. Katowicki WSR skazał w latach 1946-1954 osiem osób na najwyższy wymiar kary – cztery wyroki wykonano.

Charakterystyczną cechą reżimowej retoryki było szukanie powiązań między dywersją i sabotażem a niemieckim podziemiem, zjawiskiem mgławicowym, aczkolwiek bardzo żywotnym na kartach komunistycznej historiografii i publicystyki. Początki konspiracji niemieckiej wiązać się miały z siecią tajnych komórek zbrojnych, operujących m.in. w województwie śląskim, znaną pod nazwą „Werwolf” („Wilkołak”). W regionie przemysłowym Górnego Śląska – w Bytomiu, Gliwicach, Zabrze – działała w latach 1945-1946 m.in. licząca ok. 100 członków grupa „Werwolfu”, jak też i inne, mniejsze ugrupowania o nieco fantastycznych nazwach (np. „Edelweiss Piraten”). Wydaje się, że raczej mogą mieć ci historycy, którzy wykreowanie obrazu zagrożenia ze strony „Werwolfu” uznają za socjotechniczny chwyt propagandy komunistycznej. Przyglądając się niemieckim grupkom konspiracyjnym istniejącym w latach 40., 50., a nawet 60. w województwie katowickim (i opolskim), a które znalazły się w polu widzenia bezpieki, nie sposób nie odnieść wrażenia, że termin „podziemie” używany jest dalece na wyrost. W rzeczywistości realne dokonania tych grup w przeważającej mierze sprowadzały się do uprawiania tzw. „szeptanki” utrzymanej w antypolskim i antykomunistycznym tonie. Podobnie było z innymi grupkami, które powstały w latach 50. i na początku 60. – były niewielkie (po kilkunastu członków), rachityczne i nie przejawiały faktycznie żadnej aktywności poza okresowymi spotkaniami, na których słuchano zachodnioniemieckich stacji i dyskutowano nad tym, co zrobić, gdy do Polski wkroczą „dywizje Adenauera” – na co wszelako wciąż się nie zanosilo. Wtedy, w latach 60., SB była oczywiście świadoma, że „podziemie niemieckie” to jedynie, jak to formułowano, stale obecna wśród części „autochtonów” tendencja, a nie rzeczywistość. Działania antypaństwowe, jeśli się zdarzały, dokonywane były w zasadzie niemal w pojedynkę, jak w przypadku Józefa W. z Pyskowic, planującego stworzenie „organizacji terrorystycznej”. Cel W. był niezwykle spektakularny – zamierzał on na marginesie IV Zjazdu PZPR wysadzić w powietrze siedzibę redakcji „Trybuny Ludu” w Warszawie. W tym celu zwrócił się o pomoc techniczną do Niemiec Zachodnich, skąd też otrzymał materiał wybuchowy, ukryty w przesłanym

paczką pudełku z proszkiem do prania. W. jednak w porę aresztowano i skazano (w 1965 r.) na sześć lat więzienia, dzięki czemu „Trybuna Ludu” nie musiała szukać nowego lokum.

Przaśny „rewizjonizm” w śląskiej codzienności

Szpiegostwo, dywersja, konspiracja tworzyły najbardziej skrajny biegun zachowań określanych jako „rewizjonistyczne”. Biegun drugi stanowiły postawy teoretycznie bardziej „niewinne”, nawet z punktu widzenia bezpieki. Jednak te tzw. „zewewnętrzne formy działalności rewizjonistycznej” traktowane były przez UB, a potem SB, z całą powagą. Świadczyć miały o stałej skłonności ludności „autochtonicznej” ku niemczyźnie i odrzucaniu integracji ze społecznością polską. Rozmowy w języku niemieckim, jak uważała SB, miały charakter manifestacji politycznej, nierzadko obliczonej na wywarcie wrażenia na przedstawicielach ludności napływowej. Manifestacje te budowały wśród „napływowych”, jak ujmowano to w ówczesnej retoryce, „poczucie tymczasowości”, tworząc następującą konstrukcję myślową: gospodarzami na Górnym Śląsku są „autochtoni” – „autochtoni” to *de facto* Niemcy – Górny Śląsk jest ziemią niemiecką – przekazanie go Polsce jest nadużyciem – nadużycie to prędzej czy później zostanie skorygowane na korzyść Niemiec. Refleksje takie buszowały raczej po obszarach podświadomości, na zdrowy rozsądek bowiem dla każdego musiało być jasne, że jakakolwiek zmiana granic jest mało prawdopodobna, jeśli nie niemożliwa. To, że faktycznie wielu Górnoślązaków w głębi ducha miało nadzieję na taki obrót spraw, było przejawem swoistego zaklinania rzeczywistości, formą odreagowania poczucia dyskryminacji, marginalizacji oraz regresu cywilizacyjnego, jaki dotknął Górny Śląsk po 1945 r. Lekarstwem na te wszystkie problemy miała być zatem zmiana granic, a przynajmniej zmiana obywatelstwa – emigracja do Republiki Federalnej.

SB zwalczała więc bezwzględnie wszelkie przejawy pielęgnowania „niemczyzny” i oczywiście wszelkie jej publiczne okazywanie. Do tzw. „zewewnętrznych form działalności rewizjonistycznej” zaliczano: „rozpowszechnianie propagandy rewizjonistycznej”, zwykle poprzez „szeptankę”, „malowanie hasel o treści rewizjonistycznej”, „pochwalanie faszyzmu i śpiewanie hitlerowskich piosenek w miejscach publicznych”, „prowokacyjne używanie języka niemieckiego”, „lżenie narodu polskiego”, „propagowanie wojny i odwetu, [...] negacja naszych granic zachodnich i północnych, kolportaż hitlerowskich książek, bro-

szur, albumów, płyt i taśm z nagraniami piosenek hitlerowskich, prasy rewizjonistycznej, kolportaż ulotek, wysyłanie anonimów z pogrózkami, przesyłanie w listach do NRF fałszywych danych o stosunkach w Polsce, danych szkalujących ustrój itp.” Warto pamiętać, że te terminy z kręgu *linguae securitate*, specyficznej „nowomowy” Służby Bezpieczeństwa, bynajmniej nie oznaczają prostego opisu rzeczywistości. Przeciwnie, często wykoślawiają faktyczny obraz realiów. Przykład z Tarnowskich Gór: pijani osobnicy śpiewali wieczorem piosenkę, określoną przez informatora SB jako „hymn hitlerowski” („Heili, heilo”). Esbecy potraktowali informację poważnie i zdarzenie zaliczyli do kategorii „pochwalanie faszyzmu i śpiewanie hitlerowskich piosenek w miejscach publicznych”. A przecież krytykowana piosenka to banalny, zupełnie apolityczny utwór „Ein Heller und ein Batzen” z początków XIX w. (jego refren skądinąd brzmi poprawnie „Heidi, heido”), który z nazizmem tyle miał wspólnego, że śpiewany bywał w latach III Rzeszy – nie on jeden, rzecz jasna.

Popularność piosenek niemieckich na Górnym Śląsku była zjawiskiem zupełnie naturalnym. Wciąż posiadano płyty gramofonowe z przedwojennymi nagraniami niemieckich *schlagrów*, nowe otrzymywano też w paczkach. Przy pomocy magnetofonów szpulowych – jak produkowana od 1958 r. „Melodia” czy nieco późniejszy „Tonette” – można było nagrywać piosenki emitowane w zachodnich radiostacjach. Na zabawach tanecznych, zwłaszcza w mniejszych miejscowościach, utwory niemieckie rządziły więc niepodzielnie. Zdarzało się nawet, jak odnotowano we wczesnych latach 50. w odniesieniu do osiedla Stolarzowice w powiecie tarnogórskim, że gdy na zabawie grano utwory polskie, ktoś przeciął kable z prądem i potańcówkę trzeba było przedwcześnie skończyć. Także zespoły przygrywające na imprezach często miały w swoim repertuarze piosenki niemieckie. Pod koniec lat 50. tarnogórski tygodnik „Gwarrek” alarmował, że rodzinny *band* Müllerów z Tarnowskich Gór wykonuje publicznie niemieckie hity, skądinąd ku uciechu publiczności. Kilka lat później SB dowiedziała się, że w jednej z wsi powiatu tarnogórskiego, Wieszowie, na potańcówkach w Gminnym Domu Kultury jego kierownik „zapodaje” stale utwory niemieckie. Taśmy magnetofonowe nakazano zarekwirować, a jednocześnie pilniej przyglądać się, czy do podobnych incydentów nie dochodzi i w innych miejscach. Z pewnością dochodziło: melodyjne niemieckie *schlagery* cieszyły się niesłabnącym powodzeniem, nawet kiedy na scenę muzyczną wkroczył już jazz i rock’n’roll. Bywało, że niemieckie hity puszczano nawet za pośrednictwem „radioli” przez zakładowe radiowęzły.

„Rewizjonistyczne napisy” pojawiały się niezwykle często i w najróżniejszych miejscach: na ulicach, murach domów, w zakładach pracy, na tablicach ogłoszeniowych itp. Drobnym przykładem z roku 1961 r. jest napis na szosie z Katowic do Lublińca, na wysokości Hanuska, który głosił: „Górny Śląsk znów będzie niemiecki”; w tym samym czasie i miejscu na tablicy ogłoszeń ktoś napisał, również po niemiecku: „Niech żyje Adenauer”, niedługo później szosę „ozdobiła” kolejna inskrypcja: „Moje ostatnie słowa: precz z polską świnia”. Towarzyszyły owym napisom oczywiście liczne swastyki. Przypadki takie notowano regularnie na niemal całym obszarze województwa, szczególnie na terenach „autochtonicznych”. Jednak przypisywanie im autorstwa wyłącznie „autochtonom” nie zawsze znajdowało oparcie w faktach. Zdarzało się, że „malarzami” swastyk byli nawet kresowiaci. Nazistowski symbol stał się z jednej strony znakiem, którym chuligani manifestowali swoją abnegację, po części jego rysowanie wyrażało niechęć wobec władzy, było rodzajem wymierzonej przeciw niej prowokacji.

Jako zjawisko o dużej częstotliwości, zwłaszcza w latach 60., SB odnotowywała przesyłanie anonimów o „wrogiej treści” do instytucji państwowych oraz anonimów z pogrozkami do tzw. „aktywu społecznego”. W 1965 r. esbecy z niepokojem stwierdzili, „że działalnością tą [anonimami pogrozkowymi – SR] zajmują się również osoby, które [...] wśród swego otoczenia mają opinię spokojnych i lojalnych obywateli”.

Zdarzały się i inne demonstracje niemczyzny. Na przykład w WKR paborowi oświadczały, że są Niemcami i odmawiali odbycia służby wojskowej. Wykręcenie się od szaczonej służby w LWP metodą „na Niemca” nie było może bardzo rozpowszechnione, niemniej zdarzało się – w latach 1960-1964 zanotowano 151 takich przypadków, najwięcej w Bytomiu.

O wiele częstsze były sytuacje powrotu do dawnych nazwisk niemieckich. Po akcji polonizacji nazwisk z lat 40., kiedy w ramach polityki „odniemczania” nie tylko spolszczano zapis nazwisk o słowiańskim brzmieniu, ale i całkowicie zmieniano nazwiska niemieckie, po 1956 r. nastąpiła fala odwrotna. W latach 1956-1964 wpłynęło do Wydziału Spraw Wewnętrznych Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach ogółem 4491 wniosków o przywrócenie dawnego brzmienia nazwisk.

Oczywiście SB starała się zachowaniom „rewizjonistycznym” energicznie zapobiegać. Stosowano więc szeroki repertuar „środków profilaktyczno-zaradczych”: areszty na podstawie sankcji prokuratora, zatrzymania na 24 i 48

godzin, wnioski o ukaranie do kolegium karno-administracyjnego, rozmowy profilaktyczne, skierowanie spraw do prokuratury przez SB, MO etc. Interesującym rodzajem profilaktyki było udzielanie przyzwolenia na wyjazd do RFN tzw. „elementowi uciążliwemu”. Podczas gdy wiele osób na próżno oczekiwało na zgodę na paszport do RFN, wystarczyło parę razy „podpaść” SB czy MO – chociażby dając w stanie nietrzeźwym recital piosenki niemieckiej lub malując swastykę w zakładowej szatni – i szanse na opuszczenie PRL gwałtownie rosły. Formą karania było też przekazywanie informacji o zachowaniach „rewizjonistycznych” różnym instancjom administracyjnym, które później realizowały politykę szykan i mnożenia uciążliwości wobec oskarżonych osób. W 1965 r. odnotowano 68 przypadków, kiedy po informacji o rozmowach toczonych po niemiecku przez pracownika przekazanej kierownictwu zakładów zwalniano za to z pracy albo przenoszono na mniej odpowiedzialne stanowiska.

Paczki, instrument odwetowców

Płk Stanisław Opitek z Wydziału III SB pisał w 1966 r.: „Działalność tego typu [„rewizjonistyczna” – SR] w wielu przypadkach jest odruchem jak gdyby samoistnym, albo żywiołowym, występującym z potrzeby uzewnętrznienia swojej nienawiści do Polski. [...] Zrozumiałym jest, że te – na pierwszy rzut oka – niezorganizowane wystąpienia nie powstają w próżni. Są one wynikiem oddziaływania, które różnymi kanałami przenika z NRF, czy to w prywatnej, indywidualnej korespondencji, czy też na bazie styku wyjeżdżających i przyjeżdżających”.

Stwierdzono już wprost w „antyrewizjonistycznej” uchwale Sekretariatu KC PZPR z czerwca 1960 r., że przysyłane z RFN paczki i listy są głównym kanałem „transmitowania ideologii szowinistycznej”. W połowie lat 60. corocznie na teren województwa katowickiego napływało półtora mln prywatnych listów z RFN, gdzie, jak pisał cytowany już Opitek, „często [...] gloryfikuje się prawdziwy lub urojony standard życiowy w NRF, przysyła wycinki z prasy rewizjonistycznej i podsycia niewiarę w trwałość naszych granic. Po każdym zjeździe czy spotkaniu ziomek w NRF nadsyłane są listy z opisami tych spotkań, wyjątki z wrogich Polsce przemówień działaczy odwetowych itp.” Nie inaczej było z „akcją paczkową”. Tylko w latach 1962-1964 do województwa katowickiego przysłano z RFN ok. 900 tys. paczek. W ówczesnych warunkach (podobnie jak w dobie kryzysu gospodarczego

dwie dekady później) towary z RFN świadczące o rozkwicie tamtejszej „społecznej gospodarki rynkowej” działały jak objawienia doskonalszej rzeczywistości. Nie dziwi więc niechęć do nich ze strony aparatu bezpieczeństwa: jedna paczka stanowiła zapewne o wiele silniejszą „dywersję antysocjalistyczną” niż dziesiątki ulotek i broszur ziomkowskich. Jeszcze większe wrażenie wywierały odwiedziny krewnych z RFN, nierzadko przyjeżdżających świetnymi samochodami. Zupełny wstrząs powodował natomiast pobyt z wizytą czasową w RFN, po którym świadomość ułomności PRL nabierała cech trwałych i niewzruszonych.

Korzystając z hojności różnorodnych zachodnioniemieckich instytucji i osób prywatnych, niektórzy obywatele polscy pisali listy z prośbami o przysyłanie paczek, argumentując to kiepskim położeniem materialnym. Te tzw. „listy żebracze” – nieobce rzecz jasna SB – władze polskie uznawały za wyjątkowo fatalną wizytówkę kraju. Dlatego SB akcją „żebraczej” korespondencji starała się wygaszać, m.in. przeprowadzając z nadawcami rozmowy ostrzegawcze.

Macki „ziomków”

Esbecja, jak już wspomniano, przekonana była, że proniemieckie nastroje Górnoślązaków utrzymywały się m.in. wskutek docierania do nich ziomkowskiej propagandy. W połowie lat 60. katowicka SB szacowała, że w ruchu ziomkowskim działały „tysiące osób” pochodzących z Górnego Śląska. Dzięki kontaktom, które osoby owe wciąż zachowywały na terenie województwa katowickiego, oddziaływanie ziomkostw miało być wydatnie ułatwione.

Istotnym zadaniem SB było więc paraliżowanie owego wpływu, m.in. poprzez operacje wymierzone w działaczy ziomkowskich z Górnego Śląska. Przy okazji gromadzono na nich kompromitujące materiały, głównie dotyczące działalności w okresie przedwojennym czy w czasie wojny, które można było następnie użyć w prasie. Na celowniku katowickiej SB znalazł się m.in. jeden z liderów Ziomkostwa Śląska w latach 60. i redaktor pisma „Der oberschlesische Kurier”, pochodzący z Katowic Helmut Kostorz. W ramach operacji „Helmut” niewiele jednak dało się ustalić i w 1983 r. rzecz odesłano *ad acta*: Kostorz był już wówczas zbyt stary, do Polski nie przyjeżdżał, a próby podstawienia agentury nie powiodły się, bo zdaniem zawiedzionej SB w Katowicach, był bardzo nieufny wobec ludzi z Polski, których nie znał – przy okazji ustalono, że nieobce mu były metody pracy wywiadu i kontrwywiadu.

Nieco inaczej przedstawiała się sprawa z prominentnym działaczem Ziomkostwa Górnoślązaków i Związku Wypędzonych, Herbertem Czają. Związany ze Skoczowem, a urodzony w Cieszynie polityk CDU, wybrany został w 1964 r. na federalnego przewodniczącego Ziomkostwa Górnoślązaków. W lutym roku następnego referat SB w KP MO w Cieszynie rozpoczął wymierzoną w Czają sprawę operacyjnej obserwacji krypt. „Poseł”, pozostającą pod kontrolą Wydziału II SB w Katowicach. Operacją interesowała się też Warszawa, szczególnie po tym, jak w 1970 r. Czaja wybrany został federalnym szefem Związku Wypędzonych, a następnie głosował w Bundestagu przeciw ratyfikacji traktatu „granicznego” między RFN a PRL, w związku z czym MSW wpisało go na indeks osób niepożądanych w Polsce (1972 r.). Osiągnięcia cieszyńskiej esbecji nie były zbyt imponujące – udało się ustalić szereg osób, które znały bądź mogły znać Czają, ale żadnego oddziaływania na teren województwa nie udało się ustalić. Nie powiodły się także próby zebrania materiałów obciążających aktywność Czaji w czasie okupacji – w Krakowie i Zakopanem, jak i przed wybuchem wojny, podczas pracy w charakterze nauczyciela-germanisty w gimnazjum w Mielcu. W lutym 1971 r. na łamach krakowskiego „Życia Literackiego” ukazał się artykuł dziennikarza Leszka Hajdukiewicza, który w archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego znalazł więcej materiałów o Czaji niż cieszyńskiej SB udało się zebrać w ciągu sześciu lat żmudnego postępowania. Natomiast pewien sukces odnotować mogła SB z Katowic – jej tajny współpracownik ps. „Historyk” (znany historyk, zasłużony bibliotekarz i aktywny działacz społeczny Franciszek Sz.) spotkał się z Czają podczas zleconej mu przez SB podróży do RFN i w raporcie z tego spotkania przedstawił szereg cennych informacji o polityku. SB przestała zajmować się Czają dopiero w czerwcu 1989 r.

* * *

Wydawać by się mogło, że „antyrewizjonistyczna” obsesja bezpieczeństwa skończyć się powinna wraz z procesem uznania polskiej granicy zachodniej przez Republikę Federalną Niemiec (1970-1973). Było jednak inaczej. Linie polityki zwalczania „rewizjonizmu” poddano jedynie pewnym retuszom, przetrwały one wszakże w swoim rdzeniu aż do lat 80. Niemniej od momentu powstania demokratycznej opozycji i „Solidarności”, „rewizjoniści” stracili

swoją pierwszoplanową pozycję jako obiekty pracy operacyjnej katowickiej SB, spadając do rangi drugorzędnych przedmiotów jej aktywności.

Źródła i literatura:

Akta z zasobu Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Katowicach: sygn. IPN Ka 030/188 t. 1-3; IPN Ka 30/21 t. 1-3; IPN Ka 047/2143; 058/34 t. 1; IPN Ka 083/48; IPN Ka 0124/11; IPN Ka 0124/16; IPN Ka 0124/18; IPN Ka 0216/43; IPN Ka 0216/66; IPN Ka 0216/67.

Akta z zasobu Archiwum Państwowego w Katowicach: KW PZPR Katowice Wydział Propagandy; KW PZPR Katowice Wydział Propagandy.

„Dziennik Zachodni”

„Gwarek“

„Poglądy”

„Śląsk Literacki”

„Trybuna Robotnicza”

Biuletyny Informacyjne Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego 1946, Warszawa 1996.

Informator o osobach skazanych za szpiegostwo w latach 1944-1984, Lublin 1994.

J. Bielski, *Polski punkt widzenia na strategię i taktykę zachodnioniemieckiego rewizjonizmu terytorialnego*, „Studia Śląskie”, t. XLVI, 1988.

M. Cygański, *Zawsze przeciwko Polsce. Kariera Otto Ulitza*, Warszawa 1966.

A. Dziurok, A. Dziuba, *Die Aufdeckung und Bekämpfung des „revisionistischen Elements” in der Woiwodschaft Kattowitz in den fünfziger und sechziger Jahren*, „Jahrbücher für Geschichte Osteuropas“, Bd. 51, 2003, H. 2.

W. Gomułka, *O problemie niemieckim*, Warszawa 1968.

R. Hajduk, *Przesiedleńcy w nowym Bundestagu*, Opole 1961.

J. Izydorczyk, *Rewizjonizm zachodnioniemiecki*, Warszawa 1960.

B. Linek, *Polityka antyniemiecka na Górnym Śląsku w latach 1945-1950*, Opole 2000.

Idem, *„Rewizjonizm niemiecki” – skala, charakter i polityka władz bezpieczeństwa*, [w:] *Stalinizm i rok 1956 na Górnym Śląsku*, red. A. Dziurok, B. Linek, K. Tarka, Katowice-Opole-Kraków 2007.

P. Madajczyk, *Niemcy polscy 1944-1989*, Warszawa 2001.

T. Prandzioch, R. Buchała, P. Dobrowolski, B. Schmidt-Kowalski, *Ziomkostwa „Schlesierów” w latach 1962-1964. Organizacja-Polityka-Działalność*, Katowice 1969.

Skazani na karę śmierci przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Katowicach 1946-1955, opr. T. Kurpierz, Katowice 2004.

Adam Dziuba

Zamachowiec z Zagórze

Wizyta na najwyższym szczeblu

Latem 1959 r. cała Polska przygotowywała się do powitania Nikity Chruszczowa, I sekretarza Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, przywódcy „zaprzyjaźnionego mocarstwa” oraz jego licznej świty. Zwierzchnika obozu socjalistycznego do złożenia wizyty z okazji święta XV-lecia Polski Ludowej zaprosił I sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Władysław Gomułka. Oficjalna informacja o odwiedzinach na najwyższym szczeblu pojawiła się w sobotę 4 lipca, a prasa przekazała ją dwa dni później, w poniedziałek 6 lipca. „Trybuna Robotnicza”, organ Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach, przy okazji publikacji tej elektryzującej wiadomości podała skład delegacji radzieckiej. Obok Chruszczowa znaleźli się w niej m.in.: wiceminister spraw zagranicznych ZSRS Nikołaj Firiubin, członek KC KPZS A. Gajewoj, kolejny członek KC KPZS T. Kisielow, przewodniczący Rady Ministrów Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej I. Jefremow, przewodniczący RM Litewskiej SRS M. Szumauskas, oraz kilku innych oficjeli. Gazeta początek wizyty zapowiadała na 14 lipca. Tęgo też dnia „Trybuna Robotnicza” przedstawiła program pobytu delegacji radzieckiej w Polsce. Dostojnicy mieli wylądować na lotnisku Babice pod Warszawą. O 11.00 spodziewano się ich w stolicy. Transmisję na żywo z powitania Chruszczowa zapewniało „Polskie Radio”, w dziennikach telewizyjnych miały się pojawiać krótkie informacje z kolejnych dni wizyty.

„Trybuna Robotnicza” podała też program pobytu gości w województwie katowickim. Chruszczow i jego świta mieli przyjechać specjalnym pociągiem na stary dworzec katowicki 15 lipca ok. godziny 13.00. Witąć ich miał gospodarz województwa – I sekretarz KW PZPR Edward Gierek. Później Chruszczow, Gomułka i Gierek planowali objazd części województwa odkrytą limuzyną. Gazeta przedstawiła przy okazji szczegółową trasę tej wycieczki, wraz z orientacyjnymi godzinami przyjazdu do poszczególnych miejscowości



Nikita Chruszczow na spotkaniu z załogą kopalni „Niwka” w Zagłębiu, 15 lipca 1959 r. Z lewej Władysław Gomułka, z prawej Aleksander Zawadzki

i nazwami ulic, którymi miała podróżować kolumna samochodów – to na użytek rozentuzjarmowanych tłumów witających przywódców partyjno-państwowych. Z Katowic delegacja z ZSRS wraz z polskimi gospodarzami udawała się do Świętochłowic, dalej do Rudy Śląskiej i Zabrze, gdzie spodziewano się gości ok. 13.40. Spod zabrzańskiej kopalni „Pstrowski” zaczynał się następny odcinek trasy wiodący przez Bytom, Chorzów i Siemianowice. Tam przywódcy ZSRS oczekiwano ok. 14.45. Następnie dostojnicy mieli się udać w podróż do Sosnowca, Będzina i Dąbrowy Górniczej. W tej ostatniej miejscowości spodziewać się ich należało ok. 15.20. Z Dąbrowy Górniczej, przez Zagórze i Niwkę, delegacja partyjno-rządowa zamierzała dojechać do Mysłowic (planowy przyjazd ok. 16.15), a stamtąd przez Szopienice wrócić do Katowic. Ok. 18.30 zaplanowano zwiedzanie Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie. Noc goście spędzali w Katowicach. Na drugi dzień wizyty w województwie przygotowano odwiedzinę w Muzeum w Oświęcimiu, dokąd Chruszczow miał dojechać drogą przez Kosztowy, Imielin i Bieruń Stary. W drodze powrotnej przewidziano postój w Tychach, a potem powrót do

Katowic przez Mikołów. Wizytę I sekretarza KC KPZS na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim miał zakończyć wiec w stolicy województwa.

16 lipca „Trybuna Robotnicza” szeroko rozpisywała się o pierwszym dniu pobytu Chruszczowa na Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim. W artykułach omawiano ogromne manifestacje przyjaźni i masy kwiatów, którymi witano gości na całej 120-kilometrowej trasie. W gazecie umieszczono liczne zdjęcia: Chruszczow, Gomułka i Gierek w limuzynie, Chruszczow uśmiechnięty, machający z samochodu wiwatującym tłumom, pozujący fotografom w górniczym czako. Wszystko złożyło się na fotoreportaż przedstawiający obraz sielankowej, radosnej fety.

Oczywiście wizyta dostojników, prócz malowania posesji przy trasie, naprawy dróg, wznoszenia bram powitalnych i starannej reżyserii kolejnych powitań „chlebem i solą”, czym zajęła się PZPR, wymagała też zabiegów zupełnie innych, znajdujących się w repertuarze Służby Bezpieczeństwa. Jej funkcjonariusze musieli się zająć starannym zabezpieczeniem trasy przed wrogimi wystąpieniami: nieprzyjawnymi okrzykami, próbami zorganizowania demonstracji, a nawet zamachami.

Zmudne przygotowania Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Katowicach, komend powiatowych oraz miejskich, znacznie wyprzedziły komunikaty o przyjeździe gości. Akcja zabezpieczająca pobyt Chruszczowa w województwie katowickim otrzymała kryptonim „Przyjaźń”. Jej plan powstał 11 czerwca 1959 r., a opracowano go na podstawie rozkazu komendanta wojewódzkiego MO z 2 czerwca 1959 r. SB zaplanowała zatem stosowne przedsięwzięcia operacyjne zabezpieczające trasy przejazdów, obiekty przemysłowe, które zwiedzić mieli dostojni goście, miejsca postoju i wypoczynku przywódcy ZSRS, jego świty i polskich oficjeli. Działania SB nadzorowała licząca siedmiu funkcjonariuszy Grupa Koordynująca. Na jej czele stał kpt. Włodzimierz Kruszyński.

Kolejnym etapem przygotowań SB było opracowanie szczegółowych rozwiązań akcji „Przyjaźń” w poszczególnych powiatach. Niestety zachowała się tylko ich dokumentacja z Komendy Powiatowej MO w Tarnowskich Górach. W tej jednostce ostateczna wersja planu została zredagowana 4 lipca. Zwrócono uwagę na potencjalne zagrożenie ze strony ludzi, którzy publicznie wyrażają się negatywnie o ZSRS lub mogą nielegalnie posiadać broń. Objęto ich inwigilacją. Wytypowano osoby, które należało profilaktycznie zatrzymać na 48 godzin i takie, z którymi miały być przeprowadzone rozmowy ostrze-

gawcze. Niektórym osobom posiadającym legalnie broń myśliwską na czas pobytu delegacji zamierzano ją odebrać i zdeponować. Inwigilacją objęto mieszkańców posesji przy trasie przejazdu, delegacje witające gości i gapiów. Wśród tych ostatnich mieli się znaleźć informatorzy SB. Otrzymali oni zadanie zwracania uwagi na wszelkie próby prowokacji i zakłócenia porządku oraz powiadamiania o nich sił porządkowych. Obserwacją agenturalną planowano objąć wszystkich cudzoziemców, którzy przebywali na terenie powiatu (doliczono się ich 13, w tym pięciu z NRD). Zabezpieczeniem objęto budynki przy trasie przejazdu sowieckiej delegacji i zakłady przemysłowe, w których składowano materiały wybuchowe, a także takie, gdzie stacjonowały uzbrojone formacje straży. Ponadto wytypowano, jako punkty mogące stanowić potencjalne zagrożenie, dwa mosty. Najpierw mieli je sprawdzić saperzy, a potem stale patrolować funkcjonariusze SB. 13-kilometrowy odcinek drogowy na terenie powiatu tarnogórskiego (z Brzezin Śląskich przez Piekary Śląskie do Świerklańca) powinno ochraniać 208 funkcjonariuszy SB, MO i Ochotniczej Rezerwy MO – czyli średnio jeden funkcjonariusz na 60 m trasy.

Mimo wszystkich przygotowań i pełnej mobilizacji aparatu bezpieczeństwa zdarzyła się jednak rzecz nieoczekiwana i bardzo przykra dla organizatorów wizyty Chruszczowa. Na trasie przejazdu, w Zagórz (obecnie dzielnica Sosnowca), detonowała bomba. Fakt ten najbardziej dotknął zapewne Gierka, bo nie dość, że do eksplozji doszło w województwie, którego był „gospodarzem”, to do tego w miejscowości, gdzie zamieszkała jego matka (przed wojną na krótko przebywał w niej też on sam). Detonacja nastąpiła o godzinie 14.30 przy prawie pustej jeszcze drodze, na godzinę przed planowanym, a trzy przed rzeczywistym, przejazdem kolumny samochodów z dostojnikami (goście mieli dwugodzinne opóźnienie z powodu przewlekłych ceremonii powitalnych na trasie). Do wybuchu doszło w koronie drzewa przy ul. Armii Czerwonej, w odległości ok. 100 m od posterunku MO. Drzewo zostało rozszarpane, część konarów odpadła, a w pobliskich domach wyleciały szyby. Odlamkiem w nogę został lekko zraniony jeden z porządkowych na trasie przejazdu. W opublikowanych po latach wspomnieniach, ówczesny komendant wojewódzki MO w Katowicach Franciszek Szlachcic stwierdził, że celem zamachowca stała się wysłana przodem, niejako „na wabia” kolumna samochodów pozorujących przejazd dostojników. Szlachcic, kreując się na „superglinę”, chciał w ten sposób podkreślić profesjonalizm podległych mu służb, które nawet do ewentualności wybuchu bomby na trasie były dobrze



Nikita Chruszczow podczas objazdu niecki węglowej w drodze między Świętochłowicami i Katowicami, 15 lipca 1959 r.

przygotowane. Źródła jednak milczą na temat poprzedzającej Chruszczowa i jego świtę specjalnej grupy pojazdów. Wypada zatem to im dać wiarę, że przy szosie w momencie detonacji było razem kilkunastu gapiów i porządkowych.

Bezsukuteczne śledztwo

SB niezwłocznie przystąpiła do działań. Zabezpieczono trasę, ściągnięto posiłki, rozpoczęto przeczesywanie miejsca wybuchu w poszukiwaniu śladów. Postarano się też o zachowanie zdarzenia w tajemnicy – przecież przywódcę Związku Sowieckiego miały w Polsce witać wybuchy owacji tłumów, nie bomb. Blokadę informacyjną udało się zresztą utrzymać: cenzurowane gazety z następnego dnia donosiły o pełnym sukcesie wizyty. Wzmianki o eksplozji w Zagórze oczywiście nie było. Nawet w okolicznych miejscowościach pojawiły się tylko nieliczne pogłoski o zdarzeniu.

Dla SB szybkie ujęcie sprawcy wybuchu było kwestią prestiżową. Kierownictwo akcji poleciło grupie zabezpieczającej trasę prowadzić wstępne czyn-

ności operacyjno-śledcze, czyli zabezpieczenie i oględziny miejsca wybuchu. Rozpoczęto je od sprawdzenia epicentrum eksplozji. Drzewo, na którym umieszczono bombę, rosło na skraju niewielkiego zagajnika i stykało się konarami z innymi. Nieopodal przebiegały linie energetyczne: wysokiego napięcia i radiofoniczna (niskiego napięcia 24 V). W koronie drzewa funkcjonariusze odnaleźli dwa przewody dochodzące do obydwu linii. W promieniu 100 m od miejsca zdetonowania ładunku znaleziono metalowe odłamki (część była wbita w pnie) i fragment koperty zegarka ręcznego poddany działaniu wybuchu i wysokiej temperatury. W pobliskim ogródku działkowym, przy którym stał słup linii wysokiego napięcia, znaleziono z kolei ślady obuwia. Zabezpieczono je i sprowadzono psy tropiące. Jeden z nich doprowadził ekipę funkcjonariuszy pod Dom Górnika w Dąbrowie Górniczej, drugi zaś do mieszkania Stanisława R. w Zagórzcu. Przebywał w nim sam Stanisław R. wraz z córką i zięciem. Całą trójkę zatrzymano – poważną poszlaką był przy tym znaleziony w mieszkaniu zwój górniczego drutu strzelniczego. Przystąpiono też do przesłuchań świadków zdarzenia i osób mieszkających w pobliżu trasy przejazdu delegacji partyjno-rządowej. Śledczy dowiedzieli się wówczas o czwórce robotników, którzy kilka dni przed wybuchem podłączali kable, a jeden z nich siedział pod drzewem. Po ustaleniu personaliów zostali oni niezwłocznie zatrzymani. Aresztowano także siedmiu pracowników kopalni „Mortimer”, którzy naprawiali i malowali parkan niedaleko miejsca eksplozji. W kręgu podejrzeń znalazły się również inne osoby.

23 lipca 1959 r. w katowickiej SB powołano specjalną dwunastoosobową grupę operacyjno-śledczą. Wstępnie przyjęła kilka kierunków działania. Pierwszym miała być dalsza inwigilacja Stanisława R. i jego bliskich. Kolejny trop wiązał się z radiowęzłem, który nadawał audycje za pomocą linii niskiego napięcia 24 V. Eksperci nie wykluczali, że gdyby została ona spięta z zapalnikiem bomby, krótkotrwały skok napięcia mógłby doprowadzić do eksplozji ładunku wybuchowego. Ponieważ pracownicy radiowęzła stwierdzili zakłócenia w odbiorze audycji i nie zgłosili ich, znaleźli się w kręgu podejrzanych. Następnym kierunkiem działania grupy śledczej miała być inwigilacja lokatorów Domu Górnika w Dąbrowie Górniczej. Zamierzano też poddać kontroli ludzi mieszkających w pobliżu miejsca wybuchu i zainteresować się miejscowym elementem kryminalnym.

Sprawie wybuchu w Zagórzcu nadano kryptonim „Ukryty”. Jeszcze 15 lipca 1959 r. rozpisano do niej plan przedsięwzięć. Szczególnie nasilonę inwi-

gilacji zamierzano poddać rodzinę R. – agentura miała ją stale kontrolować w pracy i w domu. Ponadto należało sprawdzić bliżej niesprecyzowane pogłoski o istniejącej w Dąbrowie Górniczej organizacji podziemnej „Orzeł” oraz wytypować spośród prawie 300 byłych informatorów bezpieczeństwa z Zagłębia Dąbrowskiego grupę szczególnie cennych konfidentów i ponownie podając z nimi współpracę (niebawem „na kontakcie” SB znalazło się 56 dawnych tajnych współpracowników i kilkunastu nowo zwerbowanych). Grupa operacyjno-śledcza sięgnęła także do archiwum KW MO Katowice, bowiem przechowywano tam akta sprawy o kryptonimie „C-5” dotyczącej szeregu aktów dywersji przeprowadzonych na terenie Zagłębia Dąbrowskiego w latach 1952-1953. Ich sprawca nie został nigdy ujęty, toteż funkcjonariusze bezpieczeństwa podejrzewali, że mógł być tą osobą, która odpaliła bombę z okazji wizyty Chruszczowa. Rozpoznawano też inne niewyjaśnione detonacje ładunków wybuchowych, do których kilkakrotnie doszło w Zagórze i okolicach w ostatnich latach.

Członkowie grupy operacyjnej sumiennie sprawdzali wszystkie ślady pojawiające się w informacjach przekazywanych przez konfidentów, szczególnie jeśli dotyczyły eksplozji. Jeden z nich wiódł do górnika kopalni „Mortimer”, podejrzanego o wyniesienie z kopalni górniczego materiału wybuchowego. Okazało się, że posłużył on do głośnienia ryb w stawie. Uczestnicy nielegalnego połowu trafili wprawdzie do sądu, ale to nie oni przygotowali bombę z okazji przyjazdu Chruszczowa. Wykryto też sprawców innego wybuchu poprzedzającego o kilka tygodni wizytę sowieckich oficjeli – kilku chłopców, którzy odpalili wojskową petardę. Funkcjonariusze zatrzymali również mężczyznę, który przechowywał proch i kilka naboju do broni myśliwskiej. Skazano go za nielegalne posiadanie materiałów wybuchowych na trzy miesiące więzienia w zawieszeniu.

Informacje konfidentów wskazały też inne osoby, których zachowanie w dniach poprzedzających wizytę przywódcy ZSRS zdawało się tajemnicze. Zatrzymano więc pewnego mężczyznę, którego żona zeznała, że przez kilka dni po 15 lipca jej mąż nie wracał do domu. W czasie przesłuchania aresztowany przyznał się, że podkradł małżonce 500 zł, za które przez kilka dni pił wódkę. Rzeczywiście, nie pojawiał się w tym czasie w mieszkaniu. Zeznania te potwierdzono, a pijaka wypuszczono. Na krótko zatrzymano niejakiego Mirosława K., który wedle jednego z konfidentów miał ukrywać broń palną. W czasie rewizji znaleziono jednak tylko straszak. Wyjaśniono też sprawę ta-

jemniczych śladów w ogródkach działkowych. Zostawili je uczestnicy nocnej libacji, którzy jednak nie mieli żadnego związku z zamachem. Była i ofiara owego pijaństwa – milicjant, który przyłączył się do niego w czasie pełnienia służby. Zwolniono go z pracy i postawiono przed sądem. Ostatecznie nie potwierdziły się też podejrzenia wobec Stanisława R. i jego rodziny, monterów, pracowników radiowęzła i górników malujących parkan. Wszystkich trzeba było wypuścić z aresztu.

Tropów wiodących do zamachowca intensywnie poszukiwał też Wydział „W” zajmujący się inwigilacją korespondencji. Lektura listów przyniosła np. tajemnicze pismo adresowane do jednego z mieszkańców Dąbrowy Górniczej, kończące się prośbą o pilne spotkanie. Przeprowadzono tzw. kombinację operacyjną, mającą doprowadzić do oficjalnego poznania przez SB treści listu i jednocześnie skłonić jego adresata do złożenia wyjaśnień. Funkcjonariusze wkroczyli zatem do jego domu i rozpoczęli rewizję. Czynność tę skorelowano z pojawieniem się listonosza – list oczywiście zakwestionowano i legalnie włączono do materiałów śledztwa. Zeznania adresata nie pomogły jednak wiele śledczym – stwierdził on bowiem, że tajemnicze żądanie spotkania ma podłoże romantyczne (zakochała się w nim pewna nastolatka). Wiadomości wyczytane w innych listach także nie przyczyniły się do wykrycia sprawcy zamachu.

Mało satysfakcjonujące okazały się wyniki badań konstrukcji bomby przeprowadzone przez kilka niezależnych zespołów eksperckich. Ich opinie powołujące się na konieczność podłączenia zapalnika do dwóch linii zasilających wskazywały, że bombę skonstruował ktoś biegle znający się na elektrotechnice. Zaś znalezienie części zegarka mogło wskazywać, że był on elementem mechanizmu uruchamiającego zapalnik. Naukowcy z Wojskowej Akademii Technicznej uważali, że bomba składała się z materiału wybuchowego (np. górniczego) w obudowie papierowej lub drewnianej, która uległa całkowitemu spaleniowi w momencie eksplozji. Do ładunku wybuchowego włożono drobne elementy metalowe, mające razić odłamkami. Wewnątrz bomby, zdaniem naukowców z WAT, znajdował się zapalnik – spłonka elektryczna połączona z mechanizmem zegarowym nastawionym na odpowiedni czas. Zapłon uruchamiało zwarcie linii niskiego napięcia z uziemieniem linii wysokiego napięcia, co na krótki czas znacznie zwiększyło siłę impulsu elektrycznego. Z tezami opinii WAT w zasadzie zgodzili się eksperci Zakładu Kryminalistyki Komendy Głównej MO i biegli Ministerstwa Górnictwa i Energetyki.

Przeprowadzono nawet próby terenowe, ale bomba skonstruowana zgodnie ze wskazówkami zawartymi w opracowaniach eksperckich nie chciała wybuchnąć. Udało się ją zdetonować dopiero przy znacznym skoku napięcia na linii zasilającej radiowęzeł. Specjaliści uznali, że znaczne wahania napięcia występują przy audycjach muzycznych (słowne nie wywołałyby eksplozji). Trudno jednak wyobrazić sobie zamachowca, uzależniającego odpalenie swej bomby od stosownej dawki big-beatu czy jazzu w repertuarze radiowęzła.

Ponieważ biegli zgodni byli co do tego, że ładunek wybuchowy odpalał mechanizm zegarowy, SB przystąpiła do ewidencjonowania wszystkich zegarmistrzów z Zagórze, Dąbrowy Górniczej, Sosnowca i okolic. Rejestrowano zarówno działających oficjalnie, jak i takich, którzy pokątnie naprawiali zegarki znajomym. W samym Zagórze wytropiono ogółem 69 zegarmistrzów. Pod różnymi pretekstami z każdym z nich rozmawiano, pokazując zepsuty zegarek podobny do znalezionego w miejscu wybuchu. Dwóch przyznało, że chyba taki reperowali. Ostatecznie jednak, pytani już oficjalnie przez SB, wycofali się ze swoich twierdzeń. Trop „zegarmistrzowski” też się zatem urwał.

Mimo intensywnej pracy, grupa operacyjna nie mogła się wykazać żadnymi sukcesami. 17 grudnia 1959 r. została więc zreorganizowana – część funkcjonariuszy odwołano do innych zadań, pozostałych przydzielono do dwóch sekcji. Jedna działała bezpośrednio w Dąbrowie Górniczej, druga pracowała w KW MO w Katowicach. Utworzono też odrębną ekipę, która w Będzinie zajmowała się sprawdzaniem osób występujących w aktach niewyjaśnionych spraw sabotaży z początku lat 50. Za nieskuteczność działań SB odwołano zastępcę komendanta powiatowego MO w Będzinie ds. Bezpieczeństwa Ryszarda Puchałę. 15 stycznia 1960 r. przekazano go do dyspozycji komendanta wojewódzkiego MO.

Reorganizacja grup operacyjnych niewiele pomogła; śledczy i pracownicy operacyjni nadal dreptali w miejscu. Widoków na złapanie zamachowca nie było, chyba że przez przypadek. 27 lutego 1961 r. postępowanie umorzono. Następnego dnia za brak efektów półtorarocznego śledztwa ukarano obydwóch zastępców komendanta wojewódzkiego MO ds. Bezpieczeństwa. Eugeniusz Morawski odszedł na niższe stanowisko do Olsztyna, zaś Jan Gajek, który nie zgodził się na przeniesienie, odszedł na milicyjną emeryturę. Konsekwencji mógł się też obawiać komendant Szlachcic, ale jego akurat nic złego nie spotkało.

Po zamknięciu śledztwa nie zaniechano działań operacyjnych, tyle że prowadzono je już na minimalną skalę. W marcu 1961 r. znów zreorganizowano składy grup zajmujących się sprawą „Ukryty”. Od tej pory jej rozpracowaniem zajmowało się już tylko pięciu funkcjonariuszy.

Bilans przedsięwzięć SB w sprawie „Ukryty” przedstawiał się imponująco. Od 15 lipca 1959 r. do grudnia 1961 r. rozpoznaniem operacyjnym na terenie Zagórza i okolic objęto 6380 osób, z których 406 poddano ścisłej inwigilacji. 23 podejrzanych zatrzymano na 48 godzin, a wobec dziewięciu zastosowano areszt tymczasowy. Do pracy zaangażowano też inne pionierzy SB. Wywiadowcy Wydziału „B” (zajmującego się obserwacją zewnętrzną) śledzili ludzi wskazanych przez pracowników grup operacyjnych, zaś pracownicy Wydziału „T” (techniki operacyjnej) przez 144 dni od wybuchu prowadzili działania polegające na montażu podsłuchów, nagrywaniu i filmowaniu wytypowanych osób. Jego funkcjonariusze sporządzili też ok. 1000 kopii dokumentów dotyczących kontaktów i trybu życia ludzi objętych inwigilacją. Z kolei pracownicy Wydziału „W” (perlustracji korespondencji) w kilku punktach stałych i doraźnych, m.in. w Dąbrowie Górniczej, Będzinie, Sosnowcu i Katowicach, do maja 1961 r. kontrolowali przesyłki pocztowe. W ramach 121 zleceń przejęli i sprawdzili 286 599 listów i dokumentów. Wszystko na nic. Wysilek SB nie przyniósł efektu w postaci ujęcia sprawy wybuchu.

Na celowniku – Gomułka

Nieuchwytny zamachowiec nie pozwolił jednak o sobie zapomnieć. Tym razem jego celem stał się I sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka, który 3 grudnia 1961 r. odwiedził województwo katowickie z okazji Barbórki. W dniu górniczego święta, tuż po zakończeniu prac przy budowie nowej kopalni węgla „Porąbka” w Zagórzcu, nastąpił jej oficjalny rozruch. Na zorganizowaną z tej okazji uroczystość wybrała się delegacja partyjno-rządowa na najwyższym szczeblu.

O wizycie I sekretarza KC na Górnym Śląsku i w Zagłębiu informowała w piątek 1 grudnia „Trybuna Robotnicza”. Dziennik podkreślił przy okazji, że szczególnie wiele pracy w porządkowanie i przodabianie swej miejscowości włożyli mieszkańcy Zagórza. Rzeczywiście, zagórzanie o przyjeździe I sekretarza wiedzieli już jesienią: gorączkowo naprawiano oświetlenie, malowano płoty i domy oraz przygotowywano kopalnię do rozruchu. Domyślano się też, którędy przejedzie kolumna samochodów, bo na drodze dojazdowej

do kopalni od dłuższego czasu naprawiano nawierzchnię, a 2 grudnia ulica została udekorowana. Mieszkańcy znali też program uroczystości, bowiem rozesłano go uczestnikom. Gomułka miał się zjawić o godz. 10.00, zwiedzić nowo wybudowane obiekty, wziąć udział w zaplanowanej na 11.30 części oficjalnej składającej się z serii przemówień dygnitarzy i dekoracji odznaczeniami budowniczych kopalni. Na 13.50-14.00 zaplanowano zakończenie uroczystości, a delegacja miała opuścić zakład.

Ok. godz. 12.06, ulicą Krakowską od strony kopalni, wyjechała grupa samochodów, wśród których znalazły się trzy reprezentacyjne limuzyny. Konwój otwierał pojazd Polskiego Radia. Gdy auta zwróciły się z posesją nr 47, nastąpił wybuch miny ukrytej w przydrożnym słupku. Ranne zostały dwie osoby: dziewczynka, która przebywała akurat w domu przy Krakowskiej 47 i przechodzący w pobliżu górnik wracający z uroczystości. Odłamki posiekały też czarną limuzynę, wziętą przez zamachowca za samochód, którym jechała delegacja partyjno-rządowa. Jednak Gomułka przebywał jeszcze na terenie kopalni, a uszkodzeniu uległ prywatny pojazd. Bomba chybiła zatem celu. Szlachcic wspominał, że obawiając się zamachu, delegacja z Gomułką i Gierkiem wracała do Katowic boczną szosą, zaś na ul. Krakowską wypuszczono kolumnę pozoracyjną (jedną z dwóch), ale jego zapewnienia znowu nie znajdują potwierdzenia w materiale źródłowym.

Sprawa „Antena”

O próbie zamachu poinformowano niezwłocznie KW MO w Katowicach. Ta znów powołała grupę operacyjną, której pierwszym zadaniem było zagwarantowanie Gomułce i jego świcie bezpiecznego powrotu. Równocześnie podjęła pracę ekipa śledcza. Oględziny miejsca wybuchu doprowadziły do zlokalizowania szczątków bomby, jej podłączeń do linii zasilających, choć były one zamaskowane lub częściowo ukryte pod ziemią. W transformatorze wykryto „mostek” wykonany ewidentnie przez zamachowca. Znalaziono też ok. 50 metalowych odłamków. Jeszcze tego samego dnia na miejscu wybuchu znaleźli się wyżsi rangą funkcjonariusze Ministerstwa Spraw Wewnętrznych: wicedyrektor Departamentu III (zajmującego się zwalczaniem opozycji) płk Stanisław Filipiak i dyrektor Biura Śledczego płk Idzi Bryniarski. Towarzyszyło im kilku podwładnych. W Katowicach powołano sztab operacji. Znaleźli się w nim: Filipiak, Bryniarski, komendant wojewódzki MO płk Szlachcic oraz obydwaj jego zastępcy ds. bezpieczeństwa – Marian Dziekan i Włodzi-

mierz Kruszyński. Pierwszym wnioskiem sztabu było przyjęcie założenia, że zamachów z 15 lipca 1959 r. i 3 grudnia 1961 r. dokonała ta sama osoba. Następnie powołano szereg specjalistycznych komisji mających pomóc w jej zidentyfikowaniu, m.in. biegłych z zakresu elektrotechniki, radiotechniki, teletechniki i chemii oraz rzeczoznawców WAT. Zorganizowano również cztery grupy operacyjne i ekipę śledczą. Zaangażowano pracowników wydziałów „B”, „T” i „W” katowickiej KW MO. Sprawie nadano kryptonim „Antena”.

Jak zwykle zastosowano pełną blokadę informacyjną. Okazała się skuteczna. W lokalnej prasie pisano o „radosnej Barbórcie” i o tym, że ruszyła kopalnia „Porąbka”. W „Trybunie Robotniczej” z 4 grudnia 1961 r. dziennikarz wręcz drobiazgowo opisał przebieg wizyty Gomułki w Zagórz, pomijając tylko jeden jej detal – wybuch miny. Do mieszkańców województwa jak zwykle dotarły nieliczne pogłoski.

Grupy operacyjne podzieliły między siebie poszczególne miejscowości Zagłębia Dąbrowskiego i przystąpiły do rozbudowy sieci konfidentów. Ponownie podjęły lub doraźnie pozyskały (bez zachowania wszystkich obowiązujących w SB procedur) aż 220 tajnych współpracowników. Pierwsze uzyskane od nich dane pozwoliły na wytypowanie szeregu osób, których zachowanie mogło wskazywać na jakieś związki z zamachem. Znalazł się wśród nich osiadający wyrok przestępca, jakimś cudem mający wiedzieć, kto spowodował wybuch; kierownik radiowężła w Czeladzi, rozpowiadający, że zamierza popełnić samobójstwo, bo przypadkiem kilkakrotnie przerwał przekazywanie przemówień Gomułki; nieznana kobieta interesująca się zdrowiem rannych; wreszcie górnik strzałowy z kopalni „Mortimer-Porąbka”, którego teściowa dzień po wybuchu chyłkiem paliła jakieś przewody. Wszystkich, w zakamuflowany sposób, objęły inwigilacją grupy operacyjne.

Jawnie operowała grupa śledcza. Zaczęła od przesłuchań osób zatrzymanych za różne wykroczenia w nocy z 2 na 3 grudnia. Następnie jej funkcjonariusze rozmawiali ze wszystkimi robotnikami zajmującymi się różnymi pracami przy ul. Krakowskiej, a także jej mieszkańcami. Zaprotokołowano ogółem 137 przesłuchań i rozmów. Pojawiły się kolejne tropy i podejrzenia. Np. jedna z mieszanek Zagórz opowiedziała o kilku nieznanym, którzy zjawili się u niej dwukrotnie w sprawie zakupu drobiu, jakiś górnik widział zaś w dniu zamachu grupkę gapiów obserwujących ze wzniesienia obok kopalni ulicę Krakowską. Podejrzane było to, że po wybuchu uciekli. Wzgórze wskazane przez górnika natychmiast starannie przeszukano. W niewielkiej

grocie znaleziono ślady ogniska, porzucone puste butelki, zużyte buty i kawałki drutu. Handlarzy drobiem nie udało się odnaleźć.

Równolegle pracowały zespoły eksperckie, starając się rozwikłać konstrukcję miny, budowę mechanizmu zapalającego i badając ślady znalezione w okolicach miejsca detonacji. Istotne okazały się badania haczyka, którym zarzucono drut łączący detonator z linią energetyczną. Był on wycięty z metalu za pomocą nożyc, zacisk sporządzono narzędziem z uzębionymi szczękami, a drut przecięto szczypcami lub obcęgami. Te narzędzia można było zidentyfikować, pod warunkiem odnalezienia ich u sprawcy. Sporządzono ekspertyzę słupka betonowego, w którym zamachowiec ukrył bombę. Wykonano go w sposób chałupniczy z mieszaniny cementu i piasku w nietypowej proporcji 1:2. Swoje wyniki badań przedstawił też zespół ekspertów powołany do zbadania konstrukcji i sposobu odpalenia miny. Stwierdził on, że zamachowiec sam skonstruował bombę, umieszczając ładunek wybuchowy z zapalnikiem w metalowej rurze. Zapłon był elektryczny, sterowany zdalnie. Sprawca wykorzystał zasilanie z linii wysokiego napięcia i impuls z urządzenia odpalającego, za pomocą którego mógł doprowadzić do detonacji w wybranym przez siebie momencie. Instalowanie miny trwało ok. 15-30 minut, mógł z nim sobie bez trudu poradzić jeden człowiek, nie korzystając przy tym z dodatkowego oświetlenia.

W tym czasie sztab ustalił kryteria, według których do 18 grudnia 1961 r. wytypowano 500 osób z Zagórze i okolicy, mogących mieć coś wspólnego z wybuchem. Wszystkich ich objęto inwigilacją. Ponieważ według sztabu najistotniejszy był czynnik czasu – obawiano się, że sprawca pozbędzie się narzędzi użytych do budowy miny – rozpoczęto też typowanie ludzi, u których jak najszybciej miała zostać przeprowadzona rewizja. Przeszukanie u wszystkich 500 rozpracowywanych nie wchodziło w rachubę. Obawiano się nagłośnienia sprawy i innych reperkusji. Ostatecznie wybrano 70 osób. Rewizja miała być przeprowadzona w jednym czasie przez grupy liczące łącznie 260 funkcjonariuszy MO i SB. U dziesięciu szczególnie podejrzanych osób miał być założony podsłuch, z tej dziesiątki zaś pięciu ludzi zamierzano zatrzymać na 48 godzin, by wyjaśnić poszlaki, a także sprowokować ich domowników do dyskusji (oczywiście podsłuchiwanym).

Grupy mające przeprowadzać rewizje otrzymały nakazy prokuratorskie, a także szczegółowe wytyczne, czego należy szukać. Instrukcje wymieniały: przewody elektryczne, cement, zaprawy cementowe, rury kanalizacyjne,

urządzenia elektryczne itp. Te przedmioty należało zabezpieczyć. Natomiast nożyce, noże, obcegi, kombinerki i kleszcze miały pozostać pozornie nie-
tknięte, a śledczym w ogóle nie wolno było zdradzać zainteresowania nimi. Jednak faktycznie podstawowym zadaniem funkcjonariuszy było skryte po-
branie odcisków wymienionych narzędzi na płytkach ołownych.

Akcja rozpoczęła się 20 grudnia. Do godziny 7.00 wszystkie grupy przy-
stąpiły do przeszukań. Całością operacji kierował ppłk Karol Janoszek, na-
czelnik Wydziału Śledczego KW MO Katowice. To on poprosił wicedyrektora
Filipiaka o zgodę na wytypowanie dodatkowej – 71. osoby. W ten sposób
wśród zrewidowanych znalazł się Stanisław Jaros, mieszkaniec Zagórza, za-
mieszkały przy ul. Armii Czerwonej 69/8. Wydał się śledczym podejrzany,
bowiem miał różnorakie zainteresowania techniczne, nigdzie nie pracował,
a jego źródła utrzymania były nieznane. W trakcie przeszukania u Jarosa za-
kwestionowano kilkanaście urządzeń elektrycznych, zaś na ołownych płyt-
kach udało się uzyskać odciski narzędzi.

W wyniku kilku innych przeszukań znaleziono materiał wybuchowy, war-
tościowe elektronarzędzia i części pochodzące z kradzieży w zakładach pracy.
Te sprawy przekazano do prowadzenia Prokuraturze Powiatowej w Będzinie.
Łącznie uzyskano też 200 odcisków narzędzi. Przez pierwsze dni eksperci,
opierając się na wynikach badań laboratoryjnych, z 90-procentową pew-
nością utrzymywali, że konstruktorem miny był Ireneusz L. Ponieważ był
on jednym z wytypowanych do zatrzymania na 48 godzin, pozostawiono
go w areszcie tymczasowym. Na dłużej aresztowano też Wacława S. Pozo-
stałych, po przesłuchaniu i sprawdzeniu alibi, zwolniono. Niebawem dzięki
podśluchowi funkcjonariusze dowiedzieli się, że żona Wacława S. ma jakieś
konkretne podejrzania co do osoby sprawcy zamachu. Natychmiast zain-
teresowano się nią operacyjnie i starano się skłonić do dalszych wywodów.
Natomiast do Wacława S., przetrzymywanego w celi Centralnego Więzienia
w Katowicach, dokwaterowano mającego go wysondować konfidenta. To on
niebawem zawiadomił swych mocodawców, że współwięzień uważa, iż zama-
chowcem był Stanisław Jaros. Wacław S. miał przy tym stwierdzić, że Jaros
posiada duży zasób wiedzy z elektrotechniki, także praktycznej, w poprzed-
nich latach odpalał sponki i materiały wybuchowe, a 2 grudnia widziano go
na Krakowskiej. To samo zeznał potem do protokołu.

Teraz funkcjonariusze SB skupili się na osobie Jarosa. Otoczono go konfi-
dentami. Potwierdzili, że inwigilowany w przeszłości spowodował kilka de-

tonacji. Duże podejrzenia wzbudził poziom życia Jarosa - mimo braku stałej pracy miał w domu nowoczesny sprzęt AGD i spore na owe czasy pieniądze, zdeponowane na książeczkę oszczędnościowej.

Ekspertom zalecono zatem dokładne przebadanie odcisków narzędzi pobranych u Jarosa. 27 grudnia był już wynik badań: ślady nożyc i cęgów odpowiadały tym, które znajdowały się na częściach mechanizmu zapalającego. Nożycami wykrojony został haczyk, a obcęgami odcięto drut podłączeniowy. Wówczas sztab podjął decyzję o aresztowaniu podejrzanego. Wraz z nim mieli zostać zatrzymani jego najbliżsi koledzy – Antoni Ż. i Lucjan B. – oraz szwagier Henryk S.

Zatrzymanie zamachowca

Następnego dnia o godz. 17.00 funkcjonariusze śledzący Jarosa zawiadomili kierownictwo grupy operacyjnej, że widzą go, jak wraz z Antonim Ż. idzie w stronę Dąbrowy Górniczej. Obydwóch aresztowano w czasie drogi. Pozostałą dwójkę zatrzymano w domach. W czasie rewizji w mieszkaniu Jarosa zabrano narzędzia, a także resztki zaprawy cementowej znalezionej w miednicy. Przedmioty te przekazano grupie ekspertów KG MO do badań mechnoskopijnych.

Niebawem odbyło się pierwsze przesłuchanie głównego podejrzanego. Zachowywał się bardzo spokojnie, uważnie słuchał pytań, odpowiadał zwięźle. Sugestie śledczych, że to on jest zamachowcem, nie robiły na nim wrażenia. Późnym wieczorem 28 grudnia Jarosa przetransportowano z Będzina do Centralnego Więzienia w Katowicach. Następnego dnia prokurator wojewódzki w Katowicach zastosował wobec niego i Antoniego Ż. 14-dniowy areszt tymczasowy. Lucjana B. i Henryka S. zwolniono do domów. Tego dnia rozwiązał się też sztab, zaś kierownictwo dalszych działań operacyjno-śledczych powierzono Kruszyńskiemu.

W więzieniu Jaros znalazł się pod permanentną kontrolą. W jego celi zainstalowano podsłuch, a przesłuchania i rozmowy nagrywano. Uważnie obserwowano zachowanie więźnia. Zajmowali się tym śledczy, a także specjalnie umieszczony wraz z nim w celi konfident używający pseudonimu „11”. Agent SB miał być człowiekiem bardzo inteligentnym, posiadał zresztą stopień naukowy doktora filozofii.

W trakcie śledztwa zastosowano klasyczną metodę „dobrego i złego gliny”. Jeden ze śledczych udawał człowieka sympatycznego, częstował prze-

śluchiwanego papierosami i dzielił się jedzeniem, drugi zaś wcielił się w rolę wyjątkowo szorstkiego i niesympatycznego osobnika. W celi Jarosa „zmiękczal” tajny współpracownik. Konfident często odwoływał się w prowadzonych ze współwięźniem rozmowach do dawnych bohaterów, którzy walczyli z pobudek ideowych, nie ukrywali swych celów i po schwytaniu starali się do swych racji przekonać przesłuchujących i sędziów. W tym czasie śledczy zaczęli zarzucać Jarosowi tchórzostwo i dali mu do zrozumienia, że zamachy nie miały podtekstu politycznego.

Dwustronna presja wreszcie załamała Jarosa. Nocą 7 stycznia 1962 r., po zakończeniu przesłuchania, nie poszedł spać. Rozmawiał długo z „11” i przyznał się do zarzucanych mu czynów. Darząc swego rozmówcę zaufaniem, zapytał go, czy ma dalej milczeć, czy potwierdzić, że to on zdetonował bombę. Tajny współpracownik bezpieki poradził mu oczywiście, by szczerze się przyznał, czym polepszy swą sytuację w czasie procesu, a rano zawiadomił funkcjonariuszy o wyznaniu współwięźnia. Tego dnia Jaros oznajmił śledczemu, że chce złożyć zeznania. Odtąd wyjaśniał już szczegółowo wszystkie okoliczności zamachów.

Na podstawie jego słów aresztowano jeszcze Józefa L. i ponownie Wacława S. Całą trójkę zakwalifikowano jako „wyjątkowo groźnych przestępców politycznych”. Podjęto specjalne środki ostrożności. Cella Jarosa znajdowała się pod stałą obserwacją dwóch funkcjonariuszy Straży Więziennej. W czasie przesłuchań pod drzwiami pokoju stał wyposażony w specjalne instrukcje strażnik. Godziny spacerów więźnia wyznaczono na 8.30-9.00; w tym czasie inni więźniowie siedzieli w celach, a posterunki wartownicze wzmacniano. Posiłki wydawano Jarosowi w towarzystwie oficera śledczego, a po ich zakończeniu zabierano wszystkie naczynia i łyżki. Nawet kąpiel i zmianę bielizny specjalnie zabezpieczano i nadzorowano. By uniemożliwić Jarosowi popełnienie samobójstwa, celę przekonstruowano – usunięto metalowe łóżka, a okno, przewody CO i elektryczne zabezpieczono specjalną siatką.

Zeznania Jarosa oznaczały przełom w śledztwie. Aresztowany wyjaśnił, że korzystając z pomocy Józefa L. i Wacława S., przeprowadził serię zamachów dywersyjnych na urządzenia przemysłowe w latach 1952-1953. Przerwał akcję, gdy w listopadzie 1953 r. powołano go do służby wojskowej. W czasie ćwiczeń poligonowych znalazł ponemiecką minę przeciwczołgową. Po zwolnieniu do cywila przywiózł ją ze sobą do Zagórza i wyjął materiał wybuchowy (według wojskowego rzeczoznawcy mógł w ten sposób uzyskać 5 kg melini-

tu). Podczas pobytu w wojsku wykradł kilka zapalników; te także zabrał do domu. Gdy w lipcu 1959 r. dowiedział się, że przez Zagórze będą przejeżdżać przedstawiciele polskich i radzieckich władz, postanowił zbudować bombę. Chcąc uzyskać możliwie silne działanie rozpryskowe, skonstruował tzw. ładunek opancerzony – do korpusu starego żelazka włożył ok. 300-400 g melinitu i dwa górnicze zapalniki elektryczne. Aby zaś prąd 24 V z linii niskiego napięcia nie doprowadził do przypadkowej detonacji, do wnętrza bomby włożył przekaźnik. W celu wprowadzenia w błąd śledczych umieścił w niej też zepsuty zegarek (rzeczywiście, udało mu się sprowadzić ekspertów i śledczych na fałszywy trop).

14 lipca założył ładunek w koronie drzewa, 300 metrów od swego domu. Bombę połączył przewodami z uziemieniem linii wysokiego napięcia i linią radiofoniczną. Ponieważ teren patrolowali milicjanci, montaż trwał od północy do godzin porannych. Do domu Jaros wrócił okrężną drogą, wykonywał zygzaki, raz szedł w samych skarpetach, potem w butach. Od południa obserwował ulicę Armii Czerwonej i ruch patroli milicyjnych. Około 14.00 w komórce obok swego mieszkania zakończył pracę nad podłączeniem zapalnika bomby. O 15.00 znalazł się pod przewodem uziemiającym, gdzie zamknął obwód i bomba eksplodowała. Potem wrócił do mieszkania i rozmontował urządzenie inicjujące wybuch.

Jaros, tłumacząc dlaczego doprowadził do przedwczesnej detonacji, wyjaśnił, że wcale nie zamierzał przeprowadzić zamachu na Chruszczowa i jego świętę, chciał jedynie zamanifestować, że w Polsce nadal istnieje silna polityczna opozycja, a także ośmieszyć organy bezpieczeństwa. Jak stwierdził, nie napotkałby na żadne przeszkody, gdyby odpalił ładunek w momencie przejazdu gości. Swe wyjaśnienia podtrzymał potem w sądzie. Biegli wykluczyli przy tym możliwość, że urządzenie zadziałało samoczynnie. Sąd przyjął zatem, że Jaros wprawdzie odstąpił od zamiaru zamachu na delegację partyjno-rządową ZSRS, ale za to wymierzył go w służby porządkowe.

Jesienią 1961 r. Jaros dowiedział się, że do Zagórze z okazji oficjalnego rozruchu kopalni, przybędzie delegacja partyjno-rządowa z Gomułką na czele i rozpoczął przygotowania do kolejnej akcji. Konstrukcję bomby postanowił zmodyfikować w taki sposób, by móc ją zdetonować z domu. 27 listopada zaczął prace konstrukcyjne, używając do tego rury kanalizacyjnej, zapalników i przekaźników oraz 500 g melinitu. Gotową minę zalał betonem, nadając jej kształt słupka przydrożnego. Potem wybrał odpowied-

nie miejsce przy ul. Krakowskiej. 2 grudnia ok. godz. 20.00 udał się tam ze słupkiem owiniętym gazetą, łopata, kleszczami, szczyrykiem i resztą sprzętu. Po północy przystąpił do instalowania ładunku. Pracę zakończył o godz. 5.40 i wrócił do domu. Tam ok. 9.00 dokonał reszty podłączeń. Potem obserwował przejazd delegacji, jednak nie zdecydował się na uruchomienie detonatora, bo ulicą szli liczni przechodnie udający się na uroczystość w kopalni. Zdecydował, że wykona zamach później, gdy samochody z gośćmi będą wracać. Około południa, z punktu obserwacyjnego w komórce obok swego mieszkania, zauważył wyjazd kilku samochodów poprzedzanych przez wóz Polskiego Radia. Wówczas wysłał do miny impuls elektryczny. Po wybuchu rozmontował urządzenie zapalające. Twierdził, że jego zamiarem nie było zabicie czy zranienie kogokolwiek ze składu delegacji rządowej, chciał tylko dokonać politycznej manifestacji. Jednak w te wyjaśnienia sąd w trakcie procesu nie uwierzył.

Obszerne zeznania Jarosa, zweryfikowane przez grupy biegłych z kilku dziedzin, nie zakończyły jeszcze pracy operacyjnej SB. Na początku 1962 r. rozpracowywanych było nadal ok. 600 osób. W miarę uzyskiwania materiałów wykluczających ich udział w zamachu czy zainspirowaniu Jarosa, inwigilację kończono. Nadal obowiązywały specjalne procedury filtracyjne wobec mieszkańców Zagłębia Dąbrowskiego starających się o wyjazd na Zachód, by wiadomość o wybuchu się tam nie przedostała. Utrzymano też na jakiś czas kontrolę korespondencji.

W dniach od 9 do 25 maja 1962 r. sprawę Stanisława Jarosa, Józefa L. i Waława S. rozpatrywał Sąd Wojewódzki w Katowicach. Ostatniego dnia procesu ogłoszono wyrok. Jarosowi wymierzono karę śmierci, Józef L. otrzymał pięć lat więzienia, zaś Waław S. – sześć. Skierowana przez Jarosa do Rady Państwa prośba o skorzystanie wobec jego osoby z prawa łaski nie przyniosła skutku. Wyrok śmierci został wykonany.

* * *

Sprawy „Ukryty” i „Antena” były największymi rozpracowaniami prowadzonymi przez katowicką SB w czasach rządów Władysława Gomułki. Zangażowały olbrzymią liczbę funkcjonariuszy i środków technicznych. Tym bardziej powinno więc dziwić, że organy bezpieczeństwa przez dwa i pół roku wykazywały się niezwykle indolencją w poszukiwaniu zamachowca. Zapew-

ne zaważyła na tym rutyna, szablonowość działania, brak inwencji i niestaranne postępowanie SB i MO.

Krytykę wypadu zacząć od planów zabezpieczenia pobytu Chruszczowa w województwie katowickim. Trudno nie odnieść wrażenia, że bezpieka obawiała się bardziej wrogich manifestacji niż zamachu. Wprawdzie planowano kontrolę nad materiałami wybuchowymi i bronią, ochronę mostów, budynków i dróg, ale przedsięwzięcia te okazały się nie do końca skuteczne. Być może niektórych zawiódł brak wyobraźni. Doskonałą ilustracją stosunku części funkcjonariuszy do ochrony trasy przejazdu gości był milicjant rezygnujący z patrolowania, by oddać się pijaństwu. Wydaje się, że wśród służb po prostu nie wierzono w realną groźbę zamachu.

Po eksplozji bomby 15 lipca 1959 r. źle zabezpieczono ślady. Nie odnaleziono istotnych fragmentów bomby, co potem wpłynęło na pracę zespołów eksperckich. A jak ważną czynnością było zebranie wszelkich części z miejsca wybuchu, wskazuje śledztwo po zamachu z 3 grudnia 1961 r. Wtedy błędów nie popełniono, co umożliwiło schwytanie sprawcy.

Rutyna i brak inwencji cechowały zwłaszcza postępowanie w sprawie „Ukryty”. Zapewne uważano, że nasycenie terenu agenturą, masowa inwigilacja mieszkańców, przechwytywanie listów i instalowanie podsłuchów przełożą się na sukces. Zakładano zatem, że zamachowiec sam się zdradzi. Cóż, nie zrobił tego.

W przypadku rozpracowania sprawy „Antena” nie skupiono się wyłącznie na agenturze i wertowaniu korespondencji. Decydujące okazały się działania śledcze, praca ekspertów i bezprecedensowe, jeśli chodzi o skalę, masowe rewizje. Efektem było trafne wytypowanie i schwytanie poszukiwanej osoby.

Wysoko za to należy ocenić skuteczność zastosowanej przez SB blokady informacyjnej. Wiadomości o zamachach, choć pojawiły się w postaci pogłoszek, nie zdołały dotrzeć do szerszych kręgów społeczeństwa i przedostać się na Zachód. Wypada postawić tezę, że aparat bezpieczeństwa PRL o wiele lepiej potrafił strzec tajemnic, niż je wyjaśniać.

Źródła i literatura:

Akta z zasobu Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Katowicach: sygn. IPN Ka 07/36, Sprawa obiektowa „Przyjaźń” dotycząca zabezpieczenia pobytu delegacji radzieckiej z Nikitą Chruszczowem na terenie woj. katowickiego, IPN Ka 063/130

t. 1-2, Wykrycie grupy sabotażowo-dywersyjnej działającej na terenie Zagłębia Dąbrowskiego kryptonim „Antena”

„Trybuna Robotnicza”, roczniki 1959 i 1961.

F. Szlachcic, *Gorzki smak władzy. Wspomnienia* / S. J. Mac, *Przestuchanie supergliny*, Warszawa 1990.

Aparat bezpieczeństwa w Polsce. Kadra kierownicza, t. II 1956-1975, red. P. Piotrowski, Warszawa 2006.

Twarze katowickiej bezpieki. Informator personalny, mps w zb. autora.

Adam Dziuba

Radiotelewizor „Rekord”, czyli na tropie szpiega

Sprawa, której jednym z kluczowych wątków było ustalenie, czy seryjnie produkowany radiotelewizor „Rekord” mógł służyć do odbioru instrukcji szpiegowskich, możliwa była tylko w warunkach panującej w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej lat 60. obsesyjnej szpiegomanii. Ówczesne władze partyjno-państwowe, z I sekretarzem Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej Władysławem Gomułą na czele, uważały, że państwa zachodnie (kapitalistyczne) z braku innych możliwości na razie skoncentrowały się na walce ideologicznej z obozem socjalistycznym. W niej z kolei niezbędnym „orężem” była informacja, nawet o błahym charakterze, która mogła zostać wykorzystana na wiele sposobów, ale przede wszystkim w prowadzeniu „dywersji ideologiczno-politycznej”. Specjalizować się w tym miały wrogie ośrodki wywiadowczo-propagandowe, zlokalizowane zwłaszcza w Republice Federalnej Niemiec. Działo swoiste sprzężenie zwrotne. Władza utwierdzana była przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych w przekonaniu o zagrożeniu stwarzanym przez „imperialistów” posiłkujących się informacją dostarczaną przez grasujących po Polsce szpiegów. Dlatego nakłaniała aparat bezpieczeństwa MSW do energicznego zwalczania zagranicznych ośrodków wywiadowczych i propagandowych oraz blokowania kanałów, którymi na Zachód docierały wiadomości z Polski. Jedną z istotnych aren walki z tym zagrożeniem stał się Górny Śląsk.

Polityczna odwilż z połowy lat 50. doprowadziła do pewnej liberalizacji w udzielaniu zezwoleń na stałe i czasowe wyjazdy zagraniczne. Wywołała ona prawdziwy *exodus* mieszkańców województwa katowickiego w latach 1956-1958. Nasilały się wyjazdy do rodzin mieszkających za granicą. Z Zachodu przyjeżdżali z kolei ludzie, którzy wcześniej opuścili Polskę i chcieli odwiedzić krewnych czy też miejsca zapamiętane w młodości. Nad nasilającym się ruchem transgranicznym czuwała Służba Bezpieczeństwa, zajmując się intensywnie pracami związanymi z „kontrywiadowczym zabezpieczeniem

terenu”. Ponieważ uzyskanie paszportu, zdanie go po powrocie i załatwianie formalności związanych z pobytem gości zagranicznych wymagało wizyty w komendach Milicji Obywatelskiej, możliwe było prowadzenie przez Służbę Bezpieczeństwa filtracji polegającej na bardzo długich i szczegółowych rozmowach z osobami wyjeżdżającymi, powracającymi, a także z zagranicznymi gośćmi. Ci pierwsi potencjalnie mogli zostać w czasie pobytu na Zachodzie zwerbowani przez obce wywiady, pozostali mogli przybywać do Polski z misjami szpiegowskimi. Funkcjonariusze SB starali się przepytac jak największą liczbę osób, choć do ideału, którym było sprawdzenie wszystkich, dojść im się nie udało. Wymóg wzmożonego zainteresowania zagranicznymi podróżnikami ostatecznie ustaliła instrukcja pracy SB z 1960 r. Wskazywała pewne zjawiska, na których zwalczaniu miał się skoncentrować aparat bezpieczeństwa. Do najistotniejszych należało przeciwdziałanie szpiegowskiej aktywności obcych wywiadów, zwłaszcza USA i RFN.

W takiej właśnie sytuacji, pod koniec 1959 r., do rodziców zamieszkałych w miejscowości Mülheim an der Ruhr w Niemczech Zachodnich wyjechał na przeszło miesiąc Józef M., mieszkaniec Świętochłowic, zatrudniony jako brygadzysta ślusarzy w miejscowej Hucie „Florian”. Józef M. uchodził za człowieka spokojnego i małomównego, o ustabilizowanej sytuacji rodzinnej (miał żonę i dwójkę dzieci). Zarabiał w Polsce nieco powyżej przeciętnej – 2400 zł – ale w ówczesnych warunkach nie wystarczało to na zakup sprzętów luksusowych, głównie AGD. Rodzice rozumieli sytuację materialną syna, obdarowali go przed powrotem do Polski prezentami: telewizorem, dobrym zegarkiem, ubraniami dla żony i dzieci. Wprawdzie Gerard M., ojciec Józefa M., na Zachodzie przebywał od zakończenia wojny i niezbyt wiele wiedział o sytuacji w Polsce, to jego żona Anna wyjechała z ojczyzny znacznie później – w 1958 r. – i dobrze zdawała sobie sprawę z realiów panujących w PRL.

Gdy Józef M. wrócił do Polski, wezwano go na rozmowę z pracownikiem referatu paszportowego Komendy Powiatowej MO w Chorzowie. Sumiennie opisał swą wizytę u rodziców i wrócił do pracy. Nic nie wskazywało na to, że w najbliższym czasie stanie się on obiektem intensywnej inwigilacji ze strony SB („figurantem” w żargonie służb specjalnych). Jego przyjazd z Niemiec stał się okazją do wizyt ze strony bliższej i dalszej rodziny, ciekawej życia na Zachodzie. Wśród odwiedzających Józefa M. krewnych znalazł się jego szwagier (mąż siostry żony) – prokurator wojskowy kpt. Józef J.

We wrześniu 1960 r., prawie rok po powrocie Józefa M. z zagranicy, zawiadomił on funkcjonariusza Wydziału II Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Katowicach zajmującego się kontrwywiadem, że jego szwagier miał być przez Amerykanów namawiany do szpiegostwa. Donos Józefa J. wynikał zapewne z kilku czynników. Pierwszym z nich była wierność ustrojowi i państwu. Kapitan Wojska Polskiego popierał wszak komunistyczne władze, „zachodni imperialiści”, szczególnie Amerykanie i Niemcy, byli zatem jego wrogami. Swego szwagra, Ślązaka, syna człowieka, o którym wiedział, że służył w SS, podejrzewał o proniemieckie sympatie. W sporach w rodzinnym gronie ganił go zresztą i twierdził, że jest „gorszym Polakiem”. Zapewne nie bez znaczenia była i zwykła zawiść. Kpt. J. widział, że Józef M. wzbogacił się dzięki wizycie w Niemczech. Ponieważ uważał go za materialistę, nietrudno przyszło mu uwierzyć, że sprzedał się Amerykanom w zamian za dobra materialne.

Wydział II katowickiej KW MO nie zlekceważył informacji kapitana WP, ale sam jej nie sprawdzał. Stosowne wyjaśnienia zlecił pionowi SB Komendy Miejskiej MO w Chorzowie. Tam wiadomość o możliwości zwerbowania Józefa M. przez amerykański wywiad przekazano zajmującemu się zagadnieniami zwalczania szpiegostwa ppor. Bronisławowi Sikorze. Przepływ wiadomości trwał długo, bo dopiero 15 grudnia 1960 r. Sikora złożył wniosek o założenie sprawy operacyjnego sprawdzenia Józefa M. Została ona, pod kryptonimem „Fala”, zarejestrowana w ewidencji operacyjnej z datą 19 grudnia tego roku z numerem 293. Rozpoczęła się kilkuletnia inwigilacja domniemanego szpiega.

W raporcie postulującym jej rozpoczęcie Sikora powołał się na informacje „osoby zaufanej” Wydziału II (bowiem kpt. J. nie był formalnie pozyskanym tajnym współpracownikiem). Oficer SB podkreślił przy tym, że Józef M. przywiózł z Niemiec kosztowne prezenty oraz że on sam i jego ojciec mieli „niemieckie zapatrywania”. Obciążające było także to, że Józef M. w czasie rozmowy filtracyjnej nie przyznał się do namawiania go do szpiegostwa przez Amerykanów, opowiedział o tym tylko żonie (a kpt. J. dowiedział się od teścia). Sikora przedstawił też plan postępowania wobec „szpiega”. Zakładał rozpoznanie kręgu osób, z którymi Józef M. przebywa w miejscu pracy, założenie inwigilacji korespondencji przez Wydział „W” KW MO w Katowicach (miała być nie tylko przechwytywana i czytana, ale także sprawdzana pod kątem użycia w niej tajnopisu), wreszcie zamierzał spotkać się z kpt. J. i skon-



Radiotelewizor „Rekord”

kretyzować jego rewelacje (za zgodą Wydziału II). Planował także zebrać o „figurancie” więcej danych, a w jego otoczeniu zwerbować konfidenta.

11 stycznia 1961 r. Sikora spotkał się z niejakim F., pracownikiem Wydziału Mechanicznego Huty „Florian”, członkiem PZPR. Towarzysz F., jako członek partii, nie był formalnie tajnym współpracownikiem, lecz tzw. kontaktem obywatelskim, ale chętnie powiedział, co wiadomo mu na temat Józefa M. Okazał się dobrze poinformowany. Wiedział, że inwigilowany przywiózł ze sobą z Niemiec radiotelewizor, przy czym miał to być sprzęt takiej jakości, że kosztował ponoć tyle, co samochód osobowy. Mimo to w Polsce nie chciał odbierać programu, trzeba go było wyregulować. F. chciał kiedyś zobaczyć ten cud techniki, został nawet zaproszony do domu Józefa M., ale do wizyty nie doszło. Wysłuchał za to opowieści o sytuacji w RFN, tamtejszym „cudzie gospodarczym” i o tym, że M. chciałby tam wyjechać na stałe, ale żona się na to nie zgadza. Niewiele jednak dowiedział się o rodzicach Józefa M., który temat ten raczej omijał. F. mógł za to przedstawić Sikorze bliskich znajomych „figuranta”, do których należała trójka pracowników huty i scharakteryzować ich. Zadeklarował się, że będzie Józefa M. i jego kolegów bacznie obserwował w miejscu pracy. Jego oferta została z wdzięcznością przez Sikorę przyjęta.

Funkcjonariuszowi zależało jednak także na pozyskaniu tajnego współpracownika, który byłby bliskim znajomym inwigilowanego. Wybór padł na

Stanisława W., jedną z osób wymienionych przez towarzysza F. Od lutego Sikora zaczął zbierać na jego temat informacje, a na początku marca spotkał się z nim, by wysondować jego stosunek do działalności w charakterze konfidenta bezpieki. Okazało się, że kandydat na tajnego współpracownika był kolegą Józefa M. od dawna i wiedział o nim dużo. Swą wiedzę chętnie się podzielili: słyszał o radiotelewizorze, dodał nawet, że kosztował 1150 marek zachodniemieckich (DM), wiedział też, że ojciec inwigilowanego zarabiał w Niemczech ok. 800 DM. Stwierdził, że rodzice przysyłali Józefowi M. paczki, sam odkupywał od niego nawet odżywki dla dzieci. Na koniec zgodził się współpracować z organami bezpieczeństwa.

Pod koniec marca 1961 r. Sikora, zgodnie z obowiązującymi w SB procedurami, zwrócił się do przełożonego o zgodę na zwerbowanie Stanisława W. w charakterze tajnego współpracownika. W czasie rozmowy pozyskaniowej oficer SB zamierzał od razu nawiązać do Józefa M., wypytać o niego i poprosić o pomoc polegającą na obserwowaniu zachowania „figuranta”. Po wyrażeniu zgody Stanisław W. miał wybrać sobie pseudonim i podpisać zobowiązanie. Do werbunku doszło 31 marca. Stanisław W. spotkał się wtedy po raz kolejny z Sikorą. Opowiadał obszernie oficerowi SB o swym koledze, a także o tym, że w jego mieszkaniu widział ów mityczny radiotelewizor. Sikora poprosił go wówczas o pomoc w obserwowaniu „figuranta”. Stanisław W. nie oponował i podpisał wybranym przez siebie pseudonimem „Witek” zobowiązanie do tajnej współpracy z SB.

Na spotkaniu 6 kwietnia „Witek”, już w roli konfidenta SB, doniósł, że Józef M. nie otrzymał spodziewanej paczki od ojca i żalił się, iż sąsiadki zbyt często przychodzą oglądać program w radiotelewizorze. Otrzymał od Sikory zadanie: miał się wprosić do inwigilowanego z wizytą, a przy okazji obejrzeć dokładnie telewizor, zapytać mimochodem jak działa połączone z nim radio i czy odbiera zagraniczne stacje radiowe. Miał też ustalić, kto z sąsiadów przychodzi oglądać program telewizyjny. Przy okazji następnego spotkania „Witek” informował, że Józef M. otrzymał kolejną paczkę, złożył już też wszystkie dokumenty na wyjazd do RFN. Zamierzał przywieźć stamtąd rzeczy, które mu się opłaci w Polsce sprzedać, w tym jeszcze większy radiotelewizor. „Witek” nie zdołał się jednak umówić na wizytę i obejrzeć telewizora.

Ów nowoczesny sprzęt stawał się stopniowo podstawowym dowodem na szpiegowską działalność Józefa M. i obsesją podporucznika SB. Sikora był zresztą, jak wynika z akt, technicznym ignorantem i niewiele wiedział na te-

mat telewizorów. Tym bardziej, że choć na Zachodzie już się one upowszechniły, to w Polsce nadal stanowiły rzadkość (na koniec 1959 r. w Polsce zarejestrowano niespełna 145 tys. odbiorników, a np. w Anglii ponad 2,5 mln). Poważną barierę w ich popularyzacji stanowiła zresztą cena sprzętu. Radio-telewizor urastał zatem do rangi wyspecjalizowanego narzędzia, za pomocą którego domniemany amerykański szpieg mógł (według Sikory) odbierać instrukcje z amerykańskiego ośrodka wywiadowczego w Niemczech. Funkcjonariusz usilnie chciał się o owym cudzie techniki dowiedzieć czegoś więcej, ale „Witek” nie potrafił żądanych informacji dostarczyć. Mimo nalegań nie zdołał przyjść z wizytą do kolegi. Wiedział za to wiele o staraniach Józefa M. o paszport. I pomimo tego, że „figurant” w rozmowach z konfidentem podkreślał, że wróci do Polski, do żony i dzieci, Sikora jego zabiegi zablokował. Józef M. zgody na ponowny wyjazd do RFN nie otrzymał.

W lipcu 1961 r. funkcjonariusz opracował nowe zadania dla „Witka”. Konfident miał poprosić Józefa M., by ten postarał się za pośrednictwem rodziców o lekarstwo na serce dla jego rzekomo chorej matki, a także miał odkupywać odżywki przychodzące w paczkach. W ten sposób oficer SB chciał się zorientować w częstotliwości otrzymywania przesyłek od ojca przez inwigilowanego. „Witek” miał też wypytywać kolegę o warunki poruszania się obcokrajowców po Niemczech, ceny biletów kolejowych, obowiązki mel-dunkowe w RFN itp. Informacje takie, nieprzydatne Sikorze w wyjaśnieniu sprawy „Fala”, mogły być cenne dla wywiadu.

Zainteresowanie częstotliwością otrzymywania paczek wynikało z tego, że 6 lipca 1961 r. Komenda Miejska MO w Chorzowie ponownie zwróciła się do KW MO w Katowicach z wnioskiem o inwigilację korespondencji Józefa M., stwierdzając przy tym, że dotychczasowa kontrola nie przyniosła efektów, bowiem Biuro „W” żadnej przesyłki nie przechwyciło. W Chorzowie podejrzewano zatem, że paczki przesyłane były na adres teścia „figuranta”. Najprawdopodobniej jednak błąd leżał po stronie chorzowskiej SB, bowiem na wniosku o inwigilację poczty ktoś z KW MO w Katowicach zanotował, że należy go zwrócić do KM MO w Chorzowie, ponieważ nie użyto właściwego formularza.

Tymczasem Józef M., któremu odmówiono zgody na wyjazd do Niemiec, zdecydował się na spędzenie wczasów w Polsce. Miał jechać do Łądką Zdroju. Chorzowska SB postanowiła zorganizować prowokację, polegającą na zaaranżowaniu spotkania inwigilowanego z osobą ukrytą przez SB pod inicja-

łem „S”. Nie podano na czym miała polegać, można domniemywać, że „S” miał się podjąć dostarczenia wartościowych dla szpiega informacji – była ku temu okazja, bo w Łądku Zdroju tłumnie odpoczywali sowieccy oficerowie z garnizonu w Legnicy. Prowokacja się nie udała, ponieważ „S” został zakwaterowany w innym niż Józef M. ośrodku wczasowym i nie zdołał spotkać się z „figurantem”. Jednak pośrednio podejrzenia wobec rzekomego amerykańskiego szpiega się potwierdziły. „Witek”, rozmawiając z M. o wczasach, dowiedział się, że jego kolega spotkał wielu oficerów Armii Sowieckiej, grał z nimi, dużo rozmawiał i wypalał papierosy, którymi chętnie go częstowali. To dało Sikorze wiele do myślenia.

7 października 1961 r. zwierzchnik chorzowskiej SB opisał w notatce dla Wydziału II KW MO w Katowicach dotychczasowe ustalenia w sprawie o kryptonimie „Fala”. Dzięki kontaktowi obywatelskiemu F. dowiedziano się, że Józef M. stał się nagle człowiekiem bardzo bogatym. Kupił żonie futro za siedem tys. zł, a dzieciom futerka za kolejne trzy tysiące. W najbliższym czasie zamierzał też zmienić meble. F. stwierdził ponadto, że Gerard, ojciec „figuranta”, musiał pełnić poważną funkcję w RFN, bowiem mógł w każdej chwili otrzymać paszport i wyjechać do innego kraju (w znanych F. realiach ówczesnej Polski rzecz nie do pomyślenia, natomiast codzienność w społeczeństwach demokratycznych). Udało się wreszcie odbyć rozmowę z kpt. J., od którego pochodziła kluczowa informacja o próbie zwerbowania szwagra przez Amerykanów. Potwierdził swe wcześniejsze słowa, utrzymując, że wiadomość pochodziła od ich teścia, który powołując się na słowa Józefa M. napomknął, że zięcia odwiedziło w RFN dwóch amerykańskich oficerów proponujących współpracę, na co ten jednak się nie zgodził. Wówczas kapitan zaczął unikać w rodzinnym gronie swego szwagra. Wiedział jednak, że Józef M. po nawiązaniu kontaktów z rodzicami szybko się wzbogacił.

Niespełna miesiąc później chorzowska SB opracowała analizę i kolejny plan przedsięwzięć do sprawy „Fala”. Udało się wreszcie przeniknąć sekret telewizora, bowiem w mieszkaniu „figuranta” przeprowadzono zaaranżowaną przez SB kontrolę radiową. W roli „kontrolerów” wystąpili, oczywiście incognito, funkcjonariusze Wydziału II i Wydziału „T” (techniki operacyjnej) KW MO Katowice. Sprzęt okazał się radiotelewizorem marki „Rekord”. Fachowcy stwierdzili, że w tego typu telewizorach są zamontowane odbiorniki radiowe odbierające fale UKF wysokiej częstotliwości. Wątek telewizora nabierał powoli absurdalnego charakteru, bo jeśli esbecy specjaliści prawidłowo-

wo rozpoznali markę, to chodziło zapewne o wyrób z „bratniej” Niemieckiej Republiki Demokratycznej...

Sukcesów nadal nie notowało Biuro „W”, bowiem nie udało się zatrzymać żadnego listu ani paczki (może zresztą nadal nie było zlecenia z KM MO Chorzów na właściwym formularzu i korespondencji do Józefa M. nikt nie sprawdzał). W Chorzowie zaś przypuszczano, że korespondencja tym razem kierowana była na adres ciotki Józefa M., którego nie udało się SB ustalić. Nie wiedzano nadal, czym w RFN zajmował się ojciec „figuranta”. Za to Sikorze udało się wywieść, po co amerykańskiemu wywiadowi szpieg – ślusarz w hucie. Uznał, że Józef M. „z pewnością powiedział”, iż jego szwagier jest prokuratorem wojskowym, w związku z czym to on mógł być głównym celem operacji USA. Zaś radiotelewizor dalej uchodził za sprzęt mogący służyć do odbioru instrukcji szpiegowskich. W chorzowskiej SB zaplanowano w związku z tym zainstalowanie urządzeń radiokontrwywiadowczych (RKW) służących do odbioru niezidentyfikowanych audycji radiowych i ewentualnego ich rozszyfrowania. Miały zostać założone w mieszkaniu sąsiada Józefa M., które zamierzano odnająć na dwa tygodnie. W tym czasie właściciel lokalu miał się udać, zapewne z inspiracji SB, na atrakcyjne wczasy. Pojawił się też plan zwerbowania w charakterze konfidenta żony kpt. J. (za jego wiedzą i zgodą). Sikora chciał też wyjaśnić, o czym w Łądku Zdroju „figurant” rozmawiał z sowieckimi oficerami.

Na razie jednak żadnych konkretnych przedsięwzięć nie udało się zrealizować. SB dalej gromadziła informacje od otaczających Józefa M. konfidentów. W listopadzie 1961 r. przestała nękać „Witka”, by ten poszedł zobaczyć telewizor, gdyż nie było już takiej potrzeby. Otrzymał za to zadanie namówienia kolegi na pójście do restauracji i wypytania go przy wódce, jak wyglądają restauracje w RFN, czy spotyka się tam Polaków, Ślązaków, co oni w RFN robią, czym zajmuje się jego ojciec. Tęgo zadania „Witek” też nie wykonał – tłumaczył się, że „figurant” nie chciał nigdzie z nim wyjść, twierdził, że zabrania mu tego żona. Możliwe zresztą, że Józef M. zaczął unikać nachalnego kolegi, który ciągle zasypywał go pytaniami o RFN i rodzinę.

Za to w styczniu 1962 r. w posiadaniu nowych, rewelacyjnych wiadomości znalazł się kpt. J. Spotkał się z Józefem M., rozmawiali długo na osobności, a szwagier starał się przekonać rozmówcę, że jest dobrym Polakiem. „Figurant” stwierdził wówczas, że nie tylko nie pozwolił się zwerbować Amerykanom, ale uniknął też sielw wywiadu zachodniemieckiego. Opowiedział

przy tym historię o tym, jak nieznanemu Niemiec zatrzymał się obok niego samochodem, zaproponował podwiezienie do restauracji, a następnie zaprosił na obiad. Józef M. – jak twierdził – odmówił, wymawiając się brakiem pieniędzy. Wówczas Niemiec zaproponował pasażerowi większą gotówkę, gdy tylko ten podpisze stosowne zobowiązanie. Wzburzony Józef M. miał odmówić prowadzenia „szpiegowskiej roboty”, w odpowiedzi na co werbownik wyciągnął broń i zaczął mu grozić. M. uderzył go i zdołał uciec z samochodu. Wypytywany przez kpt. J. o konsekwencje swego czynu, stwierdził, że żadnych nie było. Potem jeszcze nadmienił, że po powrocie z Niemiec rozmawiał z funkcjonariuszem MO i przyznał się do prób pozyskania go w charakterze szpiega przez Amerykanów i Niemca. Cała rozmowa miała przekonać kapitana, że jego śląski szwagier jest równie dobrym Polakiem jak on sam (o co się zresztą wielokrotnie wcześniej kłócili). Sikora uznał, że kpt. J. szczerze opisał swą rozmowę z „figurantem”, natomiast nieszczerzy był Józef M., bo skłamał, mówiąc, że w czasie rozmowy filtracyjnej opowiadał o próbie werbunku (sprawdził to zresztą u funkcjonariusza wypytującego inwigilowanego po powrocie z RFN). Nie odniósł się jednak do wiarygodności samej opowieści o nachodzących Józefa M. licznych agentach wywiadu.

Tymczasem sprawa trafiła na poziom Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Na przełomie 1961 i 1962 r. zajmował się nią Departament II MSW, do którego zwróciła się z prośbą o pomoc techniczną w założeniu instalacji radiokontrywywiadowej komórka kontrywywiadu katowickiej SB. Wniosek o zainstalowanie RKW trafił do Wydziału I Departamentu II MSW zajmującego się przeciwdziałaniem agenturze USA. Sprawa zainteresowała naczelnika tego Wydziału – rokowała wszak nadzieję na schwytanie amerykańskiego szpiega posługującego się wyrafinowaną techniką. Zwrócono się zatem do Wydziału XII Departamentu II (wyspecjalizowana komórka zajmująca się kontrywywiadem radiowym) z pytaniem o możliwości odbioru transmisji szpiegowskich z RFN na falach ultrakrótkich za pośrednictwem radiotelewizora i przechwytywania ich przez urządzenia RKW. 18 stycznia 1962 r. naczelnik Wydziału XII odpowiedział na pismo kolegi. Stwierdził, że to niemożliwe, by agent otrzymywał instrukcje na falach ultrakrótkich z ośrodka zlokalizowanego w RFN, bo dystans przekraczał możliwości odbioru fal UKF. Dopuszczał teoretycznie ich odbiór, pod warunkiem emisji z pokładu balonu lub helikoptera. Ponadto informował, że istnieją różne telewizory z wmontowanymi odbiornikami radiowymi działającymi na różnych zakresach fal oraz

domagał się dokładnych danych na temat typu telewizora i innych odbiorników znajdujących się w posiadaniu domniemanego szpiega (z podaniem typów i zakresów fal). Wyjaśnił przy tym, że wywiad USA, wysyłając instrukcje swym agentom, posługuje się telegrafem, toteż należało ustalić, czy obiekt inwigilacji miał kwalifikacje radiotelegrafisty. Naczelnik Wydziału XII podkreślił, że dopiero po uzyskaniu tych danych, a także po uzyskaniu informacji z podsłuchu w mieszkaniu „figuranta”, może się wypowiedzieć na temat ewentualnego zastosowania środków kontrwywiadu radiowego. Sprawę dodatkowo wyjaśniał w Wydziale I Departamentu II pracownik Wydziału XII. Efektem rozmowy była rezygnacja z instalacji RKW. Tezy odpowiedzi Wydziału XII przesłano do Wydziału II KW MO w Katowicach, a przy okazji, po sprawdzeniu w Biurze „W”, zauważono, że adres Józefa M. nie znajdował się w orbicie zainteresowania tej jednostki, bo nie złożono stosownego zamówienia (przypominając jednocześnie, że Biuro „W” po jakimś czasie przestaje inwigilować korespondencję, jeśli zamówienia się nie odnawia).

Po porażce przy próbie założenia nasłuchu tempo działań chorzowskiej SB w sprawie „Fala” wyraźnie spadło. Być może zresztą podporucznikowi Sikorze wyczerpały się pomysły, jak skutecznie osaczyć Józefa M. i wydobyć od niego informacje o współpracy z amerykańskim wywiadem. Esbek nadal regularnie spotykał się z „Witkiem”, ale uzyskiwane od niego wiadomości nie wносиły do rozpracowania niczego ciekawego. Sikora spotykał się także z kontaktem obywatelskim F., ale ten również nie miał niczego nowego do powiedzenia o inwigilowanym. Za to zainteresował esbeka nowymi wiadomościami na temat nieszczęsnego telewizora. Okazało się, że w „Rekordzie” co jakiś czas wysiadają lampy (ówczesny sprzęt elektroniczny funkcjonował przy użyciu łatwo przegrzewających się i psujących lamp elektronowych, nie zaś układów scalonych i półprzewodników) i już dwukrotnie naprawiał go Teofil Z., pracownik huty „Florian”. SB w osobie Sikory jeszcze raz podjęła zatem próbę dowiedzenia się czegoś więcej o telewizorze, nie wnikając przy tym w kwestię, dlaczego Amerykanie mieliby swego agenta wyposażać w tak zawodny sprzęt.

Na początku maja 1962 r. zastępca komendanta KM MO w Chorzwie ds. Bezpieczeństwa wystosował do ewidencji operacyjnej warszawskiej i katowickiej SB prośbę o udzielenie informacji o Teofilu Z. Po nadejściu odpowiedzi, 16 maja 1962 r., Sikora spotkał się z nim. Rzeczywiście, rozmówca podporucznika poznał dobrze telewizor Józefa M., naprawiał go

dwukrotnie, do czego miał zresztą stosowne uprawnienia. Zdaniem esbeka nie nadawał się jednak na konfidenta, ponieważ musiał ściśle rozliczać się ze swego czasu przed żoną. Było to dosyć dziwne tłumaczenie, bowiem Teofil Z. popołudniami wychodził do klientów naprawiać sprzęt radioelektroniczny i trudno przypuszczać, by wyruszała za nim żona i kontrolowała, gdzie bywa mąż w czasie nieobecności w domu. Powód ostrożności funkcjonariusza w ocenie możliwości pozyskania nowego tajnego współpracownika musiał być inny. Mimo to, ryzykując nieudany werbunek (a było to źle widziane przez zwierzchników), podporucznik 31 maja 1962 r. zwrócił się z wnioskiem o zezwolenie na opracowanie Teofila Z. w charakterze kandydata na konfidenta. Stwierdzał przy tym: „planujemy założyć radiokontrywywiad [w kilka miesięcy po tym, jak ostatecznie z tej koncepcji zrezygnowano – AD], celem wyjaśnienia czy fig[urant] nie otrzymuje drogą radiową instrukcji z ośrodka, konieczne jest rozpoznanie posiadanego odbiornika pod względem zakresu fal itd.” Z tego wynika, że chorzowska SB nie zrezygnowała do końca z pomysłu zastosowania nasłuchu telewizora Józefa M. albo (co bardziej prawdopodobne) nie dotarła do niej decyzja z Warszawy, że instalacji RKW w tej sprawie nie będzie. Z werbunku Teofila Z. ostatecznie zrezygnowano. We wrześniu 1962 r. Sikora uznał, że kandydat na konfidenta w gruncie rzeczy słabo zna „figuranta”, nie ma też możliwości spotykania się z nim (tu przywołał nadopiekuńczą żonę Teofila Z.). Pomysł założenia instalacji radiokontrywywiadowczej został zatem ostatecznie odstawiony do lamusa.

Ale z prób rozwikłania szpiegowskiej tajemnicy Józefa M. oczywiście nie zrezygnowano. 18 lipca 1962 r. zastępca komendanta KM MO w Chorzowie ds. Bezpieczeństwa złożył do Wydziału II KW MO kolejny meldunek o postęпах w sprawie „Fala”. Istotnym źródłem nowych informacji stały się przejmowane przez Wydział „W” listy. Niebawem zresztą SB uznała, że niektóre informacje w nich zawarte wyraźnie sprawiają wrażenie zaszyfrowanych. Za szyfr uznano np. pytanie Józefa M. o środek koloryzujący siwe włosy, ponieważ zdaniem funkcjonariuszy „figurant” do niczego go nie potrzebował. Przy tym rzekome „szyfry” w listach do rodziny wskazywały na głębokie zaangażowanie ojca w wywiadowczą pracę syna. Potwierdzało to zresztą tezę SB, że to Gerard M., człowiek bogaty i nie wiadomo z czego się utrzymujący (czyli agent USA!), wskazał Amerykanom możliwość wykorzystania syna w charakterze potencjalnego wywiadowcy.

Ponieważ rodzice Józefa M., jak wyczytano z listów, a co potwierdziła agentura, wybierali się z wizytą do Polski, pojawiła się możliwość skontroloowania także ich. Gdy ustalono, że Anna M. przed wyjazdem do RFN pracowała w Zakładach Urządzeń Technicznych „Zgoda” w Świętochłowicach, szukano w tym zakładzie kogoś, kto znałby ją z okresu pobytu w Polsce. Taką osobą okazał się dawny przełożony Anny M. Został on przepytany pod pozorem rutynowego wywiadu przed wydaniem zgody na przyjazd obcokrajowca. Znał wiele szczegółów dotyczących przeszłości rodziców domniemanego agenta. Powiedział, że Gerard M. służył w czasie wojny w SS i dostał się do angielskiej niewoli. Po wojnie przebywał w Anglii, skąd wyjechał do RFN w 1957 r. Jego żona Anna w 1957 r. czyniła bezskuteczne starania o wyjazd do Wielkiej Brytanii. Jednak w następnym roku udało się jej wyjechać do RFN, gdzie pozostała z mężem. Rozmówca esbeków wskazał też osobę, która mogła wiedzieć jeszcze więcej: niejakiego G., sąsiada Józefa M. Z nim również rozmawiano pod pozorem załatwiania formalności przyjazdowych Anny i Gerarda M. G. nie znał wprawdzie miejsca pracy Gerarda i Anny w Niemczech, ale wiedział, że wspólnie zarabiają 1000 DM. Stwierdził też, że od dwóch lat niemal co tydzień do ich syna przychodzą z RFN paczki. Znajdowały się w nich: kawa, słodycze, lekarstwa, odzież. Zaś z Niemiec Józef M. przywiózł prezent: ogromny telewizor. Ktoś nawet chciał go odkupić za 20 tys. zł, ale M. nie chciał się go pozbyć. KM MO Chorzów zdecydowała zatem o wyrażeniu zgody na przyjazd do Polski rodziców „figuranta”, przy czym G. miał ich obserwować, a swe spostrzeżenia przekazywać SB jako „pomoc obywatelska” (nieformalny konfident). Kapitanowi J. zalecono zaś częste wizyty w domu rodziny M., by wywiedzieć się, o czym rozmawiają ojciec z synem.

13 sierpnia 1962 r. KM MO Chorzów opisała planowane przedsięwzięcia związane z przyjazdem Gerarda i Anny M. do Polski. Operacja miała mieć ogromną skalę. Każdego kroku Gerarda M. mieli strzec funkcjonariusze Wydziału „B” (zajmującego się obserwacją wskazanych osób). Zachowaniu rodziny M. w domu miał się z kolei przypatrywać G. Zresztą w mieszkaniu M. miał być zainstalowany podsłuch, ponadto zamierzano też niepostrzeżenie je przeszukać. Nie zaniebano oczywiście śledzenia wypowiedzi Józefa M. o wizycie rodziców w miejscu pracy. Tam w stanie gotowości miał czuwać „Witek”. Najważniejszym punktem planu SB było doprowadzenie do spotkania Gerarda M. i Józefa M. z kpt. J. i nagranie ich rozmowy. Kapitan miał

w niej nawiązać do wizyty amerykańskich wywiadowców i oczekiwać, jak zostanie skomentowana. Gdyby zaś sam otrzymał propozycję współpracy z wywiadem USA, miał ją zdecydowanie odrzucić. Ten misterny plan spalił jednak na panewce, bo do Polski przyjechała jedynie Anna M.

Sprawy zatem nadal nie wyjaśniono. Esbekom brakowało już inwencji, by wymyślić coś odkrywczego, dlatego poprzestawali na informacjach swych konfidentów. Te zaś nie wносиły niczego istotnego. Po rocznym zastoju, 21 września 1963 r., KM MO Chorzów przedstawiła kolejny raport na temat rozwoju sprawy „Fala”, wraz z sugestią jej rozwikłania. Podkreślono ogromną ilość działań operacyjnych, które wykonano, by ustalić, czy informacje kpt. J. na temat współpracy Józefa M. z wywiadem USA były prawdziwe. Mimo tego nie udało się ich zweryfikować. Zgodnie z zaleceniem Departamentu II MSW i Wydziału II KW MO w Katowicach zaplanowano przeprowadzenie z „figurantem” rozmowy, by ostatecznie wszystkie kwestie wyjaśnić. Kluczową sprawą miało być ustalenie, czy rzeczywiście werbował go wywiad USA. Gdyby zaprzeczył, a wyraził ciekawość, skąd SB o takim fakcie wie, zamierzano odsunąć podejrzenia od kpt. J., mówiąc, że do MO rzekomo wpłynął list z Niemiec, napisany przez sąsiada Gerarda M. i opisujący wizytę pracowników obcego wywiadu w jego domu. List taki miał zostać opracowany i przygotowany do pokazania Józefowi M. Rozmowę miał prowadzić Sikora i oficer Wydziału II KW MO w Katowicach. By poznać opinię inwigilowanego o spotkaniu z funkcjonariuszami SB, zamierzano po raz ostatni zaangażować „Witka”. W zachowanych materiałach nie ma żadnej notatki czy innej wzmianki, że do tej rozmowy doszło. Można przypuszczać, że tak, ponieważ w sprawozdawczości SB uznawano ją za pomyślny finał rozpracowania, czyli tym sposobem sprawę wlokącą się już prawie trzy lata można było zakończyć.

Wniosek o umieszczenie w archiwum materiałów „Fali” został złożony 19 października 1963 r. W styczniu 1964 r. sprawa doczekała się podsumowania sporządzonego przez pplk. Mieczysława Fugasa, naczelnika katowickiego Wydziału „C” (zajmującego się ewidencją obserwacyjną i prowadzeniem archiwum). Podkreślił on, że zastosowano szereg środków i wielostronne sprawdzenia, ale mimo tego nie udało się potwierdzić, by Józef M. był szpiegiem. Sposób realizacji rozpracowania ocenił pozytywnie: „Sprawa była prowadzona systematycznie i w zasadzie wszechstronnie, do czego włożono dużo pracy operacyjnej. Biorąc pod uwagę całokształt materiałów zaniechanie sprawy wydaje się być słuszne”.

Inaczej wypada ocena usiłowań funkcjonariuszy wystawiona po blisko półwieczu od zaniechania inwigilacji Józefa M. Trzyletnia sprawa, oparta w gruncie rzeczy na kruchych przesłankach – informacjach z drugiej ręki przekazanych przez człowieka, który Józefa M. nie lubił i wyraźnie zazdrościł mu materialnego sukcesu, wydaje się być ewenementem. Tym bardziej, że funkcjonariusze SB, bez postawienia sobie pytania, jakimi rewelacjami szpiegowskimi mógł zadziwić wywiad amerykański przeciętny ślusarz z huty „Florian”, nie szczędząc sił, środków i zapału, przystąpili do poszukiwania dowodów potwierdzających z góry założoną tezę. Co więcej, bezskuteczne działania polegające na osaczaniu niewinnego człowieka, łamaniu i nakłanianiu innych ludzi do konfidenckalnej współpracy, doczekały się pozytywnej opinii przełożonych. W taki jednak sposób wyglądało *gros* spraw realizowanych przez peerełowski kontrwywiad, zwłaszcza na najniższym szczeblu.

Było to możliwe tylko w warunkach istnienia powszechnej szpiegomanii w totalitarnym systemie politycznym – zjawiska, o którym niemal już zapomniano. Pamięć o PRL ma bowiem dzisiaj wybitnie selektywny charakter.

Źródła i literatura:

Akta z zasobu Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Katowicach: sygn. IPN Ka 0162/371 (mikrofilm), Sprawa operacyjnego sprawdzenia „Fala”; IPN Ka 001/411 t. 1-2, Akta tajnego współpracownika ps. „Witek”; IPN Ka 001/353, Akta kandydata na tajnego współpracownika.

A. Kozieł, *Za chwilę dalszy ciąg programu... Telewizja Polska czterech dekad 1952-1989*, Warszawa 2003.

P. Machcewicz, *„Monachijska menażeria”. Walka z Radiem Wolna Europa 1950-1989*, Warszawa 2007.

K. Persak, *Sprawa Henryka Hollanda*, Warszawa 2006.

Łucja Marek

Tajemnicza, czyli antypaństwowa korespondencja

Obywatelom Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej doskonale znana była pieczętka z napisem „ocenzurowano”. Dziś o symbolach minionej epoki przypominają jedynie sceny komedii filmowych, które paradoksalnie same zostały poddane ocenie cenzorów, bo powstały w okresie, gdy o wolności słowa tylko marzono.

Codziennie życie obywateli PRL kontrolowane było nie tylko poprzez oficjalną cenzurę prasy, radia, telewizji czy rozmów telefonicznych, ale także przez specjalne służby strzegące bezpieczeństwa państwa. Dość powszechnym zjawiskiem była chociażby „perlustracja”, czyli potajemny przegląd przesyłek pocztowych prowadzony przez Biuro „W” Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i jego terenowe odpowiedniki (na szczęblu wojewódzkim Wydział „W” Służby Bezpieczeństwa Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej).

Tajemnica korespondencji, podobnie jak wiele innych praw obywatelskich, była dość swoiście rozumiana w państwie „ludowym”. Respektowano ją dopiero wówczas, gdy uzyskano pewność, że nie zagraża socjalistycznej demokracji. Funkcjonariusze pionu „W” przeglądali na poczcie cudze listy i przesyłki w poszukiwaniu „wrogich i niebezpiecznych treści”.

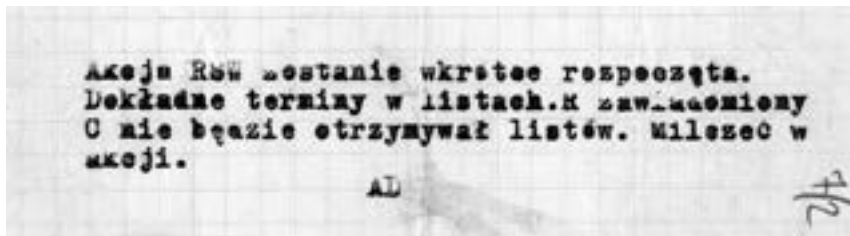
Bezpieka inwigilowała przede wszystkim korespondencję osób podejrzanych o antypaństwową działalność oraz profilaktycznie badała, czy listy – zwłaszcza wysyłane za granice PRL, a już szczególnie poza blok państw socjalistycznych – nie zawierają wrogich dla władz treści albo informacji stanowiących tajemnicę państwową i służbową. Skrupulatnej analizie poddawano każdą przesyłkę, która wzbudziła choć cień wątpliwości funkcjonariuszy odpowiedzialnych za bezpieczeństwo państwa. Można rzec, że podejrzane było wszystko co inne, nieznanne lub tajemnicze. Na tym polu walki o utrwalanie socjalizmu aparat bezpieczeństwa wykazywał gorliwość i podejrzliwość ocierającą się o granice obsesji, która u dzisiejszego obywatela państwa demokratycznego nie znajdzie zrozumienia, a jedynie wzbudzi zdziwienie.

Paradoksy systemu, w jakim przyszło żyć obywatelom Polski Ludowej, oraz groteskowość działań ludzi zaangażowanych w jego budowę i utrwalanie, ilustrują trzy – opisane poniżej – przykładowe przypadki prywatnej korespondencji, która wpadła w ręce funkcjonariuszy SB.

„Akcja RSW”

W styczniu 1962 r. mieszkaniec Sosnowca wysłał list na adres mieszkanki Częstochowy o treści: „Droga Zuzanno! Jeśli możesz to oddaj mi proszę małą przysługę. Chodzi o to, aby załączony tekst maszynowy włożyć do koperty, nakleić znaczek, który przesyłam Ci również i wysłać na adres: {...}. Ps. List musi być wrzucony w Częstochowie, sprawa pilna. Pozdrowienia dla wszystkich. Rysiek”. Na karteluszk dołączonym do korespondencji, który mieszkanka Częstochowy miała przesłać na adres mężczyzny zamieszkałego w Sosnowcu, widniał maszynowy napis: „Akcja RSW zostanie wkrótce rozpoczęta. Dokładne terminy w listach. R zawiadomiony. C nie będzie otrzymywał listów. Milczec w akcji. AD”. List wpadł w ręce funkcjonariuszy bezpieczeństwa, zanim został ostemplowany i opuścił urząd pocztowy w Sosnowcu. Zarówno treść informacji, jak i jej, jak się wydawało, konspiracyjny sposób kolportażu, wzbudziły podejrzenie i rozpoczęły łańcuch działań odpowiednich pionów służb strzegących bezpieczeństwa państwa.

13 stycznia Wacław Mucha – zastępca naczelnika Wydziału III SB KW MO w Katowicach (pionu odpowiedzialnego za walkę z działalnością antypaństwową) – powiadomił Wydział Śledczy o posiadaniu informacji, że osoby z terenu Sosnowca i Częstochowy „utrzymują kontakty korespondencyjne, z których wynika, że prowadzą oni działalność antypaństwową”. Zastępca naczelnika podał dokładny adres i dane personalne autora listu, adresatki i niedoszłego odbiorcy maszynowego karteluska. Na tej podstawie 14 stycznia Wydział Śledczy wszczął dochodzenie w sprawie „udziału w związku, którego istnienie i cel ma pozostać tajemnicą wobec władz państwowych”, tj. o przestępstwo z art. 36 m.k.k. W tym samym dniu Edmund Nakonieczny, wiceprokurator wojewódzki w Katowicach, na prośbę Mariana Dziekana, zastępcy komendanta wojewódzkiego ds. Bezpieczeństwa w Katowicach, wydał postanowienie o zajęciu korespondencji wychodzącej i przychodzącej na adres autora „podejrzanego” listu, adresatki i niedoszłego odbiorcy grypsu przez okres trzech miesięcy. Sprawę potraktowano bardzo poważnie, o jej wszczęciu Bronisław Piacko – zastępca naczelnika Wydziału Śledczego – powiadomił Biuro Śledcze MSW.



Załącznik do listu przesłanego z Sosnowca do Częstochowy, który stał się przyczyną wszczęcia przez funkcjonariuszy SB dochodzenia w sprawie istnienia nielegalnego antypaństwowego związku, styczeń 1962 r.

Zgodnie z decyzją Prokuratury Wojewódzkiej list został zarekwirowany, ale już na terenie Częstochowy. Za pismem z dnia 16 stycznia dyrektor Obwodowego Urzędu Poczto-Telekomunikacyjnego w Częstochowie przekazał (za pośrednictwem oficera KW MO w Katowicach) do prokuratury oryginał „podejrzanej” korespondencji. Na białej, prostokątnej kopercie widniał adres odbiorcy i nadawcy oraz stempel pocztowy Urzędu Poczтового w Sosnowcu z datą 15 stycznia. Wewnątrz znajdowała się połowa kartki papieru listowego w linie, zapisana na jednej stronie w języku polskim, pismem ręcznym, długopisem koloru niebieskiego, rozpoczynająca się od słów „Droga Zuzanno...” Oprócz tego w kopercie znajdował się kawałek papieru kratkowanego, na którym wypisany był krótki tekst pismem maszynowym. Do korespondencji dołączony był także znaczek pocztowy, do wykorzystania przez adresatkę listu przy nadaniu przesyłki pocztowej, o którą nadawca prosił. Zatrzymany list wraz z kopertą został wpięty w akta sprawy.

Decyzja Prokuratury umożliwiła oficjalne zarekwirowanie listu, który już wcześniej został przez SB spenetrowany, a zapewne i przytrzymany. O tym, że korespondencja przeglądana była bez zgody właściwych organów świadczy fakt, że na kopercie widniała pieczętka poczty w Sosnowcu z datą 15 stycznia, a szczegółowa treść korespondencji znana była funkcjonariuszom SB co najmniej od 13 stycznia i na tej podstawie Wydział Śledczy wszczął dochodzenie, a wiceprokurator nakazał zatrzymać przesyłkę. Można więc wnioskować, że list został przetrzymany w Sosnowcu, tam pokazany komu trzeba, a potem niemal w ekspresowym tempie dotarł do Częstochowy.

W ramach czynności zmierzających do wyjaśnienia tajemniczej treści listu i udaremnienia antypaństwowej działalności, postanowiono przesłuchać jego nadawcę. Zdziwienie wzbudził fakt, że doprowadzony do Komendy Miejskiej

MO w Sosnowcu „wróg ustroju” okazał się 15-letnim uczniem pierwszej klasy Technikum Kolejowego, synem emeryta i robotnicy huty „Sosnowiec”, pasjonatem filatelistyki i literatury sensacyjnej, zaś adresatką listu – córka jego matki chrzestnej. W przesłuchaniu chłopca uczestniczył Zygmunt Nikiel, zastępca naczelnika Wydziału III KW MO w Katowicach, który w notatce służbowej z dnia 22 stycznia opisał przebieg czynności wyjaśniających.

Według jego relacji chłopiec nie został od razu poinformowany o przechwyceniu „podejrzanej” korespondencji. Najpierw poproszono go o napisanie krótkiego życiorysu, aby upewnić się, że to on jest właściwym autorem. Gdy się okazało, że charakter pisma jest identyczny z pismem w liście do mieszkanki Częstochowy, wówczas tak pokierowano rozmową, aby młody człowiek sam nawiązał do tej sprawy. Chłopiec zeznał, że wspólnie z czterema kolegami planowali w okresie wakacji odbyć wycieczkę rowerową z Sosnowca do Warszawy. „Dla nadania przygotowaniom oprawy sensacyjnej” on sam wymyślił nazwę „akcja RSW” i szereg działań, które miały otoczyć wyprawę aurą tajemniczości. Kryptonim zaczerpnął od pierwszych liter słów: „Rower – Sosnowiec – Warszawa”.

Chłopięce zamiłowanie do literatury sensacyjnej ujawniło się w przebiegu całych przygotowań do wycieczki. Od jednego z kolegów pożyczył czcionkę i ułożył napis „akcja RSW”, który z kolei przekazał drugiemu z potencjalnych uczestników przyszłej wyprawy, mówiąc mu przy tym, że z Warszawy taki anonim dostał pierwszy ze wspomnianych kolegów i że podobny list dotrze także do niego. Dla upozorowania, że to nie on jest autorem anonimów, poprosił trzeciego z kolegów, którego rodzice posiadali maszynę do pisania, aby napisał na niej krótki tekst na temat „akcji RSW”, co ten uczynił. Miłośnik sensacyjnych przygód wysłał maszynopis do Częstochowy, prosząc koleżankę, by przesłała tekst do Sosnowca, na adres drugiego ze wspomnianych powyżej kolegów. W liście podał pełny adres, na który należało wysłać tajemniczą karteczkę, ponieważ dziewczyna go nie знаła.

Zeznania chłopca potwierdzili wezwani na przesłuchanie koledzy, których wskazał w opisie przebiegu przygotowań do „akcji RSW”. Młodzi ludzie obszernie i szczerze mówili o swoich zainteresowaniach, marzeniach i planach. Wszelkie niejasności i podejrzenia wobec nich rozwiały się, bo jak stwierdził zastępca naczelnika Wydziału III, „stało się jasnym, że nie mamy do czynienia z żadną formą nielegalnej organizacyjnej działalności”. W ramach działań profilaktyczno-ostrzegawczych Zygmunt Nikiel zawiadził jednak rodziców

chłopców, wyjaśnił im powody przesłuchiwania synów i zwrócił uwagę, że powinni właściwie kształtować zainteresowania dzieci, „a przynajmniej winni baczyć, by te zainteresowania nie rozwijały się w niebezpiecznym kierunku”.

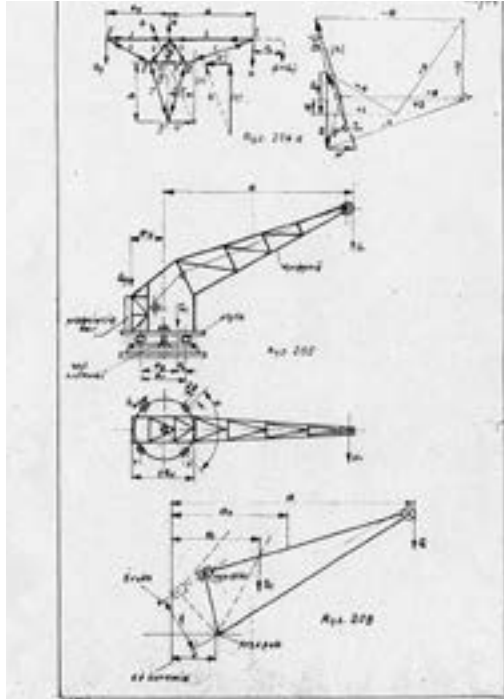
Równoległe z prowadzonymi przesłuchaniami, śledczy poszukiwali materiałów, które mogłyby dodatkowo uzasadnić podejrzenia wobec młodych ludzi. W dniu 20 stycznia przeprowadzono dwugodzinną rewizję w mieszkaniu rodziców adresatki listu, w celu ujawnienia „korespondencji mającej charakter przestępczy”. W obecności matki dziewczyny przeszukano dwa pokoje, ale nie odnaleziono „żadnych przedmiotów mogących stanowić dowód winy, uzyskanych przez przestępstwo lub ulegających konfiskacie”.

W związku z powyższym Wydział Śledczy zakończył dochodzenie w sprawie przestępstwa z art. 36 m.k.k. i przekazał w dniu 12 lutego 1962 r. akta sprawy Prokuraturze Wojewódzkiej w Katowicach z wnioskiem o umorzenie postępowania. Pięć dni później wiceprokurator Prokuratury Wojewódzkiej w Katowicach Zbigniew Tatar wydał postanowienie o umorzeniu dochodzenia w sprawie „istnienia na terenie Sosnowca i Częstochowy nielegalnego związku, którego istnienie i cel miał pozostać tajemnicą wobec władzy państwowej”. Wiceprokurator podkreślał, że na podstawie treści przechwyconego listu „zachodziło uzasadnione podejrzenie”, że młodzi ludzie należeli do nielegalnej antypaństwowej organizacji, ale dochodzenie nie potwierdziło, a wręcz wykluczyło, aby ich działalność miała charakter przestępczy.

Ironizując, można stwierdzić, że całemu zamieszaniu winna była nie podejrzliwość Służby Bezpieczeństwa, a „młodzieńcza może zbyt wybujała fantazja” chłopców, którzy w szarej rzeczywistości chcieli przeżyć coś tajemniczego.

Dydaktyczne rysunki techniczne

Podejrzliwość służb odpowiedzialnych za bezpieczeństwo państwa wzbudzał kolportaż wszelkich materiałów, które choćby na pierwszy rzut oka mogły mieć jakikolwiek związek z przemysłem, gospodarką czy działalnością instytucji o podobnym charakterze. Czujność funkcjonariuszy bezpieki była, jak już wspomniałam, szczególnie wyostrowana na zagraniczną korespondencję listową. Oczywiście inwigilację korespondencji kierowanej za granicę prowadzono przede wszystkim pod kątem zabezpieczenia kontrwywiadowczego kraju, czyli wykrywania ewentualnych przypadków szpiegostwa lub współpracy polskich obywateli ze służbami specjalnymi obcych państw.



Jeden z rysunków technicznych przesłany korespondencyjnie z Katowic do Paryża, który wzbudził podejrzenia funkcjonariuszy SB i stał się przyczyną wszczęcia dochodzenia w sprawie naruszenia tajemnicy państwowej i służbowej, maj 1960 r.

W dniu 20 maja 1960 r. Wydział Śledczy SB KW MO w Katowicach wszczął dochodzenie w sprawie „przesyłania drogą korespondencyjną informacji i rysunków technicznych stanowiących tajemnicę służbową i państwową”, które z Katowic trafić miały do Paryża. Podstawą do wszczęcia dochodzenia była notatka służbowa Wydziału III KW MO w Katowicach z 19 maja. Wspomniany pion SB zawiadomił, że „posiada informację”, iż nieznanymi sprawcami dopuszczano się tego typu przestępstwa.

Odbiorcą przesyłki miał być obywatel polski, który wyjechał na pobyt czasowy do Francji w celu odwiedzenia rodziny i nie powrócił do kraju w wyznaczonym terminie. Przed wyjazdem pracował jako starszy asystent w Biurze Projektów Energetycznych w Katowicach i mieszkał na terenie tego miasta.

Skąd Wydział III znał dane personalne oraz dokładny adres odbiorcy korespondencji i wiedział, że zawartość listu stanowiły rysunki i szkice techniczne?! W dokumentach nie ujawniono źródła informacji, enigmatycznie tylko stwierdzono, że wiadomość na powyższy temat wojewódzkie organa bezpieczeństwa otrzymały „w drodze poufnej”, co wskazywać może - podobnie jak w powyżej opisanym przypadku – na „perlustrację” korespondencji lub informacje tajnych współpracowników SB.

Na prośbę Kazimierza Małkiewicza, zastępcy komendanta wojewódzkiego MO, w dniu wszczęcia dochodzenia Prokuratura Wojewódzka w Katowicach wydała postanowienie o zajęciu wszelkiej korespondencji wychodzącej z kraju na paryski adres uciekiniera oraz nadawanej przez niego. Na tej podstawie Urząd Pocztowo-Telekomunikacyjny nr 2 w Katowicach przesłał Prokuraturze Wojewódzkiej łącznie osiem przesyłek listowych zaadresowanych na wspomniany adres i nadanych w dniach 21, 24 i 28 maja oraz 1 czerwca 1960 r. Na kopertach koloru białego widniał jedynie adres odbiorcy, brak było nadawcy, a po ich otwarciu okazało się, że zawierały rysunki techniczne wyjęte z podręczników technicznych oraz sześć szkiców technicznych sporządzonych na papierze technicznym.

W ustaleniu danych nadawcy tej korespondencji pomógł kolejny list, który został zatrzymany 2 czerwca i dzień później przekazany prokuraturze. Podobnie jak w poprzednich przypadkach, na kopercie widniał tylko adresat, wewnątrz nie było jednak rysunków, lecz list, z treści którego wynikało, że został napisany przez żonę adresata zamieszkałą w Katowicach. Korespondencja dotyczyła spraw rodzinnych i miała typowo osobisty charakter, ale ostatnie zdanie nawiązywało do sprawy rysunków. W *post scriptum* autorka listu wyjaśniała bowiem mężowi: „Wszystkie rys. (części maszyn) już Ci wysłałam. Był tylko jeden zeszyt – już pisałam”.

Kobieta została przesłuchana w charakterze świadka i przyznała, że na paryski adres wysłała kilka przesyłek listowych z technicznymi rysunkami i szkicami. Uczyniła to na prośbę męża, który we Francji otrzymał pracę zgodną z jego zawodem i dlatego na bieżąco chciał utrzymywać oraz pogłębiać wiedzę techniczną. Kobieta wyjaśniała, że mąż poprosił o nadesłanie polskich podręczników, ponieważ ze względu na słabą znajomość języka obcego, korzystanie z francuskich sprawiało mu trudność. Tłumaczyła także, że była nieświadoma, iż nie można takich rysunków wysyłać poza granice kraju.

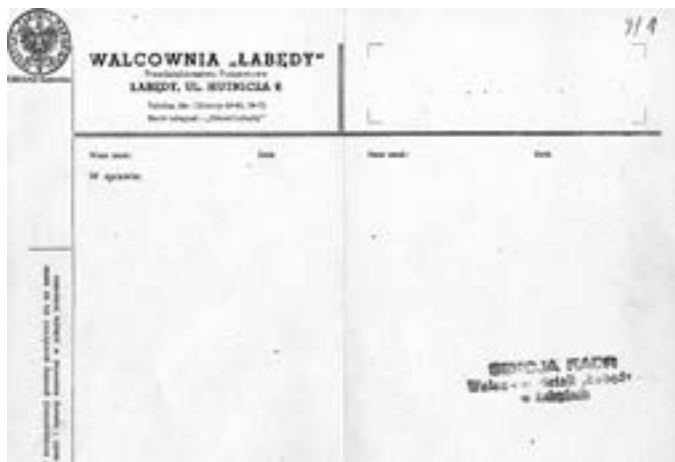
Z chwilą ustalenia nadawcy i okoliczności wysłania „podejrzanej” korespondencji jedyną niewiadomą pozostawała merytoryczna treść zarekwirowanych szkiców i rysunków. Dnia 8 sierpnia 1960 r. wiceprokurator wojewódzki zlecił biegłemu „dokonanie oględzin rysunków technicznych celem wydania opinii, czy przedmiotowe rysunki mogły stanowić naruszenie tajemnicy państwowej, wzgl[ędnie] służbowej”. Ekspertyzę przeprowadził inżynier zatrudniony w Zjednoczeniu Hutnictwa, Żelaza i Stali w Katowicach.

Po przeprowadzeniu badań biegły wydał orzeczenie, w którym nie pozostawił żadnych wątpliwości co do charakteru opiniowanych materiałów. Przedmiotowe dokumenty nie przedstawiały specjalnych urządzeń czy części maszyn, a „zwykłe układy kinematyczne urządzeń dźwigowych” wraz z fragmentami urządzeń napędzających (ślimak i ślimacznica) i były powszechnie dostępne do celów dydaktyczno-technicznych. W podsumowaniu swej opinii biegły napisał, iż „tego rodzaju rysunki spotykane są w każdym kalendarzu technicznym i literaturze technicznej i w sposób pogładowy pouczają konstruktora o sposobie wymiarowania i oznaczeń jakie należy stosować w rysunkach technicznych”.

14 września 1960 r. Karol Janoszek, naczelnik Wydziału Śledczego przekazał akta sprawy Prokuraturze Wojewódzkiej w Katowicach z wnioskiem o umorzenie dochodzenia „z braku znamion przestępstwa”. Wiceprokurator Zbigniew Tatar przychylił się do opinii oficerów śledczych i pięć dni później umorzył sprawę z takiego właśnie powodu.

Firmowe druki opieczętowane *in blanco*

Podobna przyczyna, jak w wypadku wysyłanych planów technicznych, skłoniła SB do przeprowadzenia innego dochodzenia. Pod koniec grudnia 1962 r. Wydział III Służby Bezpieczeństwa KW MO w Katowicach uzyskał informację, że za pośrednictwem mieszkanki Katowic z obiektów przemysłowych wysyłane były do Republiki Federalnej Niemiec dokumenty stanowiące tajemnicę państwową. Wydział Śledczy wszczął 31 grudnia dochodzenie, a Prokuratura Wojewódzka w Katowicach wydała postanowienie o zajęciu wszelkiej korespondencji wychodzącej i przychodzącej na adres podejrzanej o przestępstwo kobiety. Na tej podstawie 3 stycznia 1963 r. dyrektor Obwodowego Urzędu Poczto-Telekomunikacyjnego w Katowicach przekazał list, którego treść oczywiście już wcześniej znana była funkcjonariuszom bezpieki.



Firmowy druk Walcowni „Łabędy” przesłany korespondencyjnie z Katowic do RFN, który wzbudził podejrzenia funkcjonariuszy SB i stał się przyczyną wszczęcia dochodzenia w sprawie naruszenia tajemnicy państwowej i służbowej, grudzień 1962 r.

Na niebieskiej kopercie widniał stempel pocztowy z datą 31 grudnia 1962 r. oraz dane adresata i nadawcy. Wewnątrz znajdowały się następujące dokumenty: angaż do pracy wydany przez Prezydium Powiatowej Rady Narodowej (PPRN) w Gliwicach dla mieszkańca Katowic, trzy egzemplarze blankietów *in blanco* Walcowni Metali „Łabędy” w Łabędach z pieczętką Sekcji Kadr tego przedsiębiorstwa, pismo w języku niemieckim firmy „Sarotti” skierowane do adresatki zarekwirowanej korespondencji oraz dwa zdjęcia młodej kobiety i dwa zdjęcia dziewczynki w wieku około siedmiu lat.

Spośród zatrzymanych materiałów najwięcej zastrzeżeń wzbudziły ostemplowane firmowe druki huty „Łabędy”. Oficer śledczy uznał, że kobieta wysłała do RFN list „z zawartością dokumentów stanowiących tajemnicę państwową”, choć – co należy mocno podkreślić – były to puste blankiety. Na taką ocenę z pewnością miał wpływ ówczesny klimat polityczny: szpiegomania oraz wrogość i podejrzliwość wobec wszystkiego, co dotyczyło Niemiec Zachodnich.

W toku śledztwa ustalono, że wymieniony w pierwszym dokumencie mężczyzna, pracownik Referatu Spraw Pracowniczych Wydziału Organizacyjno-Prawnego PPRN w Gliwicach, to syn z pierwszego małżeństwa nadawczyni przesyłki. W listopadzie 1962 r. w ramach taryfowego urlopu wyjechał na

wycieczkę do Danii i odmówił powrotu do kraju. Z Danii przedostał się do RFN, gdzie zamieszkał u adresatki listu, którą znalazł z poprzedniego miejsca pracy, a mianowicie Walcowni Metali „Łabędy” w Łabędach (w 1959 r. kobieta porzuciła pracę i wyjechała na stałe do RFN). Oprócz tych informacji nie uzyskano żadnych innych danych i materiałów, które potwierdziłyby zarzut przesyłania za granicę dokumentów stanowiących tajemnicę państwową lub służbową.

Pod koniec lutego Bronisław Piacko – zastępca naczelnika Wydziału Śledczego – zawniósł do Prokuratury Wojewódzkiej w Katowicach o przedłużenie postanowienia w sprawie zajęcia korespondencji wychodzącej i przychodzącej na przedmiotowy adres przez kolejne dwa miesiące. Wiceprokurator Prokuratury Wojewódzkiej Jan Rydzio nie wyraził zgody. Po przeanalizowaniu akt dochodzenia stwierdził bowiem, że nie ma podstaw do dalszej inwigilacji przesyłek (na tym etapie śledztwa nie dostrzegł on w działaniu kobiety znamion przestępstwa). Ponadto zasugerował, aby w celu wyjaśnienia sprawy przesłuchać nadawczynię listu w charakterze świadka, w obecności prokuratora prowadzącego śledztwo.

Trudno ustalić, z jakiego powodu kobieta została przesłuchana dwukrotnie (być może wpływ na to miała powyższa decyzja i wewnętrzne tarcia pomiędzy prokuraturą a bezpieczeństwem), 20 marca przez wiceprokuratora Edmunda Nakoniecznego, a dwa tygodnie później przez śledczego SB. Mieszkanca Katowic potwierdziła, że wysłała list z zakwestionowanymi dokumentami do swojego syna, który w listopadzie 1962 r. nielegalnie wyjechał przez Danię do RFN i zamieszkał u narzeczonej – adresatki przechwyconej korespondencji. Dokumenty przesłała na listowną prośbę syna. Prawdopodobnie potrzebował ich do potwierdzenia zatrudnienia na terenie Polski.

Naręczona mężczyzny przebywała w Niemczech od 1959 r. (nie powróciła do kraju z odwiedzin u krewnych), on sam starał się o uzyskanie zgody władz na wyjazd, aby móc wziąć ślub. Wobec odmowy, podjął decyzję o ucieczce, ale swoich zamiarów nie ujawnił przed nikim. Matka zeznała, że przed wyjazdem na wczasy do Szczecina syn nie wspomniał wprost o wycieczce do Danii ani o planowanym wyjeździe na stałe do RFN, ale dał jej firmowe druki huty „Łabędy” i poprosił, aby mu je przysłała, jeśli napisze z zagranicy (powiedział, że to dowód, iż tam pracował). W połowie grudnia 1962 r. otrzymała list od narzeczonej syna z informacją, że ten u niej przebywa i prosi o przesłanie pozostawionych matce zaświadczeń na jej adres.

Kobieta tłumaczyła, że nie wiedziała, iż nie wolno wysłać za granicę „takowych dokumentów”.

Oficerowie śledczy musieli znaleźć odpowiedź na jeszcze jedno pytanie: w jaki sposób firmowe blankiety zostały opieczetowane *in blanco* i znalazły się w rękach mężczyzny? Przesłuchana w charakterze świadka pracownica Walcowni Metali „Łabędy” potwierdziła ich autentyczność i zeznała, że zdobyć czyste druki na terenie zakładu można było bez problemu, ponieważ znajdowały się one na hali maszyn. Natomiast wydawanie ostemplowanych druków *in blanco* było niedozwolone. Według jej przypuszczeń mężczyzna mógł zaopatrzyć się w druki jeszcze w okresie pracy w zakładzie, ponieważ wówczas do stemplowania używano poduszek z tuszem fioletowym, niebawem zmienionym na czerwony. Pieczętkę mógł odcisnąć jego kolega, który w tym okresie pracował w Wydziale Kadr, albo sam zainteresowany mógł zastępować pracownika tej komórki w czasie urlopu i samodzielnie opieczetować blankiet.

Zeznania świadków i wyniki czynności operacyjnych nie potwierdziły podejrzeń funkcjonariuszy SB, jakoby mieszkanka Katowic dopuściła się czynu przestępczego. 16 maja 1963 r. Marian Dziekan, zastępca komendanta wojewódzkiego MO ds. Bezpieczeństwa w Katowicach, wniósł do Prokuratury Wojewódzkiej wniosek o umorzenie śledztwa w sprawie przesyłania do RFN dokumentów stanowiących tajemnicę państwową i służbową, ze względu na „brak znamion przestępstwa”. Trzy tygodnie później wiceprokurator Edmund Nakonieczny zapoznał się z aktami i umorzył śledztwo, ponieważ dokumenty odnalezione w przesyłkach listowych nie zawierały żadnej tajemnicy państwowej czy służbowej, a tym samym przesłanie ich do RFN nie było przestępstwem.

* * *

W każdym z opisanych powyżej trzech przypadków Służba Bezpieczeństwa dysponowała dokładnym adresem odbiorcy „podejrzanej” przesyłki pocztowej, a także znała zawartość i treść korespondencji, zanim została ona zarekwirowana i otwarta zgodnie z obowiązującymi przepisami prawnymi, czyli za wiedzą i wyrażoną postanowieniem zgodą prokuratury. Należy zatem stwierdzić, że nielegalna czynność SB, jaką był rutynowy przegląd listów i paczek, nie oznaczała wszczęcia postępowania wobec naruszających prawo. Wręcz przeciwnie. Bezprawnie zakwestionowany list zostawał zajęty na mocy

postanowienia prokuratora *post factum* i stanowił dowód w śledztwie przeciwko nadawcy (czy odbiorcy). Analiza dat wszczęcia dochodzeń, uzyskania zgody na oficjalne zajęcie korespondencji oraz dat ze stempli pocztowych widniejących na zakwestionowanych przesyłkach, wyraźnie to potwierdza. Taki paradoks prawny z czasów PRL.

W pismach kierowanych do Prokuratury Wojewódzkiej z prośbą o zezwolenie na zatrzymanie korespondencji, Służba Bezpieczeństwa lakonicznie informowała tylko, że „posiada informację” lub „uzyskała informację” na temat podejrzanej przesyłki, nie podając jej źródła. W ten sposób ochraniało metody pracy operacyjnej i źródła informacji, nadając przy okazji pozór legalności dochodzeniu – wszak nigdzie nie padało sformułowanie, że przesyłkę nielegalnie obejrzał sobie funkcjonariusz Wydziału „W”. Nie może to dziwić, zwłaszcza że wspomniana korespondencja miała charakter jawny, kierowana była nazewnątrz resortu i trafiała do akt, które później przesyłano do prokuratury.

Dane uzyskane w trakcie „perlustracji” lub od tajnych pracowników zatrudnionych w urzędach pocztowych przekazywano – w zależności od ich treści – do odpowiednich pionów SB zajmujących się np. zwalczaniem antypaństwowej działalności. Piony podejmowały działania operacyjne, a za ich pośrednictwem informacja o zdarzeniu trafiała do Wydziału Śledczego, który z kolei wszczynał oficjalne działania, począwszy od zalegalizowania bezprawia, czyli uzyskania zgody prokuratury na zajęcie korespondencji, po skierowanie akt sprawy do prokuratury z wnioskiem o ukaranie sprawców przestępstwa lub umorzenia sprawy, jeśli podejrzenie nie znalazło potwierdzenia w trakcie przeprowadzonych czynności dochodzeniowo-śledczych.

Opisane powyżej przypadki dowodzą, że obsesyjna nieufność aparatu państwowego Polski Ludowej wobec korespondencji swych obywateli – zwłaszcza wysyłanej poza granice kraju – przybierała czasami kuriozalny charakter. Wielokrotnie podejrzliwość okazywała się przesadzona, ale pomyłkę spec służb tuszowano sformułowaniem o „uzasadnionym podejrzeniu” zapisywanym w postanowieniu o umorzeniu postępowania. Swoiście rozumiana czujność w warunkach PRL po prostu triumfowała nad rozsądkiem.

Źródła i literatura:

Akta z zasobu Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Katowicach: sygn. IPN Ka 064/153, Repertorium Wydziału Śledczego 1960-1981; IPN Ka 03/351,

Akta śledcze nr 4/62, IPN Ka 221/47, t. 1-2, Akta prokuratorskie nr II.Ds.15/62 w sprawie istnienia na terenie Sosnowca i Częstochowy nielegalnego związku; IPN Ka 221/44, Akta prokuratorskie nr II.Ds.156/60 w sprawie przekazywania za granicę dokumentów stanowiących tajemnicę państwową i służbową; IPN Ka 03/320, Akta śledcze nr 138/60; sygn. IPN Ka 221/50, t. 1-2, Akta prokuratorskie nr II.Ds.179/62 w sprawie wysłania za granicę dokumentów stanowiących tajemnicę państwową i służbową.

Aparat bezpieczeństwa w Polsce. Kadra kierownicza, t. II, 1956-1975, red. P. Piotrowski, Warszawa 2006.

Monika Bortlik-Dźwierzynska

Pociąg do wolności

Represje w PRL po roku 1956 kojarzą się przede wszystkim z działaniami prowadzonymi przez Służbę Bezpieczeństwa. Należy jednak pamiętać, że w tamtym czasie, podobnie jak i wcześniej, stanowiła ona tylko jeden z kilku filarów komunistycznego aparatu represji. Składał się on m.in. z sądownictwa, Wojskowej Służby Wewnętrznej, ważną rolę odrywały także Wojska Ochrony Pogranicza. Zdarzało się więc, że tą samą sprawą zajmowało się kilka różnych organów władzy państwowej. Niniejszy tekst opisuje taki właśnie przypadek.

Jedna ze scen niezapomnianej komedii Stanisława Barei „Miś” przedstawia moment, w którym to prezes Ryszard Ochódzki zostaje obdarowany przez władzę paszportem. Tej niezwyklej chwili towarzyszy krótki program artystyczny, który ma podkreślić szczególnie podniosły charakter całego wydarzenia. Jeden z urzędników w poetyckim uniesieniu recytuje wyuczoną formułkę:

Lądy i morza przemierzam, kulę ziemską z otwartym czołem. Polski mam paszport na sercu [...] Skąd go wzięłem? A wzięłem go z dumy i trudu. Ze znoju codziennej pracy. Ze stali, żelaza i węgla...

Wreszcie dochodzi do kulminacji uroczystości: dwóch mocno już wyrosniętych chłopców przebranych w odświętne stroje ludowe, wręcza nieco zakłopotanemu gościowi dużą czerwoną poduszkę, na środku której spoczywa zupełnie niepozorna książeczka...

Scena ta, chociaż mocno przekoloryzowana, świetnie oddaje realia poprzedniej epoki. Epoki, w której paszport był bodaj najbardziej upragnionym dokumentem, niemalże wygranym losem na loterii. Stąd też dla przeciętnego obywatela stanowił dobro prawie zupełnie nieosiągalne. Co prawda w Polsce Ludowej zdarzały się okresy bardziej liberalnego kursu polityki wyjazdowej,

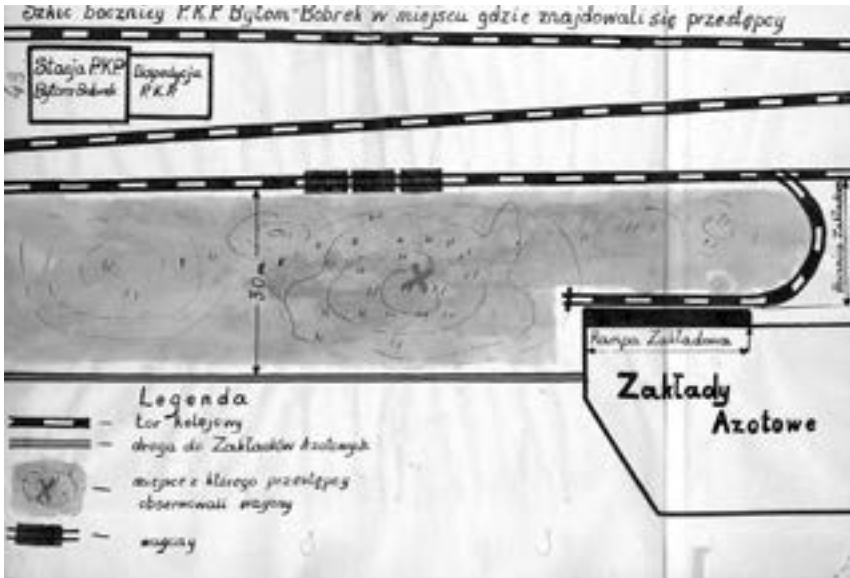
jak to na przykład miało miejsce w czasie popaździernikowej odwilży czy w pierwszych latach rządów Edwarda Gierka, jednak nawet i wtedy spora część Polaków nie miała najmniejszych szans na legalny wyjazd. W tej sytuacji dla wielu z nich jedyną alternatywą była ucieczka z kraju.

Polskę opuszczano na wiele sposobów. Podczas gdy jedni ukrywali się w kutrach rybackich i rozmaitych schowkach wagonów kolejowych czy autobusowych, inni konstruowali własny sprzęt pływający i latający, na którym zamierzali przedostać się na Zachód. Zdarzały się również przypadki porwań samolotów pasażerskich. Dość oryginalną metodę na wydostanie się z kraju wymyślili pracownicy i bliscy sąsiedzi Państwowych Zakładów Azotowych im. Pawła Findera w Chorzowie (PZA).

O ile przeciętnemu mieszkańcowi województwa nazwa zakładów kojarzyła się głównie z produkcją nawozów sztucznych, to dla funkcjonariuszy SB chorzowskie „Azoty” i ich bytomska filia stanowiły jeden z wielu kluczowych zakładów przemysłowych województwa katowickiego. Oznaczało to, że pozostawały one w ich operacyjnym zainteresowaniu. Podobnie było zresztą w przypadku grupy żołnierzy Wojsk Ochrony Pogranicza z Tuplic (stacja kolejowa w dzisiejszym województwie lubuskim). Popularne „Azoty” kojarzyły im się przede wszystkim z koniecznością natychmiastowego stawienia się na pobliskiej stacji PKP za każdym razem, gdy tylko na jej tory wjeżdżały wagony ze Śląska.

Przyjeżdżały one głównie z bytomskiego oddziału PZA, który w latach 60. i 70. był jednym z największych w Polsce dostawców karbidu. Produkt wysyłano na rynki Europy Zachodniej. Zapewne wbrew intencjom kierownictwa przedsiębiorstwa, zakład ten stał się też w krótkim czasie prawdziwym „eksporterem” niezadowolonych ze swego dotychczasowego życia okolicznych mieszkańców. Ci bowiem, chcąc za wszelką cenę wydostać się na Zachód, „wyspecjalizowali” się w organizowaniu ucieczek właśnie w transportach z beczkami karbidu. Przez kilka dobrych lat ta nielegalna turystyka przeżywała prawdziwy boom. Jednym z jej prekursorów był 35-letni Jerzy – ojciec pięciorga dzieci, górnik, pracownik KWK „Szombierki”.

Od dłuższego już czasu mężczyzna urządzał sobie krótkie przechadzki w pobliżu bocznicy kolejowej Bytom-Bobrek, gdyż tam właśnie stały wagony z karbidem przeznaczonym na eksport. Co chwilę, niby mimochodem, z ciekawością zerkał na plomby. Interesowały go również poszczególne karty przewozowe, które informowały, dokąd dany transport odchodzi oraz jaki



Plan części bocznic PKP Bytom-Bobrek (z zaznaczonym miejscem ukrycia uciekinierów)

przewozi ładunek. Oczywiście wzrok „spacerowicza” szczególnie przyciągały wywieszki z obco brzmiącymi nazwami miast. Powoli zaczął powstawać plan ucieczki, a ten wydawał się być prosty i w miarę bezpieczny. Należało zgromadzić prowiant, wytypować odpowiedni wagon i znaleźć jakiegoś zaufanego przyjaciela potrzebnego do zaplombowania drzwi, przez które wcześniej wślizgnąłby się nielegalny pasażer. Wydawało mu się, że szanse na ucieczkę są naprawdę duże, zwłaszcza że sam słyszał o kilku udanych eskapadach na Zachód w transportach mebli czy węgla. Początkowo zamierzał uciekać sam, później jednak w swoje zamierzenia wtajemniczył dwóch bliskich kolegów, Heinza i Wiktora. Po usłyszeniu jego propozycji, z miejsca na nią przystali. Mężczyznom z różnych przyczyn zależało na tym, by jak najszybciej opuścić kraj. Zapewne niebagatelne znaczenie odegrał tu fakt, że od dłuższego już czasu „deptała im po piętach” milicja, która podejrzewała ich o kradzież królików. Z tej perspektywy przedstawiona oferta wydawała się niezwykle kusząca. Zaufanie wzbudzała również osoba organizatora. Wprawdzie koledzy Jerzego wiedzieli, że ten już raz bez powodzenia usiłował się wymknąć z kraju, ale byli przekonani, że właśnie dzięki tej lekcji wyciągnie on wnioski na przyszłość i tym razem wszystko zakończy się dobrze.

Kilkanaście lat wcześniej 22-letni wówczas Jurek został złapany przy próbie sforsowania granicy polsko-czechosłowackiej. Co prawda został on wtedy (w 1952 r.) skazany wyrokiem Sądu Powiatowego w Jeleniej Górze na rok więzienia, ale kary nie odsiedział, bo objęła go amnestia.

„Organizator przedsięwzięcia” zaczął opracowywać szczegóły planu. Omałwał go wraz z kolegami w jednej z pobliskich restauracji. Na takim właśnie spotkaniu zapadła decyzja, że pomocy w zamknięciu i zaplombowaniu wagonu udzieli im Gerhard, szwagier jednego z nich. Pozostała jeszcze jedna istotna kwestia – należało zorganizować plomby, którymi będzie można skutecznie zapieczętować drzwi. Ich spreparowania podjął się Jerzy. Jak się później okazało, wykonanie tego zadania wymagało tyleż samo pomysowości, co zdolności plastycznych.

Ściągał on zużyte plomby ze starych wagonów wracających do zakładów azotowych – karbidowni, po czym odrywał stare druty i przy pomocy igły robił w nich niewielkie otwory. Następnie pieczołowicie wkładał w nie nowe druty i lekko zaciskał olów, w taki sposób, by nie zatrzeć napisu wytłoczonego na plombie. W czasie późniejszego przesłuchania stwierdził, że tak spreparowane przez niego plomby wyglądały zupełnie jak nowe. Zeznał również, że wśród swoich narzędzi wyszukał starą plombownicę bez numerów, która posłużyć miała do zaciśnięcia plomb, już po ich założeniu. Kiedy zapytano go, gdzie zdobył plombownicę, odparł, iż otrzymał ją kilka lat temu od kolegi, który plombował nią skrzynki z warzywami.

Kolejnym etapem przygotowania ucieczki było zgromadzenie odpowiedniej ilości prowiantu. To zadanie wziął na siebie Edward – ich wspólny kolega. Marzył on o tym, żeby dołączyć do trójki przyjaciół i wydostać się z nimi z Polski. Na jego uczestnictwo nie zgodził się jednak Jerzy. Edward musiał zatem pozostać w kraju, przynajmniej na razie...

Wieczorem, 1 sierpnia 1965 r., wszystko zostało dopięte na „ostatni guzik”. Tego dnia wszyscy trzej spiskowcy mieli się stawić na bocznicę kolejowej Bytom-Bobrek. Jednak w drodze na umówione miejsce Jerzy spotkał swego dawnego kolegę, któremu się zwierzył ze swoich zamiarów. Ponieważ napotkany mężczyzna miał za sobą kilkuletni wyrok więzienia za nielegalne przekraczanie granicy, zaprosił Jerzego do swego mieszkania i wszelkimi sposobami odwodził go od jego planów. Ten jednak pozostał niewzruszony i rankiem następnego dnia udał się w kierunku bocznic. Tam spotkał prawdziwie wściekłych na jego przyjaciół. Heinz i Wiktor zarzucali mu, że pozostawił ich zupełnie

bez słowa. Okazało się, że poprzedniego dnia „zablińdowali” się oni w jednym z wagonów z karbidem i „na własną rękę” ruszyli do „wolnego świata”. Ich podróż szybko się jednak skończyła, bo gdy tylko zaczęło się robić ciepło, karbid zaczął wydzielać tak nieprzyjemną woń, że dalsza jazda okazała się prawdziwym koszmarem. Odurzeni mężczyźni dali więc w końcu za wygraną i zrezygnowali z dalszej „wycieczki”. Zawiedzeni wrócili piechotą do Bytomia.

Po wysłuchaniu całej tej opowieści Jerzy uznał, że dwójka przyjaciół ma święte prawo złościć się na niego, więc kiedy tylko opadły emocje, zaproponował datę kolejnej zbiórki na następny wieczór, 3 sierpnia. W wyznaczonym dniu stawili się wszyscy konspiratorzy. Już po kilku chwilach mężczyźni „zapakowali” się do wagonu, a następnie dobrze ukryli pomiędzy beczkami karbidu. Od zewnątrz zamknął ich i zaplombował Gerhard. Transport przez Węgry miał docelowo dotrzeć do Austrii.

Niestety i ta „wycieczka” skończyła się szybciej niż zakładali jej uczestnicy. Według jednego z meldunków Górnośląskiej Brygady WOP Baonu Cieszyn z 7 września 1965 r., całą trójkę ujęto 13 sierpnia 1965 r. w okolicach Wyszehradu. Dzień później czeskie służby graniczne przekazały uciekinierów Karpackiej Brygadzie WOP. Natychmiast zaczęły się przesłuchania. Mężczyźni zgodnie z prawdą zeznali, że cała ich eskapada zaczęła się 3 sierpnia 1965 r. Opowiadali, że najzwyczajniej w świecie wsiedli do jednego z miejskich autobusów, który zawiózł ich do Tych. Tam przesiedli się do wagonu towarowego i po kilku godzinach dotarli do Zebrzydowic. Na tamtejszej stacji PKP ukryli się w budce hamulcowej czeskiego pociągu i w ten sposób przekroczyli granicę. Dalej autostopem, a częściowo na piechotę maszerowali w kierunku Węgier. Żaden z nich nie przyznał się do zamiaru świadomej ucieczki z Polski i chęci przedostania się na Zachód. Wszyscy trzej zgodnie twierdzili, że chcieli oni jedynie zwiedzić Węgierską Republikę Ludową, a następnie tą samą drogą wrócić do domu.

Podana przez nich wersja zdarzeń uchroniła przed karą ich przyjaciela Gerharda, któremu za pomoc w ucieczce groziły sankcje nie mniejsze niż im samym. Pozwoliła także zachować w tajemnicy prawdziwą „metodę” ucieczki, po którą, jak pokazało życie, niejedną raz jeszcze sięgano. Choć przedstawiona historia dość mocno mijiała się z prawdą, to jednak w opinii przesłuchujących ich oficerów „nie nasuwała większych wątpliwości”. Głównie z tego powodu, że w przeszłości zanotowano sporo przypadków nielegalnego przekraczania granicy właśnie w budkach hamulcowych.



Jeden z uciekinierów wśród beczek z karbidem

Powodów do większego niepokoju nie dawała także otrzymana z posterunku MO z Bytomia notatka. Wprawdzie wystawione przez nią opinie na temat trzech złapanych mężczyzn były, delikatnie mówiąc, niezbyt pochlebne, to akurat w tym właśnie przypadku przemawiały one na ich korzyść. Paradoksalnie stwarzały bowiem wrażenie, że z takimi delikwentami mało kto chciałby współpracować. Opierając się na powyższych przesłankach, odrzucono więc podejrzenia uczestnictwa osób trzecich i w pełni przyjęto podaną wersję zdarzeń. To sprawiło, że do miejsca zamieszkania uciekinierów nie delegowano żadnego oficera śledczego, który przeprowadziłby szczegółowe dochodzenie w sprawie pełnego wyjaśnienia okoliczności ucieczki. Dzięki temu tajemnica nielegalnego „przerzutu” została zachowana. Uciekinierów postanowieniem Sądu Powiatowego w Cieszynie z dnia 3 listopada 1965 r. skazano na karę roku pozbawienia wolności.

Nie upłynął jeszcze miesiąc od ich ucieczki, kiedy następną wyprawę zaczął organizować Edward. Miał on w końcu bogate doświadczenie w tym zakresie i sam prawie stał się uczestnikiem poprzedniej eskapady. Problem z naborem kandydatów nie nastęrczał większych trudności, bo gdy tylko

w towarzystwie napomknął o swym pomysle, natychmiast zgłosiło się kilku chętnych. Sposób ucieczki był mu dobrze znany. Tak jak i jego poprzednicy, spreparował plomby i zdobył plombownicę. Wraz z przyjaciółmi zgromadził niezbędny prowiant. Pomoc w zamknięciu wagonu i jego „zabezpieczeniu” zaferował brat jednego z uczestników wyprawy. Edward wiedząc, że Jerzy został zatrzymany w Czechosłowacji, zdecydował się uciekać do RFN. Chcąc jednak mieć stuprocentową pewność, że dany transport rzeczywiście tam odchodzi, wyznaczył jednego z kolegów do zrywania kart przewozowych i przekazywania ich „zaprzyjaźnionemu człowiekowi”. Ten miał świetne rozeznanie w geografii, doskonale znał również język niemiecki. Dzięki swej wiedzy mógł określić, po której stronie „żelaznej kurtyny” dana miejscowość leży.

30 sierpnia 1965 r. pięcioosobowa grupa mężczyzn udała się na bocznicę kolejową w Bytomiu-Bohrku. Około godziny 21.00 weszła ona do starannie wybranego składu. W niecałą godzinę później transport odjechał z Bytomia i poprzez Pyskowice, Opole, Żagań i Tuplice, tranzytem przez NRD, miał dojechać do RFN.

„Wtajemniczeni w sprawę” nerwowo ściskali za nich kciuki, inni stawiali zakłady, czy śmiałkom uda się rzeczywiście przedostać do upragnionego „Reichu” (nazwa ta była potocznym określeniem RFN, którą często posługiwali się mieszkańcy Śląska). Ich niepewność trwała aż do 10 października 1965 r.; wtedy to Radio „Wolna Europa” poinformowało na swoich falach o udanej ucieczce pięciu mężczyzn ze Śląska. Parę dni później do rodzin zbiegów zaczęła nadchodzić korespondencja. Jeden z nich napisał do swoich najbliższych, że przebywa w miejscowości Ludwigshafen, chodzi do niemieckiej szkoły i w najbliższym czasie wybiera się na urlop na Sycylię. Prosił o wysłanie pod wskazany adres świadectwa pracy, tak aby jak najszybciej mógł znaleźć zatrudnienie i zacząć normalnie żyć.

Wiadomość o powodzeniu ucieczki podzieliła lokalne środowisko. Podczas gdy jedni szczerze cieszyli się ze szczęśliwego finału zdarzenia, inni nie potrafili ukryć zazdrości. Dla 23-letniego Kurta, 30-letniego Horsta i 36-letniego Zygryda stała się ona bezpośrednim impulsem do podjęcia podobnej wyprawy. Trójka kompanów ukryła się więc „starym sposobem” wśród beczek karbidu i z wielkimi nadziejami ruszyła na Zachód. Trzeba jednak przyznać, że miała ona naprawdę wyjątkowego pecha. Po kilku godzinach podróży wagon zaczął się psuć. W opinii pracowników PKP usterki te okazały się na tyle poważne, że został on odstawiony na najbliższą bocznicę kolejową, gdzie miał

zostać przeładowany. W tej sytuacji mężczyźni nie mieli innego wyjścia, jak tylko czym prędzej salwować się ucieczką.

Jak zapisano w jednej z notatek Dowództwa WOP: „wymienieni powrócili do swoich miejsc zamieszkania i szukali dalszych możliwości realizacji powyższego zamiaru przy pomocy innego wagonu. Do powtórnej próby ucieczki nie doszło, ponieważ Kurt B. został aresztowany przez organa MO za innego rodzaju przestępstwa i osadzony w więzieniu”.

Kurt chyba rzeczywiście nie urodził się pod szczęśliwą gwiazdą. Nie dość, że jemu samemu nie udało się uciec, to celu tego nie osiągnęło także dwóch jego znajomych, których pewnej zimy własnoręcznie zaplombował w jednym z wagonów. Chociaż zabrzmiało to wprost nieprawdopodobnie, przydarzyła im się dokładnie taka sama przygoda, co parę lat wcześniej i jemu. W wybranym przez nich wagonie pojawił się poważny defekt, który uniemożliwił dalszą jazdę. W końcu, decyzją odpowiednich służb, ów feralny wagon został na jednej z przygranicznych stacji wycofany ze składu. Mężczyźni nie zrazili się jednak niepowodzeniem i po powrocie do domu zakomunikowali Kurtowi, że zamiar swój powtórzą na wiosnę, gdy tylko się ociepli.

Wracając do tematu udanej ucieczki „grupy Edwarda”, należy stwierdzić, że szczególnie mocno „zaktywizowała” ona miejscową młodzież. Stała się wręcz żywym przykładem na to, że tego typu przedsięwzięcia mogą mieć duże szanse powodzenia. W miejscowej piwiarni, w której spotykało się wielu młodych ludzi, najczęściej mówiono o tej właśnie historii. Bo chociaż informacji o sukcesie Edwarda nie zamieściła żadna z lokalnych gazet, nie było chyba człowieka, który by o nim nie słyszał.

Podczas gdy jedni przy kuflu piwa snuli marzenia o wolności, inni przekuwali je w czyn. Już w połowie października 1965 r. uformowała się następna, tym razem dziesięcioosobowa grupa śmiałków. Ze względu na to, że była ona zbyt liczna, podzielono ją na dwie mniejsze. W skład pierwszej z nich wszedł między innymi Gerhard – znany nam specjalista od zakładania plomb. Wieczorem 5 listopada 1965 r. około godziny 21.00 pięciu młodych mężczyzn, wzorując się na doświadczeniach swoich poprzedników, tradycyjnie ukryło się pomiędzy beczkami karbidu. Trzy dni później we wczesnych godzinach popołudniowych pociąg wjechał na stację w Tuplicach, gdzie oczekiwał na kontrolę celną. Nauczony poprzednim przypadkiem dowództwo tamtejszego WOP poinstruowało funkcjonariuszy Urzędu Celnego, by ci w wagonach z eksportowanym karbidem przeprowadzali nader szczegółową kontrolę.

Rady te widać wzięli sobie głęboko do serca pełniący służbę celnicy. Po otwarciu drzwi zaczęli skrupulatnie przeszukiwać wagon i już po kilku chwilach znaleźli niewielką kryjówkę. Siedziało w niej pięciu skulonych mężczyzn, którzy wiedzieli już, że zamiast do wymarzonego „Reichu”, trafią wprost na przesłuchanie.

Już na wstępnym etapie dochodzenia cała grupa potwierdziła, że zamierzała uciec z kraju. Do czynu nie przyznał się jedynie 23-letni Ryszard. Sfrustrowany niepowodzeniem stwierdził, że dla niego była to jedynie zwyczajna „wycieczka krajoznawcza”. Sąd nie podzielił jednak jego zdania i 27 stycznia 1966 r., za usiłowanie nielegalnego przekroczenia granicy państwowej, wymierzył wszystkim oskarżonym karę jednego roku i sześciu miesięcy pozbawienia wolności.

Chcąc przeciwdziałać temu procederowi, Służba Bezpieczeństwa zastosowała szereg przedsięwzięć mających na celu sprawdzenie, czy w karbidowni Bytom-Bobrek funkcjonuje zorganizowany kanał przerzutowy. Sytuacja była naprawdę niepokojąca, według danych SB „systemem karbidowym” z Polski do końca 1965 r. uciekło pięć osób, pięć innych złapano, a w kolejce na swą szansę oczekiwało co najmniej dziewięć następnych. W dodatku te ostatnie dane mogły być ledwie „wierzchołkiem góry lodowej”. Dlatego też w pierwszym rządzie funkcjonariusze SB zdecydowali się pozyskać w interesującym ich środowisku tajnego współpracownika. „Pod lupę” wzięto też karbidownię. Zorganizowano szereg spotkań z jej kierownictwem na temat prawidłowego zabezpieczania ładunków. Jednym z głównych zadań stało się także ustalenie „osobnika”, który udzielał uciekinierom pomocy. Zdecydowano również, że po załadunku wagonów będą one dodatkowo zabezpieczane przez organa MO lub ORMO.

Po serii ucieczek „nadzwyczajne środki ostrożności” podjęło także dowództwo WOP. Szef Wydziału II Lubuskiej Brygady WOP zapisał w treści jednej ze służbowych notatek: „Realizując przedsięwzięcia mające na celu niedopuszczenie do przekroczenia granicy osób ze Śląska, ukrytych w wagonach z karbidem porozumieliśmy się z naczelnikiem Urzędu Celnego w Tuplicach, który zobowiązał się każdorazowo zawiadamiać Baon WOP Tuplice w wypadku, gdy na stację PKP w Tuplicach przybędzie wagon lub wagony z karbidem przeznaczone na wyjazd za granicę do RFN. W czasie odprawy celnej tych wagonów od stycznia 1966 r. przedstawiciele WOP-u wspólnie z urzędnikami celnymi dokonują przeszukania wagonów ze Śląska”.

W praktyce oznaczało to tyle, że za każdym razem, kiedy tylko na stacji Tuplice wjeżdżały wagony ze Śląska z przeznaczeniem na eksport do krajów zachodnich, kierownik zmiany Urzędu Celnego zawiadamiał telefonicznie o tym oficera operacyjnego Baonu WOP Tuplice. Ten informował o tym oficera zwiadu, który następnie wyznaczał trzech żołnierzy w celu dokonania kontroli wyznaczonych wagonów.

Tuplice stały się więc jedną z najpilniej strzeżonych stacji kolejowych w Polsce. Niestety nie wiedział o tym Jerzy i, jak się później okazało, miało to dla niego fatalne skutki. Mężczyzna od maja 1966 r. przebywał na wolności, ponieważ w nagrodę za dobre sprawowanie zwolniono go ze sztumskiego więzienia po ośmiu miesiącach odbywania kary. Wrócił do Bytomia i podjął pracę w kopalni „Szombierki”. Jednak nie zdążył jeszcze odebrać pierwszej wypłaty, gdy w jego głowie zaczął się rodzić kolejny plan ucieczki. Aby zwiększyć swe szanse, tym razem zdecydował się „czmychnąć” w pojedynkę. Tak jak i poprzednim razem przygotował fałszywą plombę. W kieszeni spodni ukrył kombinerki. Teraz pozostało tylko czekać na odpowiednią okazję. A ta wydarzyła się już 20 lipca. Tęgo wieczoru Jerzy zauważył na boczniczy kolejowej Bytom-Bobrek skład towarowy z karbidem przeznaczonym na eksport do RFN. Około godziny 22.00 mężczyzna zerwał oryginalną plombę i otworzył drzwi, następnie od środka uchylił okno. Zeskoczył na zewnątrz i założył fałszywą plombę. Z powrotem do wagonu dostał się przez otworzone wcześniej okno, po chwili ukrył się pomiędzy beczkami karbidu i zasnął. Popołudniem 23 lipca skład dojechał do Tuplic. A tam, jak zwykle, kiedy tylko przyjeżdżały pociągi ze Śląska, „ogłaszano prawdziwą mobilizację”. Wkrótce zjawili się żołnierze baonu Tuplice i rozpoczęli kontrolę składu, w końcu weszli do wagonu nr 177943, gdzie dostrzegli ukrytego mężczyznę. Jerzy spokojnie wstał i przywitał się z wopistami; miał w tym przecież niemalą „praktykę”, bo w podobnych okolicznościach spotykał się z przedstawicielami tej formacji już po raz trzeci.

Dzień później przewieziono go do więzienia karno-śledczego w Lubsku. 22 września 1966 r. tamtejszy Sąd Powiatowy skazał go na karę roku i sześciu miesięcy pozbawienia wolności.

Jerzy nie porzucił jednak swego marzenia o wolności. W pierwszych dniach grudnia 1971 r. jedna z lokalnych gazet w Trelleborgu w Szwecji zamieściła na swych łamach informację o tym, że w pewnym składzie wagonów ze Śląska znaleziono wycieńczonego, ale szczęśliwego uciekiniera z Polski. Był nim

nie kto inny jak Jerzy. W wieku 45 lat, niemal dokładnie w dwudziestą rocznicę swej pierwszej eskapady, wreszcie udało mu się wydostać z kraju.

Wkrótce trasą na północ wyruszyli kolejni śmiałkowie. Wśród nich znalazł się także młodszy brat Jerzego – Helmut. W podróż wyruszył wraz ze swoim przyjacielem Henrykiem. Mężczyźni zaopatrzyli się w prowiant i ciepłe ubrania. 31 grudnia 1971 r. ukryli się w jednym z wagonów. Siedem dni później zostali zatrzymani przez żołnierzy WOP na stacji PKP Szczecin-Gumieńce.

Ucieczki „systemem karbidowym” stały się, co zrozumiałe, także jednym z zagadnień pozostających w zainteresowaniu bytomskiej SB. Podjęła ona własne ich rozpracowanie w ramach sprawy „Bytom” prowadzonej do 1969 r., tj. do czasu zatrzymania w Zebrzydowicach jednej z grup. Z biegiem czasu bezpieczeństwa przejawiała jednak coraz mniejsze zainteresowanie sprawą, m.in. ze względu na to, że jak raportował w jednej z notatek służbowych z lutego 1972 r. oficer śledczy WOP „mają szereg innych czynności do wykonania bardziej istotnych w obecnym okresie czasu”. Widocznie, zdaniem funkcjonariuszy SB, koledzy pogranicznicy dobrze spełniali swoje obowiązki i nie było sensu dublować się w pracy „na odcinku karbidowej turystyki”.

Ustalenie dokładnej skali nielegalnych wyjazdów jest dziś bardzo trudne. Wprawdzie w jednej z notatek dowództwa Pomorskiej Brygady WOP zapisano, że tylko do grudnia 1966 r. „systemem karbidowym” z Bytomia zamierzało uciec około 36 osób, to jednak wydaje się mało prawdopodobne by były to rzeczywiście pełne dane. W procederze uczestniczyli bowiem zarówno pracownicy popularnych „Azotów”, ich rodziny, jak również związani z nimi przyjaciele, sąsiedzi czy dobrzy znajomi. To na pozór dość przypadkowe towarzystwo łączyła jedna wspólna idea – chęć wydostania się za wszelką cenę za „żelazną kurtynę”. Nic więc dziwnego, że dla tej grupy ucieczki stały się niemalże „chlebem powszednim”, sposobem na życie, przygodą, której każdy chociaż raz musiał „zasmakować”. I naprawdę nie miało większego znaczenia to, że jedna czy druga wyprawa kończyła się niepowodzeniem lub nawet pobyt w więzieniu. W końcu do wolności prowadzą różne drogi.

Źródła i literatura:

Akta z zasobu Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Katowicach: sygn. IPN Ka 035/363, IPN Ka 035/1037, IPN Ka 035/450.

A. Topol, *Zakłady Azotowe im. P. Findera*, Katowice 1979.

Grzegorz Bębnik

Od dysydenta do pacjenta

Po latach związanej z nazwiskiem Nikity Chruszczowa „odwilży” nastąpiło, jak to zwykle w ZSRS bywało, ponowne usztywnienie kursu. Represje wobec czy to rzeczywistych, czy domniemyanych wrogów komunistycznego ustroju, nabierały rozmachu, zaś kolejne wcielenia NKWD ponownie zacieśniać poczęły kontrolę nad społeczeństwem. I choć łagry funkcjonowały nadal, wzdragano się mimo wszystko przed powrotem do otwartego terroru lat 30. czy 40. W to miejsce w latach „kukurydzianego komunizmu” (od ulubionej przez ówczesnego genseka rośliny uprawnej, zwanej przezeń emfatycznie „kielbasą na łodydze”) pojawił się znacznie bardziej wyrafinowany mechanizm zamykania ust krytykom przodującego wszak ustroju. Pragmatyka działań organów bezpieczeństwa ZSRS była w tym przypadku prosta jak światopogląd czekisty – socjalizm (czy też, w wersji rozwojowej, komunizm) jest najlepszym z bytów nie tylko realnie istniejących, ale w ogóle możliwych, toteż kontestowanie go może być tylko dziełem szaleńca. Ktoś taki nie tylko sam cierpi, często o tym zresztą nie wiedząc, lecz i przysparza cierpień spragnionemu ustrojowych dobrodziejstw społeczeństwu.

„W ustroju socjalistycznym” – ironizował w swej książce „I powraca wiatr” najsłynniejszy chyba pacjent radzieckich „psychuszek” Władimir Bukowski – „ludzie nie mogą mieć antysocjalistycznej świadomości. Świadomość określana jest przez byt, zatem logicznie nie było miejsca dla przestępczości w społeczeństwie kukurydzianej obfitości. Nie było też miejsca dla nieprawomyślnych. Wniosek narzucał się najprostszy z możliwych: tam, gdzie zjawiska takie nie dają się wytłumaczyć dziedzictwem przeszłości albo dywersją światowego imperializmu, tam ma miejsce choroba psychiczna, a z tego nie wyleczysz, jak wiadomo, wyłącznie bytem komunistycznym”.

Ten antyustrojowy obłęd niejedno zresztą mógł mieć imię; stąd też rozsławiająca na cały świat radziecką psychiatrię teza niejakiego prof. Morozowa o „schizofrenii bezobjawowej”, „białej” czy też „schizofrenii bez schizofrenii”

mogącej dotknąć każdego, zwłaszcza notorycznego malkontenta czy niepoprawnego kwękacza. Tak czy inaczej, miejsce podobnego dysydenta było „u czubków”, czyli w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym.

W Polsce podobna pragmatyka czy to nie znalazła właściwej gleby, czy też po prostu nie zdążyła się rozwinąć. Nie znaczy to, że straszak odesłania do popularnego „domu wariatów” nie był stosowany; owszem, i tak się zdarzało, choć zachodzić można w głowę, kto – na dobrą sprawę – powinien zostać skierowany na leczenie. Bo przynajmniej w opisywanym przypadku miałyby się ochotę hurtem powkladać tam cały szereg oficerów operacyjnych, a może i *en masse* kilka przynajmniej wydziałów. Ale po kolei.

W kwietniu 1966 r. (stojący na czele „partii i narodu” towarzysz Gomułka miał się wtedy jeszcze znakomicie) Biuro Śledcze Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Warszawie zaalarmowane zostało przez zlokalizowaną w urzędzie pocztowym komórkę słynnego Wydziału „W” zajmującego się tzw. perlustracją korespondencji (pod którą to elegancką nazwą kryje się najwyklesze cenzurowanie prywatnych listów). Powodem było przechwycenie listu skierowanego na adres paryskiej skrzynki kontaktowej Radia „Wolna Europa”. Co więcej, korespondencja ta opatrzona była pełnym adresem nadawcy – zamieszkałego w Dąbrowie Górniczej niejakiego Alfreda Z. Błyskawicznie wszczęto śledztwo, i to na najwyższym możliwym szczeblu. Oficjalnie uzasadniono to wagą przekazywanych w zajętej korespondencji informacji, mogących – jak napisano – „wyrządzić istotną szkodę interesom Państwa Polskiego”. Tego samego dnia, 7 kwietnia, sporządzono odpowiednią notatkę, wszczęto śledztwo oraz wydano stosowne postanowienia wiceprokuratorowi Prokuratury Wojewódzkiej dla miasta Warszawy. Tempo, nawet jak na nie hołdujące przecież socjalistycznej opieszałości MSW – zgoła imponujące.

Cóż wzbudziło aż taką czujność stróżów systemu? Niestety, w odpowiednich aktach brak czy to kopii, czy choćby odpisów tych pierwszych zajętych przez bezpieczeństwo listów. Interesujące też, że dopiero po dobrych kilku miesiącach, pod koniec września, zwrócono się do Katowic z prośbą o ustalenie, czy nie ukrywający swej tożsamości autor rzeczywiście istnieje i zamieszkuje we wskazanym miejscu. Gdyby tak było, należało niezwłocznie zdobyć próbkę jego pisma, by skonfrontować ją z odręcznie pisanymi elaboratami do RWE (tutaj, jak to często wówczas bywało, pomogły kontakty z wydziałem kadr przedsiębiorstwa, w którym Z. miał szczęście być zatrudniony). Pytano też,

czy na terenie województwa nie odnotowano ostatnio aktów działalności „nielegalnych organizacji”. Otrzymałszy zaś żądane informacje, z niejaką ulgą chyba przekazano sprawę katowickim towarzyszom.

Tymczasem puszczony w ruch mechanizm inwigilacji dalej działał już chwacko niczym koń obracający kieratem – „zapis” na autora przynosił kolejne odkrycia, skrupulatnie odnotowywane w dokumentacji sprawy. Spójrzmy zatem, cóż oto miał do powiedzenia (czy może raczej napisania) wcale nie tajemniczy nadawca [uwagi w nawiasach kwadratowych pochodzą, oczywiście, ode mnie]:

Dąbrowa G. dn. 16 IX 1966

Prosiłbym Pana o przesłanie mi listownie adresu Pszewodniczącego [sic!] Uchoćców [sic!] Kubańskich antykomunistów, gdyż bardzo mi na tym adresie zależy. Nadmieniam że jest nas dziesięć członków tajnej organizacji antykomunistycznej i chcielibyśmy mieć łączność z pszewodniczącym [sic!] Uchoćców [sic!] Kubańskich antykomunistów.

Proszę Pana bardzo byśmy Pana prosili o pszysłanie [sic!] nam tego adresu gdyż bardzo nam na tym adresie zależy, niech go nam Pan przysła listownie gdyż nie chcemy się narażać żeby Pan podawał w radiu.

Proszę pana my chcemy walczyć z dykatórom [sic!] komunistycznym [sic!] mamy wykonać operację Nadzieja po wykonaniu operacji Nadzieja uciekamy wszyscy do Niemie[c] Zachodnich gdyż pozostanie w kraju groziło by na[m] śmier[ia]. Nadmieniam że ucieczka nam się uda jusz [sic!]. Plan akcji jest jusz [sic!] opracowany tylko czekamy na wykonanie operacji Nadzieja. Po wykonaniu akcji mamy Nadzieję że Kumunizm [sic!] długo w Polsce się nie uczyma [sic!].

Proszę Pana to my się narażamy na więzienie i chcemy żeby się jak najprędzej skończyła okupacja Sowiecka. My pomścimy Katyń.

Bardzo by z Pana strony było nie ładnie [sic!] gdyby nam Pan nie pomógł to my się narażamy na śmierć albo na więzienie ale trudno bez ofiar i pszelewu [sic!] krwi nie ma wolności.

Prosiłibyśmy jak najprędzej przysłać nam ten adres ekspresem.

Proszę przysłać ten adres listownie na mój adres

Z[...] Alfred

Dąbrowa Górnicza

ul. K[...]

woj. Katowice

Ledwie w dwa tygodnie później przechwycono kolejny list. Niestety, z braku oryginału czy choćby tylko odbitki, posilkować możemy się wyłącznie protokołem otwarcia korespondencji z 11 października 1966 r. List, jak się zatem dowiadujemy, zaczynać się miał od inwokacji: „Panie Tyskiewicz prosilibyśmy Pana...”, zaś kończyć słowami: „Panowie miejcie choć trochę patriotyzmu i pomóżcie nam”. Autor miał także prosić, by gwoli potwierdzenia otrzymania listu nadano w dniu 13 października (najwyraźniej zdawał sobie sprawę, że do Paryża list dojść musi pieszo) pomiędzy godziną 18.00 a 19.00 w programie Rozgłośni Polskiej RWE „piosenkę Armii Krajowej”. Wysłuchać miała jej cała, zebrana wówczas w mieszkaniu Z., organizacja.

Tym razem uznano widać, że sytuacja dojrzała już do przerwania karygodnych kontaktów Alfreda Z. z „dywersyjną rozgłośnią”, jak oficjalnie tytułowano RWE. W skrupulatnie ujętych w kilkustronicowy plan założeniach bezpieczeniackiej *action directe*, z naciskiem podkreślano istnienie na terenie Dąbrowy Górniczej „nielegalnej organizacji liczącej dziesięciu członków, której celem jest walka z istniejącym ustrojem społeczno-gospodarczym w PRL”. W wyznaczonym w liście dniu zamierzano, po uprzedniej obserwacji, punktualnie o 18.15 zapukać do drzwi Z., mając nadzieję na zastanie tam zajętych knowaniem nad operacją „Nadzieja” spiskowców. Wsłuchanych do tego, oczywiście, w niesiony na falach eteru przekaz „Wolnej Europy”. Przy okazji zamierzano również przeszukać mieszkanie domniemanego szefa.

Ze operetkową działalność Z. potraktowano w Katowicach ze skrajną wręcz powagą, świadczy choćby zupełnie nieproporcjonalna do rzeczywistego kalibru sprawy otoczka organizacyjna – w „realizacji” wziąć miało udział siedmiu pracowników grupy IV Wydziału III katowickiej SB (w tym aż sześciu oficerów), wspieranych przez grupę wywiadowców Wydziału „B” o nieznaney, niestety, liczebności. Plan zatwierdził osobiście płk Marian Dziekan, zastępca komendanta wojewódzkiego MO ds. SB.

Jak zaplanowano, tak i zrobiono. W mieszkaniu, prócz samego Z., zastało co prawda kilka osób, lecz po wylegitymowaniu okazały się one członkami najbliższej rodziny dzielnego epistolografa. Zarządzone natychmiast przeszukanie przyniosło natomiast nader mizerny plon w postaci „czterech kartek z adresami rozgłośni «Wolna Europa» i adresów Ambasady Amerykańskiej w Warszawie”. Oczywiście, Alfreda Z. przewieziono „na dołek” komendy wojewódzkiej MO w Katowicach. Tam też, w dwa dni później, przedstawiono mu oficjalnie zarzut rozpowszechniania fałszywych wiadomości o sytuacji

politycznej PRL przekazywanych następnie na adres skrzynki kontaktowej Radia „Wolna Europa” w Paryżu. Ten niegodny czyn sklasyfikowano jako przestępstwo z art. 23 par. 1 tzw. małego kodeksu karnego („Kto rozpowszechnia lub w celu rozpowszechnienia sporządza, przechowuje lub przewozi pisma, druki lub wizerunki nawołujące do popełnienia zbrodni lub pochwalające zbrodnię, lub których treść ma pozostać tajemnicą wobec władzy państwowej albo które zawierają fałszywe wiadomości, mogące wyrządzić istotną szkodę interesom Państwa Polskiego bądź obniżyć powagę jego naczelnych organów, podlega karze więzienia na czas nie krótszy od lat 3”). Zauważmy, że ów mały kodeks karny to potoczna nazwa wydanego przez Krajową Radę Narodową w dniu 13 czerwca 1946 r. „Dekretu o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy Państwa”. W dwadzieścia lat po wydaniu tego owianego ponurą sławą aktu prawnego „odbudowa” trwała widać w najlepsze.

Alfred Z., skrupulatnie przesłuchiwany „na okoliczność”, po raz pierwszy chyba zachwiał nadziejami spragnionych sukcesu katowickich śledczych. Przyznał się wprawdzie do napisania i wysłania na wspomniany adres dwóch listów, jednak – zasłaniając się brakiem pamięci – nie udzielił najskromniejszych nawet wyjaśnień odnośnie ich treści. Jego zachowanie musiało wzbudzić pewne podejrzenia (jak pisano później: „będąc przesłuchiwany w czasie śledztwa zdradzał w swych wypowiedziach urojenia wielkościowe i prześladowcze”), toteż prócz zastosowania miesięcznego aresztu tymczasowego, postanowiono zasięgnąć opinii o stanie umysłowym zatrzymanego. I cóż – okazało się, że korespondent RWE już pięciokrotnie w minionych latach hospitalizowany był w szpitalach „dla Psychicznicy i Nerwowo Chorych”, jak zapisano. Wersalikami, zatem z pewną widoczną atencją. Poddanie go badaniom psychiatrycznym ujawniło ponadto, „że jest on dotknięty chorobą psychiczną pod postacią schizofrenii”. Mając wobec tego na uwadze fakt, iż w momencie wypisywania wspomnianych epistoł poczytalność Alfreda Z. była „zniesiona”, zdecydowano z dniem 25 stycznia 1967 r. umorzyć prowadzone przeciwko niemu postępowanie.

Niestety, nie oznaczało to, że zakończeniem całej tej historii był klasyczny *happy end*. Brak poczytalności, poparty lekarskimi autorytetami, stanowił teraz bezpośredni pretekst do wniosku – wypichconego przez usłużnego katowickiego prokuratora – o umieszczenie nieszczęsnego Alfreda Z. w „zamkniętym zakładzie dla psychicznie chorych”. Zauważmy – bohater

naszej opowieści, choć kilkakrotnie już hospitalizowany, nieźle jednak funkcjonował w społeczeństwie, wykonując normalną, choć nieskomplikowaną najpewniej fizyczną pracę w Zakładach Naprawczych Maszyn Elektrycznych w Dąbrowie Górniczej. Nic również nie wiadomo o jego ewentualnych skłonnościach do agresji wobec bliźnich czy podobnych przejawach zaburzeń osobowości, uprawniających zwykle do umieszczenia delikwenta „u czubków”. Dopiero wycieczki pod adresem gomulłowskiej rzeczywistości, ustroju politycznego czy zgoła tylko wzmianki o właściwych sprawcach zbrodni w Katyniu, uznano za wystarczający powód do odizolowania Alfreda Z. w czeluściach psychiatryka. Wątpliwe, czy zyskało na tym zdrowie samego zainteresowanego; społeczeństwo też chyba nie poczuło się bezpieczniej. Ale w końcu, jak się wydaje, nie o to przecież chodziło. Z zakładu nie mógł już pisać listów i narażać aparatu SB na niepotrzebne niewygody i stres.

Źródła i literatura:

Akta z zasobu Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Katowicach: sygn. IPN Ka 03/1791.

Dekret z dnia 13 czerwca 1946 r. o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy Państwa (Dz.U. 1946 nr 30 poz. 192).

W. Bukowski, *I powraca wiatr*, przeł. A. Mietkowski, Londyn 1983.

P. Machcewicz, *„Monachijska menażeria”. Walka z Radiem Wolna Europa 1950-1989*, Warszawa 2007.

J. Smaga, *Narodziny i upadek imperium*, Kraków 1992.

Tomasz Kurpierz

„Uwzględnimy specyficzną osobowość de Gaulle’a”. Zabezpieczenie przez Służbę Bezpieczeństwa ważnej delegacji na przykładzie wizyty prezydenta Francji w województwie katowickim w 1967 r.

„Niech żyje Zabrze, najbardziej śląskie miasto ze wszystkich śląskich miast, czyli najbardziej polskie miasto ze wszystkich polskich miast!” Te słynne i – najogólniej rzecz ujmując – nieco kontrowersyjne słowa prezydenta Francji Charlesa de Gaulle’a, wygłoszone 9 września 1967 r. w zabrzańskim Domu Muzyki i Tańca, podczas jego kilkudniowego pobytu w Polsce, zostały skrzętnie wykorzystane przez peerelowską propagandę. Wizyta za żelazną kurtyną przywódcy jednego z zachodnich mocarstw była dużym wydarzeniem politycznym nie tylko nad Wisłą. Władzom w Warszawie zależało przede wszystkim na uznaniu przez de Gaulle’a granic Polski na Odrze i Nysie Łużyckiej. Rozstrzygnięcie tej sprawy zgodnie z intencjami Moskwy mogło stanowić wstęp do głębszej reorientacji polityki francuskiej wobec całego bloku wschodniego oraz – na czym komunistom szczególnie zależało – pogłębić rozbieżności w zachodnim świecie. Zabiegi o wizytę prezydenta Francji polska dyplomacja rozpoczęła już w 1958 r., jednak przyjazd stał się realny dopiero po jego wizycie w Związku Sowieckim osiem lat później. Początkowo nie wykluczano pobytu de Gaulle’a nad Wisłą właśnie w drodze do lub z Moskwy, jednak ze względów prestiżowych Warszawa dążyła do osobnej wizyty, która ostatecznie uzgodniona i zaplanowana została na czas od 7 do 13 czerwca 1967 r. Oprócz stolicy prezydent miał odwiedzić m.in. Kraków, Oświęcim, Gdańsk oraz – co zaplanowano na 10 czerwca – kilka miast w województwie katowickim.

Dla zabezpieczenia i zapewnienia z punktu widzenia władz PRL „prawidłowego” przebiegu tak znaczącego politycznie wydarzenia, konieczna była mobilizacja znacznej części aparatu państwowego. Tęgo typu zadania znalazły się przede wszystkim w kompetencjach kierowanego wówczas przez Mieczys-

sława Moczara Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. W ramach owego resortu, po reorganizacjach wywołanych Październikiem 1956 r., funkcjonowała zarówno Milicja Obywatelska, jak i różne – nieco w ten sposób ukryte przed społeczeństwem – jednostki Służby Bezpieczeństwa. Operacja mająca na celu przygotowanie i zabezpieczenie wizyty de Gaulle’a, której w MSW nadano kryptonim „Uran”, rozpoczęła się na początku maja 1967 r. Działania organów państwowych odpowiedzialnych za jej przeprowadzenie w kraju rządowym autorytarnie – a takim był PRL – w tym szczególnie poczynania policji politycznej, jaką była Służba Bezpieczeństwa, miały dwojaki charakter. Z jednej strony część tych przedsięwzięć można uznać za normalne i standardowe procedury, jakie w państwie demokratycznym odpowiednie służby podejmują w celu zabezpieczenia wizyty np. przywódcy innego kraju. Ich celem jest w pierwszej kolejności przede wszystkim zapewnienie bezpieczeństwa członkom delegacji i niedopuszczenie do wszelkich nieprzewidzianych wydarzeń, np. zamachów terrorystycznych, które mogłyby zakłócić lub przerwać wizytę. Takie działania Służba Bezpieczeństwa, zresztą w porozumieniu z odpowiednimi służbami francuskimi, w ramach operacji „Uran” oczywiście wykonywała. Z drugiej jednak strony część, a w niektórych przypadkach większość działań funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa podczas zabezpieczenia wizyty de Gaulle’a miała charakter polityczny, wynikający ze specyfiki funkcjonowania tego typu służb w ustroju autorytarnym, gdzie najważniejsza była kontrola nad społeczeństwem. Przytoczone w niniejszym artykule dane dotyczące realizacji operacji „Uran” w województwie katowickim mogą rzucić nieco światła na skalę działań SB w regionie w okresie na pozór spokojnym, kiedy krajem nie wstrząsały potężne kryzysy społeczno-polityczne, a co za tym idzie – kiedy rozmach działania tajnej policji państwowej mógłby wydawać się mniejszy.

„Rzadko z reguły trzyma się protokołu”

Ramowe plany zabezpieczenia przyjazdu prezydenta opracowane zostały w MSW na kilka tygodni przed planowaną wizytą. Pewien wpływ na ich kształt miały sugestie specjalnej technicznej delegacji francuskiej, która przebywała w Polsce w dniach 4-8 maja 1967 r. „Można odnieść wrażenie – stwierdził wówczas w jednej z instrukcji kierujący Departamentem II MSW (ds. kontrwywiadu) płk Mikołaj Krupski – że Francuzi dążą do nadania wizycie szczególnego charakteru. Zależy im wyraźnie na stworzeniu możliwości bezpośredniego kontaktu generała z ludnością i wywołaniu wrażenia wizy-

towania przez niego całego narodu”. Informacje te potwierdzał polski MSZ, który, powołując się na nieoficjalne rozmowy z francuskimi dyplomatami, podkreślał, iż prezydent pragnie osobiście rozmawiać z polskim społeczeństwem. Tego typu zapowiedzi stanowiły dla polskich służb oczywiście dodatkowe wyzwanie, bowiem – jak to określił dalej płk Krupski – „biorąc pod uwagę zainteresowanie wizytą oraz całość uzyskanych w tej mierze wypowiedzi i sygnałów, problem zabezpieczenia pobytu delegacji francuskiej i zapewnienia w tym okresie należytego ładu i porządku nabiera szczególnego znaczenia, zwłaszcza jeśli uwzględnimy specyficzną osobowość de Gaulle'a”. A owa osobowość podczas spotkań z tłumem powodowała, że prezydent – cytując za dokumentami MSW francuskich dyplomatów – „rzadko z reguły trzyma się protokołu i programu, chętnie natomiast wchodzi w tłum, rozdaje uściski i uśmiechy, zachowuje się wtedy jak dziecko... Duży wzrost prezydenta sprawia, że jest on dostrzegalny z daleka. W takiej sytuacji wystarczy jakiś wariat, maniak lub fanatyk, aby dokonać zamachu”. Oprócz zadań związanych z koniecznością zapewnienia fizycznego bezpieczeństwa de Gaulle'a oraz towarzyszących mu osób, dochodziła oczywiście możliwość różnego rodzaju „prowokacji politycznych”, na co komuniści ze względów propagandowych nie mogli sobie pozwolić. W tej sytuacji MSW w ramach operacji „Uran” podjęło szereg różnorodnych działań, których wykonanie głównie spadło na jednostki terenowe resortu – wojewódzkie, powiatowe i miejskie komendy MO, w ramach których działały pionierzy SB.

Zgodnie z wytycznymi płynącymi z centrali MSW, pierwszy ramowy plan zabezpieczenia pobytu delegacji francuskiej na terenie województwa katowickiego przygotowany został na początku maja 1967 r. Całością dowodził Sztab Służby Bezpieczeństwa, na czele którego stanął odpowiedzialny za koordynację, akceptację planów zabezpieczeń oraz kontakty ze sztabem MO i KW PZPR ppłk Stanisław Piwoński. Działania SB podzielono na operacyjne, mające na celu rozpoznanie ewentualnych zagrożeń oraz „profilaktyczno-zaradcze”, które owe zagrożenia miały wyeliminować. W ich realizację zaangażowali się przede wszystkim funkcjonariusze Wydziału II (kontrwywiadowczego), Wydziału III (zajmującego się zwalczaniem opozycji i kontrolą środowisk politycznych, naukowych i ekonomicznych) oraz zwalczającego Kościół Wydziału IV. Wspomagały je wydziały: „B” (obserwacji zewnętrznej), „T” (techniki operacyjnej), „W” (perlustracji korespondencji) oraz zajmujący się sprawami ewidencyjno-operacyjnymi i archiwalnymi Wydział „C”.

„Onieśmielić te elementy”

Od maja 1967 r. w ramach przygotowań do wizyty de Gaulle’a najszerzej zakrojone działania podjął przede wszystkim Wydział II KW MO w Katowicach. Funkcjonariusze tej jednostki z jednej strony skupili się na kontroli faktycznie lub rzekomo powiązanych z zagranicą grup oraz pojedynczych osób, które w ocenie władz mogły być skłonne podczas wizyty prezydenta do „wrogich wystąpień”, z drugiej zaś zintensyfikowali działania typowo kontrwywiadowcze, mające chronić województwo przed obcymi służbami. Silniejszą kontrolą operacyjną objęto przede wszystkim cudzoziemców przebywających w regionie. Byli wśród nich zarówno różnego rodzaju handlowcy i specjaliści współpracujący m.in. z centralami handlu zagranicznego, jak i studenci (głównie na Politechnice Śląskiej). Wśród tej grupy uwagę zwrócono zwłaszcza na kilkudziesięciu przebywających wówczas w województwie obywatele francuskich oraz mieszkańców aktualnych i byłych kolonii francuskich, których sprawdzono zarówno pod kątem kontrwywiadowczym, jak i potencjalnych wystąpień antygaulistowskich (w tym celu wykorzystano m.in. przekazane przez francuskie służby specjalne dane ponad stu osób podejrzewanych o antyfrancuską działalność). Po wstępnym rozpoznaniu SB uznała, że osoby te nie wymagają większego zainteresowania, niemniej jednak poddano je stałej obserwacji, a na samą wizytę zaplanowano różnego rodzaju działania „profilaktyczne”. Jednocześnie funkcjonariusze Wydziału II, we współpracy z Wydziałem „B” (a także z oficerami z Wojskowej Służby Wewnętrznej, czyli wojskowych służb specjalnych), zintensyfikowali działania monitorujące działalność dyplomatów na terenie województwa oraz przygotowali specjalną grupę obserwacji na – jak to sformułowano – „wypadek konieczności podjęcia pojazdów dyplomatycznych”. Standardową obserwacją objęto również osoby posiadające paszporty konsularne.

Obok kontroli cudzoziemców przebywających w regionie, Wydział II rozpoczął już w maju przygotowania do „zabezpieczenia” terenu na przyjazd kolejnych osób z zagranicy. Spodziewano się przede wszystkim dużej liczby zachodnich korespondentów, dlatego też funkcjonariusze „zaktywizowali” agenturę wśród polskich dziennikarzy, którzy mieli za zadanie obserwować i rozpracowywać swoich kolegów po fachu. Niezależnie od tego esbecy przygotowywali techniczną stronę obserwacji. „Wydział II-gi Służby Bezpieczeństwa KW MO w Katowicach – pisano nie bez satysfakcji pod koniec maja w «Planie operacyjnych przedsięwzięć i zadań» – posiada operacyjnie opano-

wane wszystkie hotele, gdzie przewiduje się pobyt interesujących nas osób podczas wizyty Prezydenta. Odnosi się to do Central Handlowych i innych”. Do tak – jak to sformułowano – „opracowanych technicznie” pokoi, w których założony był podsłuch, „zabezpieczone” telefony, telexy itp., kierownicy mieli być przede wszystkim dziennikarze i inni ważniejsi z punktu widzenia SB goście zagraniczni. Kierownictwo Wydziału „T” zobowiązane zostało zresztą do uaktywnienia pracy i zwrócenia uwagi na wypowiedzi na temat wizyty we wszystkich istniejących punktach „PP” i „PT” (czyli podsłuchu pokojowego oraz podsłuchu telefonicznego). Kontroli operacyjnej poddano również wycieczki zagraniczne – funkcjonariusze Wydziału II przeprowadzali z ich pilotami rozmowy na temat zachowania, przekroju społecznego, wypowiedzi turystów itp.

Według wytycznych kierownictwa katowickiej SB, pracownicy cywilnego kontrwywiadu szczególną uwagę mieli zwrócić także na osoby podejrzane lub skazane za działalność na rzecz wywiadów amerykańskiego, zachodnioniemieckiego i francuskiego. Według danych resortowych w województwie katowickim w połowie 1967 r. mieszkało 155 osób skazanych za działalność szpiegowską (w tym 85 za współpracę z wywiadem amerykańskim, 66 zachodnioniemieckim i cztery francuskim). Trzeba oczywiście mieć świadomość, iż znaczna część tych osób z działalnością obcych wywiadów w istocie nie miała nic wspólnego, a wyroki orzekane w ich sprawach, szczególnie w okresie stalinowskim, często opierały się jedynie na oskarżeniach o słuchanie np. Radia „Wolna Europa”. W przypadku niemal wszystkich ważniejszych wydarzeń w województwie katowickim tradycyjnie wzmożonej kontroli operacyjnej poddane były szeroko rozumiane przez władze „środowiska rewizjonistyczne” (a należy pamiętać, że do tej grupy zaliczano i takie osoby, które np. w stanie nietrzeźwym wypowiedziały dwa pozytywne zdania o Niemczech Zachodnich). W związku z wizytą de Gaulle’a wzmożoną kontrolą operacyjną objęto także, szczególnie w tych miastach, gdzie miała przebywać delegacja, grupy repatriantów z Francji, wśród których pojawiały się wówczas głosy niezadowolenia z powodu niewłaściwego przeliczania przez stronę polską rent górniczych przysługujących im za pracę za granicą.

W przygotowania do zabezpieczenia pobytu prezydenta mocno włączył się również Wydział III pionu SB KW MO w Katowicach. Funkcjonariusze resortu na podstawie różnych źródeł odnotowywali wszelkie istotniejsze wypowiedzi odnoszące się do przyjazdu de Gaulle’a. Szczególną uwagę zwraca-

cano na środowiska akademickie oraz zatrudnionych w różnych zakładach przedstawicieli inteligencji technicznej. Wzmoczoną kontrolą objęto również, jak to określała SB, „tradycyjne i kombatanckie” grupy rozpracowania, np. w drugiej połowie maja w Wydziale „C” sporządzono wykaz osób, które brały aktywny udział w antykomunistycznym podziemiu lub uczestniczyły, głównie w latach 40., w różnego rodzaju atakach na funkcjonariuszy MO, UB, ORMO czy też członków PPR. Wśród odnotowanych wówczas ponad stu nazwisk znaleźli się, poddawani już przez ponad dwie dekady stałej kontroli operacyjnej, żołnierze Armii Krajowej, Narodowych Sił Zbrojnych, Konspiracyjnego Wojska Polskiego, Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” i innych organizacji niepodległościowych. W ramach przygotowań do wizyty zmobilizowany został także Wydział IV. Zapowiedzi przyjazdu francuskiego męża stanu wzbudziły wśród duchownych zrozumiałe zainteresowanie, tym bardziej iż od początku szeroko komentowana była sprawa jego ewentualnego spotkania z kardynałem Stefanem Wyszyńskim. W ramach standardowych działań funkcjonariusze SB z oczywistych względów szczególną uwagę zwrócili na parafie leżące na trasie przejazdu prezydenta.

Obok przedsięwzięć o charakterze operacyjnym Służba Bezpieczeństwa podczas przygotowań i w trakcie wizyty de Gaulle’a zastosowała szeroki wachlarz działań, które w terminologii resortowej określano jako „profilaktyczno-zaradcze”. Posunięcia te miały na celu przede wszystkim ograniczenie do minimum możliwości jakichkolwiek niespodziewanych zdarzeń już podczas samego pobytu prezydenta. Na największą skalę zaplanowano rozmowy ostrzegawcze z osobami uznanymi przez pracowników resortu za niezbyt groźne, ale podejrzane o różnego rodzaju zamiary mogące zakłócić wizytę. Owe rozmowy przeprowadzali zarówno sami funkcjonariusze SB, jak również z ich inspiracji np. dyrektorzy lub kierownicy poszczególnych zakładów, gdzie pracowały osoby będące w kręgu zainteresowania SB. Planowano również zaaranżować takie sytuacje, w których konkretni pracownicy na czas pobytu de Gaulle’a w województwie mieli być tak zaangażowani w obowiązki służbowe, iż uniemożliwiałoby to im wzięcie udziału w spotkaniu z prezydentem. Przykładowo – jak pisano pod koniec maja 1967 r. w „Planie operacyjnych przedsięwzięć” – „w porozumieniu z dyrekcjami poszczególnych Central [handlu zagranicznego – TK] spowoduje się, że przedstawiciele handlowi z KK [krajów kapitalistycznych – TK] zostaną zaabsorbowani działalnością handlową, zainspirowaną operacyjnie przez naszą służbę. Podobne czynności

zastosuje się w stosunku do montażystów, specjalistów z KK, którzy w tym okresie będą przebywali na terenie woj. katowickiego”. Takie same działania zaplanowano wobec – jak to określiła SB – afroazjatyckich studentów Politechniki Śląskiej, gdzie „w celach profilaktycznych dla wspomnianych wszystkich studentów w dniu wizyty gen. de Gaulle zorganizowana zostanie sesja egzaminacyjna na uczelni”. Wobec osób, których wystąpienia podczas wizyty uznano za bardziej realne, zaplanowano ostrzejsze środki zaradcze, na ogół pod postacią krótkotrwałego zatrzymania na czas pobytu prezydenta. W aresztach miały się wówczas również znaleźć „elementy bandyckie zwolnione z więzień, chuligańskie i społeczne skłonne do podjęcia wrogiego działania”, a wzmożona penetracja tych środowisk miała – jak pisano w planie – „onieśmielić te elementy”. Kierownictwo katowickiej SB rozkazało także przyspieszyć realizację (czyli w praktyce aresztowania) spraw dotyczących osób podejrzanych o nielegalne posiadanie broni oraz materiałów wybuchowych, a także wszystkich uprawiających „wrogą propagandę”. Podjęto wreszcie działania mające na celu izolację osób chorych umysłowo oraz niebezpiecznych dla otoczenia. W ramach działań profilaktycznych na czas pobytu prezydenta miała być także zdeponowana część broni (myśliwskiej, krótkiej i sportowej), znajdująca się w rękach indywidualnych posiadaczy.

„Aktyw żeby miał znaczki (szpileczki) o barwach francuskich”

Kolejnym etapem przygotowań MSW było zabezpieczenie samej trasy przejazdu oraz obiektów, w których miał przebywać prezydent. Część tych działań można określić jako standardowe przedsięwzięcia związane z zapewnieniem bezpieczeństwa członkom francuskiej delegacji – już w maju rozpoczęto sprawdzanie mostów, dachów, włazów, skrytek, świeżo remontowanych miejsc, drzew itp. oraz powołano specjalistyczne komisje, których zadaniem było sprawdzenie urządzeń technicznych w poszczególnych obiektach. Kontrolowano również personel, który miał obsługiwać członków delegacji, np. 22 maja 1967 r. przygotowano plan zabezpieczenia Sali Marmurowej w siedzibie Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach, gdzie miało odbyć się śniadanie wydane przez władze województwa na cześć de Gaulle'a. Dużą uwagę zwracano na wygląd trasy przejazdu. „Aktyw – pisano w jednej z instrukcji – żeby miał znaczki (szpileczki) o barwach francuskich, na trasie – porządkowi, na lotnisku biało-czerwone. Na trasie zwracać uwagę na: teczki, butelki, walizki, kwiaty, pakunki – kon-

trolować, przejść trasę i usunąć co przeszkadza i szpeci, zwrócić uwagę, żeby nie było innych flag (niemieckich), kościoły – żeby nie było hasła na temat Wyszyńskiego względnie uruchomienia dzwonów – przeprowadzenie rozmowy z Przew[odniczącym] M[iejskiej] R[ady] N[arodowej], by nie było prób ustawiania dzieci do komunii itd. Zakłady: zabezpieczyć syreny zakł[adowe] – dopilnować, by nie «buczały»”. Szczególną uwagę zwracano na ochronę miejsc postoju delegacji na otwartym terenie. Przykładowo punkt powitania prezydenta na moście na Wiśle w Bieruniu Nowym, oprócz umundurowanych funkcjonariuszy miało zabezpieczać dwudziestu operacyjnych pracowników z SB i dziesięciu z milicji. „Jednocześnie w osiedlach – pisano w planie działań – przez które przejedzie delegacja pracownicy operacyjni Sł. Bezp. prowadzić będą pracę w zakresie ustalenia panujących nastrojów, zachowania się osób znanych Sł. Bezpieczeństwa z wrogich wystąpień, zwracać będą uwagę aby osoby znajdujące się na trasie przejazdu nie zakłócały spokoju”. Do operacyjnego zabezpieczenia najbliższej okolicy zaplanowano wykorzystać dziesięciu tajnych współpracowników, 15 byłych tajnych współpracowników oraz 20 osób w ramach pomocy obywatelskiej i kontaktów służbowych. Szczególnie dobrze „obstawione” były przy tym osoby potencjalnie podejrzane, np. jedyny repatriant z Francji, który zamieszkiwał w rejonie powitania delegacji, miał być „zabezpieczony” przez trzech tajnych współpracowników.

Ponad tydzień przed planowanym przyjazdem prezydenta, w pierwszym dniu czerwca 1967 r., w Katowicach odbyła się narada podsumowująca stan przygotowań do wizyty, podczas której kierownictwo katowickiej SB pozytywnie oceniło dotychczasowe działania podległych jednostek oraz sytuację społeczno-polityczną w województwie. Do przyjazdu de Gaulle’a do Polski w zaplanowanym wcześniej terminie jednak nie doszło, bowiem wczesnym rankiem 5 czerwca 1967 r. wojska izraelskie zaatakowały Egipt, rozpoczynając w ten sposób wojnę, nazwaną później sześciodniową. Wobec tak ważnego wydarzenia na Bliskim Wschodzie obie strony, co mocno podkreślała polska prasa, zdecydowały się odłożyć wizytę na inny termin. W tej sytuacji MSW zawiesiło działania operacyjne związane z zabezpieczeniem francuskiej delegacji. Po względnym ustabilizowaniu się sytuacji międzynarodowej, ostatecznie ustalono, iż de Gaulle odwiedzi Polskę w dniach 6-12 września 1967 r. Pobyt w województwie katowickim, zgodnie z opracowaną wcześniej trasą przejazdu, zaplanowany został na 9 września.

W efekcie w drugiej połowie sierpnia operacja „Uran” została wznowiona i w zasadzie polegała ona na kontynuowaniu działań podjętych jeszcze w maju. Jedyną istotną różnicą dotyczyła grup uznanych przez MSW za niebezpieczne, bowiem wraz z rozpoczętą przez kierownictwo tego resortu już kilkanaście dni po wybuchu wojny sześciodniowej kampanią antysemitką, do osób „skłonnych do wrogich wystąpień, organizowania prowokacji, pisanie petycji” dołączyły jeszcze wtedy bliżej niesprecyzowane „elementy syjonistyczne”. Podczas narady kierownictwa katowickiej milicji i SB 2 września 1967 r. znaczenie pobytu de Gaulle'a w Polsce i w województwie katowickim rozpatrywano więc już nie tylko w kontekście stosunku Francji do granicy na Odrze i Nysie, ale także sytuacji na Bliskim Wschodzie i „kwestii syjonistycznej”. Tego typu sformułowania stanowiły już, jak wiadomo, zapowiedź powszechnej nagonki na osoby narodowości żydowskiej, która jako narzędzie walki politycznej różnych frakcji w PZPR i MSW, swe apogeum osiągnęła w pierwszej połowie następnego roku.

„Tym razem «spędu» nie będzie”

Zapowiedź wizyty prezydenta Francji wywołała w polskim społeczeństwie duże i – co w warunkach PRL-u było raczej dość rzadkim zjawiskiem – naprawdę spontaniczne zainteresowanie. Nie inaczej sytuacja wyglądała na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim. „Złośliwi powiadają – donosił w czerwcu pracujący w jednym z katowickich instytutów tajny współpracownik SB ps. „Agrest” – że tym razem «spędu» nie będzie, że ludzie z ciekawości wyjdą witać Prezydenta Francji”. Wypowiedzi na temat przyjazdu de Gaulle'a były w zdecydowanej większości pozytywne i nacechowane sympatią zarówno dla całego narodu francuskiego, jak i generała. Podkreślano jego niezależną politykę, w wielu wypowiedziach dominowało przekonanie, że wydalenie to przyczyni się do zacieśnienia stosunków między obydwojma krajami i przyniesie obopólne korzyści polityczne i gospodarcze. Wiele komentarzy wzbudzała również, co już oczywiście mniej podobało się władzom, kwestia ewentualnego spotkania de Gaulle'a z kardynałem Wyszyńskim (do którego ostatecznie nie doszło). W tej sytuacji nieliczne „negatywne” wypowiedzi na temat wizyty – a niejednokrotnie były to jedynie ironiczne komentarze – były przez SB skrupulatnie odnotowywane. W ten sposób w materiałach resortowych znalazły się zapisy o tak banalnych treściach, jak chociażby ta: „ten de Gaulle mógłby przynajmniej raz co pół roku przejeżdżać przez Imie-

lin to byłoby tam czysto”. „Pracownik umysłowy G[liwickich] Z[akładów] M[ateryałów] O[gniotrwałych] – pisano z kolei w innym meldunku – powiedział na temat tej wizyty, a szczególnie powitania na lotnisku, że słów de Gaulle’a nie należy brać poważnie, bo chyba pamiętamy jego pobyt w NRF i podczas powitania go w Bonn krzyknął w języku niemieckim «Niech żyją Niemcy», a w Kanadzie z mównicy krzyczał «Niech żyje wolny francuski Qubeck», czym nadużył gościnności, stary de Gaulle robi od pewnego czasu wysoki, tak, że nie można mu brać tego za złe”. Tego typu wiadomości nie przedstawiały oczywiście na ogół dla SB większej wartości operacyjnej, jednakże osoby je wygłaszające poddawano różnego rodzaju działaniom „profilaktycznym”.

Na tydzień przed wizytą we wszystkich jednostkach organizacyjnych SB w województwie wprowadzono stan wzmózonej czujności, zaś 7 września, już po przylocie de Gaulle’a do Polski, w Katowicach odbyła się narada kierownictwa aparatu bezpieczeństwa, podczas której podsumowano stan przygotowań oraz wydano ostateczne dyspozycje. Warto w tym miejscu przytoczyć nieco danych liczbowych, ponieważ obrazują one skalę działań SB podczas operacji „Uran”. I tak np. na terenie powiatu tyskiego, na granicy którego miało nastąpić powitanie delegacji, kontroli operacyjnej poddano 38 osób, z czego trzy zaplanowano na czas przejazdu prezydenta zatrzymać, 19 zatrudnić na rannej zmianie, uniemożliwiając w ten sposób ich udział w uroczystości, zaś z dwiema osobami przeprowadzono rozmowy profilaktyczno-ostrzegawcze. Rozmawiano również z duchownymi parafii znajdujących się na trasie przejazdu, gdzie planowano umieścić 15 tajnych współpracowników i 22 osoby będące na kontakcie obywatelskim. Na dużą skalę podjęto działania w Sosnowcu i Mysłowicach, gdzie w kręgu zainteresowań funkcjonariuszy SB znalazło się 280 osób, wśród których byli, jak referowano na spotkaniu kierownictwa SB, „b. bandyci, b. członkowie band [zapewne chodziło przede wszystkim o członków antykomunistycznego podziemia zbrojnego – TK], osoby znane nam z różnych występów, poprzednio karane za tzw. pyskówki, 55 repatriantów z Francji sprzed 1950 r.” i in. W grupie tej przeprowadzono 14 rozmów profilaktycznych, 12 osób przeznaczono do „zabezpieczenia” w miejscu pracy, zatrzymano natomiast jedną osobę. Pozostałych w większości przekazano do obserwacji milicji. W samych Katowicach w obrębie zainteresowania wydziałów II i III znalazło się 219 osób, wśród których z 35. przeprowadzono rozmowy profilaktyczne, zaś 16 zostało przeznaczonych do

„zabezpieczenia w miejscu pracy”. Podczas zabezpieczenia samej tylko willi w Katowicach przy ul. Ligonia, gdzie miał przebywać de Gaulle, sprawdzono 255 osób (z czego 17 odrzucono), głównie z obsługi i personelu przygotowującego sprzęt, grup remontowych itd. Również około 250 osób – jak to pisano w resortowym żargonie – „przepracowano” w trakcie zabezpieczenia trasy i budynku Domu Muzyki i Tańca w Zabrze, gdzie prezydent miał uczestniczyć w uroczystym koncercie.

Do 7 września funkcjonariusze Wydziału II pionu SB KW MO w Katowicach przeanalizowali łącznie tylko ze „środowiska rewizjonistycznego” sprawy dotyczące 1040 osób, spośród których 83 wytypowano do ściślejszej kontroli operacyjnej. W tym czasie w województwie przebywało ponad stu cudzoziemców, głównie obywatele RFN i USA. Z siedmioma z nich SB przeprowadziła rozmowy „profilaktyczne”, wobec części planowano działania profilaktyczne, np. w „Centrozapie” przebywało wówczas ośmiu Szwedów i czterech obywateli RFN, z którymi z inspiracji SB dyrekcje miały przeprowadzić rozmowy w dniu wizyty. We współpracy z innymi jednostkami Wydział II „przygotował” dla zagranicznych dziennikarzy w siedzibie Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych w Katowicach biuro prasowe, gdzie „zabezpieczonych” zostało dziesięć dalekopisów i 20 telefonów. Odpowiednio kontrolowano również kilka wycieczek zagranicznych, które w dniu wizyty de Gaulle’a miały przebywać na Górnym Śląsku. „Niepokojących informacji w zasadzie nie ma – raportował kierujący Wydziałem II ppłk Józef Baszkiewicz – dopływ informacji zabezpieczony”.

Zgodnie z planem działania operacyjne wykonywał również Wydział III, który wytypował 84 osoby do zabezpieczenia na czas wizyty. Alarmujących z punktu widzenia SB informacji nie przekazywali także funkcjonariusze zajmujący się kontrolą i zwalczaniem Kościoła, jedynie – jak raportowano – „w Zabrze i Mikołowie zakonnicy chcą być na trasie w sutannach. W zakonie redemptorystów mówi się o ew. hasłach na trasie «niech żyje Polska katolicka»”.

„Mazurkiem Dąbrowskiego powitało odwiecznie polskie Zabrze Prezydenta Francji”

Ostatecznie i tym razem już bez przeszkód prezydent Francji przybył do Polski 6 września 1967 r. Wszędzie entuzjastycznie witały go tłumy. Po pierwszych rozmowach w Warszawie z przewodniczącym Rady Państwa Edwar-



Prezydent Francji Charles de Gaulle w Zabrze 9 września 1967 r.

dem Ochabem i premierem Józefem Cyrankiewiczem, 8 września de Gaulle odwiedził Kraków. W tym też dniu, na dobę przed przyjazdem delegacji, SB wprowadziła w województwie katowickim pełne zabezpieczenie terenu i stałe dyżury. Na następny dzień przygotowane zostały dwie specjalne grupy: obserwacyjna (w ramach Wydziału „B”) oraz operacyjno-śledcza, której zadaniem było wyjaśnianie i dokumentowanie wszelkich „wrogich aktów lub wystąpień” w regionie. Wprowadzono również specjalny, przyspieszony tryb karania. „Sytuacja w środowiskach, którymi Służba Bezp. zajmuje lub interesuje się – pisano w przeddzień wizyty – na ogół jest spokojna. Notuje się coraz żywsze zainteresowanie pobytem prezydenta de Gaulle’a w Polsce i zbliżającym się terminem wizyty na Śląsku. Przeważają wypowiedzi pozytywne, niemniej jednak pojedyncze głosy mają charakter spekulacyjny”.

9 września 1967 r. w godzinach przedpołudniowych prezydent wraz z towarzyszącą mu delegacją (m.in. z Ochabem) przekroczył w Bieruniu granicę województwa. Po powitaniu cała kawalkada licząca kilkadziesiąt samochodów udała się przez Mysłówce do Sosnowca, a następnie do Katowic, gdzie pod Pomnikiem Powstańców Śląskich odbyły się kolejne uroczystości. Po śniadaniu w siedzibie Wojewódzkiej Rady Narodowej de Gaulle udał się na odpoczynek do willei przy ul. Ligonja w Katowicach. Następnym, jak się okazało,

kulminacyjnym punktem wizyty, był przyjazd gościa do Zabrze na występ Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”. Tam też prezydent wypowiedział pamiętne słowa, cytowane przez większość polskich gazet. „Oczy wszystkich kierują się w stronę łoży honorowej – tak wydarzenie to z egzaltacją opisywała „Trybuna Robotnicza” – zgromadzeni na sali podnoszą się z miejsc, trwa gorąca owacja. Prezydent de Gaulle wstaje, na sali zalega cisza. Prezydent Charles de Gaulle unosi w serdecznym geście ramiona i mówi: «Niech żyje Zabrze, najbardziej śląskie miasto ze wszystkich śląskich miast, czyli najbardziej polskie miasto ze wszystkich polskich miast!» Nikt nie potrafi ukryć wielkiego wzruszenia. Salą Domu Muzyki wstrząsają brawa, które jak zawsze w momentach najwyższego uniesienia zlewają się w jeden potężny rytm. Galowy koncert dobiegł końca, ale owacja trwa. Przenosi się ona na zewnątrz Domu Muzyki, gdzie u wejścia zgromadził się nieprzeliczony tłum. Nad morzem głów kołyszą się biało-czerwone i trójkolorowe flagi i transparenty”. Po koncercie de Gaulle pojechał do Bytomia, skąd po krótkim spotkaniu z władzami i mieszkańcami miasta, udał się na lotnisko w Pyrzowicach, a następnie odleciał do Gdańska.

Cały, kilkugodzinny pobyt prezydenta w województwie katowickim upłynął bez jakichkolwiek poważniejszych incydentów, zaś kierownictwo katowickiej komendy MO i SB z zadowoleniem mogło stwierdzić, iż aparat „właściwie wykonał zadania operacyjno-rozpoznawcze, w wyniku których nie dopuszczono do wrogich działań”. „Wyrażało się to – raportowano dalej – w postawie, moralach i dyscyplinie”.

* * *

Można postawić pytanie, czy skala zastosowanych przez MSW sił i środków w ramach operacji „Uran” w województwie katowickim była adekwatna do rzeczywistych potrzeb związanych z koniecznością zapewnienia delegacji francuskiej właściwej ochrony. Według danych komendanta wojewódzkiego MO w Katowicach płk. Karola Stawarza oraz kierującego wówczas wojewódzką SB I zastępcy komendanta wojewódzkiego MO ds. Służby Bezpieczeństwa płk. Mariana Dziekana podczas przygotowań i w trakcie samej wizyty de Gaulle’a przeprowadzono rozmowy ostrzegawcze z 1814 osobami, 208 zatrzymano profilaktycznie, 943 zatrzymano z innych powodów (w tym osoby poszukiwane do odbycia kary, do izby wytrzeźwień i za inne

przestępstwa), 386 „zabezpieczono” w miejscu zamieszkania, zaś 118 „zabezpieczono” w miejscu pracy. Sporządzono wreszcie 785 wniosków do kolegów orzekających oraz skontrolowano ponad 12,5 tys. mieszkań, dworców, hoteli robotniczych i innych obiektów. Do zabezpieczenia trasy przejazdu, miejsc pobytu delegacji oraz zaplecza użyto łącznie ponad 3,3 tys. funkcjonariuszy (w tym blisko tysiąc pracowników operacyjnych i 208 oficerów MO), ponad 3,1 tys. członków ORMO oraz 367 funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa, czyli łącznie około 6,8 tys. osób.

Nawet jeżeli założymy, że dla celów sprawozdawczych niektóre z powyższych danych mogły być zawyżone – zakres działania SB i MO w ramach operacji „Uran” był w województwie znaczny. Nie ulega wątpliwości, że duża część działań funkcjonariuszy resortu określanych jako „zabezpieczające” wizytę miała charakter polityczny – służyła m.in. zastraszeniu środowisk uznanych za wrogie oraz pozwalała na aktualizację ewidencji „elementów” uznanych przez komunistów za podejrzane. Podobne przedsięwzięcia w efekcie ponownie umacniały w systemie władzy państwowej pozycję aparatu bezpieczeństwa, osłabioną znacznie po Październiku 1956 r. Dla funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa kilkutygodniowa mobilizacja w trakcie przygotowań do wizyty de Gaulle’a była swego rodzaju sprawdzianem sprawności w okresie tzw. małej stabilizacji oraz okazją do zdobycia kolejnych doświadczeń, które mogli wykorzystać w nieodległych – jak się już niebawem okazało – momentach kryzysowych, cyklicznie wstrząsających Polską Rzeczpospolitą Ludową.

Źródła i literatura:

Akta z zasobu Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Katowicach: sygn. IPN Ka 030/40, Sprawa obiektowa „Uran” dotycząca zabezpieczenia pobytu Prezydenta Francji Generała de Gaulle’a na terenie województwa katowickiego.

„Trybuna Robotnicza” 1967.

„Wieczór” 1967.

J. Eisler, *Polski rok 1968*, Warszawa 2006.

A. Hall, *Charles de Gaulle*, Warszawa 2002.

M. Pasztor, *Między Paryżem, Warszawą i Moskwą. Stosunki polsko-francuskie w latach 1954-1969*, Toruń 2003.

M. Pasztor, *Wizyta de Gaulle’a w Polsce (6-12 września 1967 r.). Między mitem a rzeczy-*

„Uwzględnimy specyficzną osobowość de Gaulle'a”

wistością, [w:] *Nad Bałtykiem. W kręgu polityki, gospodarki, problemów narodowościowych i społecznych w XIX i XX wieku. Księga jubileuszowa poświęcona Profesorowi Mieczysławowi Wojciechowskiemu*, pod. red. Z. Karpusa, J. Kłaczkowa, M. Wołosa, Toruń 2005.

Z. Rapacki, *Przyczynek do podróży gen. de Gaulle'a do Polski we wrześniu 1967 roku*, „Zeszyty Historyczne” t. 52, 1980.

Mirosław Sikora

Praca, „wino, kobiety i śpiew”, czyli na Studenckich Praktykach Robotniczych

„Zło konieczne”

Tego właśnie określenia, w świetle raportów Służby Bezpieczeństwa, używali studenci najczęściej, gdy wyrazić chcieli swoje zdanie na temat Studenckich Praktyk Robotniczych (SPR). Geneza idei SPR jest dość zagadkowa. Pierwsze tego typu przedsięwzięcie w PRL miało miejsce w 1969 r., a więc w rok po tzw. wydarzeniach marcowych.

Na pierwszy rzut oka Studenckie Praktyki Robotnicze wydawały się stać w kolizji z polityką PZPR, w ich ramach dochodzić miało bowiem do integracji studentów z robotnikami, gdy tymczasem władza ludowa próbowała przecież wbijać klin pomiędzy obie grupy społeczne, czego zresztą najlepszym przykładem są wypadki Marca '68. W rzeczywistości w organizowanych corocznie w miesiącach wakacyjnych SPR udział brali wyłącznie „świeżo upieczeni” studenci i – na mniejszą skalę – absolwenci pierwszego roku. Celem było zatem wywołanie w przyszłych – względnie raczkujących – studentach swojego rodzaju traumy (w sensie pozytywnym), dzięki której w swoim dalszym życiu zawodowym, już jako inżynierowie, humaniści czy artyści, mieli pozostać wyczuleni na problemy klasy robotniczej. Zgodnie z tym, co pisano w „Trybunie Robotniczej” z 1975 r., chodziło o „wzbogacenie społecznych doświadczeń młodzieży w bezpośrednim kontakcie z pracą” lub w skrócie o „wychowanie przez pracę”. Wierzone lub chciano wierzyć, że w czasie SPR student „uczy się szacunku dla robotniczego trudu”, a także wyrabia w sobie nawyki punktualności, zdyscyplinowania i poczucia odpowiedzialności – postulaty, które w zestawieniu z faktycznym obliczem gospodarki socjalistycznej, brzmią kuriozalnie.

Praca była jednym, lecz nie jedynym aspektem SPR. Równie dużo uwagi poświęcano odpowiedniemu zorganizowaniu studentom czasu wolnego. O ile za przygotowanie miejsc pracy odpowiadały władze uczelniane, podpisując

odpowiednie umowy z wybranymi przez siebie zakładami, o tyle wszystko to, co dziać się miało po skończeniu „szychty”, leżało w gestii Związku Młodzieży Socjalistycznej (ZMS), Zrzeszenia Studentów Polskich (ZSP), względnie od 1973 r. Socjalistycznego Związku Studentów Polskich (SZSP).

Jakkolwiek SPR były obligatoryjne, istniało kilka możliwości ich uniknięcia. Z SPR zwolnione były m.in. dzieci rolników angażowane przy pracach w gospodarstwie, osoby, które pracowały już wcześniej co najmniej pół roku w charakterze robotników lub posiadały tytuł robotnika wykwalifikowanego, ponadto osoby, które pracowały wcześniej w ramach szkolnych wakacyjnych Ochotniczych Hufców Pracy oraz wszyscy ci, którzy mieli za sobą służbę wojskową. Ciekawostką i zarazem przejawem wrażliwości władzy, było zwolnienie z praktyk studentów szkół muzycznych, zwłaszcza z zakresu instrumentalistyki i wokalistyki. Warto też nadmienić, że nieuzasadnione opuszczenie praktyk groziło skreśleniem z listy studentów.

SPR organizowane były przez całą dekadę gierkowską, zniesiono je pod presją „Solidarności” na samym początku lat 80. i reanimowano u schyłku PRL. Każdego roku w całej Polsce brało w nich udział kilkadziesiąt tysięcy studentów (np. w 1971 r. ok. 50 tys.) zatrudnionych w setkach zakładów sektora przemysłowego i rolnego. Jakkolwiek z roku na rok poprawiała się organizacja praktyk, a wynagrodzenie studentów rosło (przeciętnie 1136 zł w 1971 r. i 1426 zł w 1974 r.), pewnych patologii nie udało się nigdy wyeliminować, nawet mimo tego, że oprócz wkładu władz państwowych, partyjnych i związków młodzieżowych, SPR stały się też przedmiotem działań operacyjnych Służby Bezpieczeństwa.

Zabezpieczenie operacyjne

Po raz pierwszy sprawę obiektową (SO) o kryptonimie „Praktyki” śląska SB założyła w 1970 r., choć nie ulega wątpliwości, że praktykom przyglądano się już w roku poprzednim. Od tej pory analogiczne sprawy, których kryptonimy uzupełniano tylko kolejnymi datami (np. „Praktyki '71”, „Praktyki '72” etc.), wszczynane były każdego roku. Zainteresowanie bezpieki nie ograniczało się do samych SPR. Kontrolą operacyjną objęto niemal wszystkie ważniejsze przedsięwzięcia koordynowane przez organizacje młodzieżowe i studenckie koła naukowe w okresie lata. Do imprez takich zaliczano choćby Studenckie Obozy Naukowo-Badawcze spełniające postulat „łączenia działalności naukowo-badawczej z potrzebami społeczno-ekonomicznymi nasze-

go kraju, a szczególnie naszego regionu”, odbywające się w ramach Studenckiego Ośrodka Nauki i Pracy Społecznej (SONiPS) ZSP.

W kręgu zainteresowań SB znaleźli się studenci wszystkich wyższych uczelni z terenu województwa katowickiego (a od 1975 r. również częstochowskiego): Uniwersytetu Śląskiego (UŚ), Politechniki Śląskiej (PŚ), Politechniki Częstochowskiej, Śląskiej Akademii Medycznej (ŚIAM), Wyższej Szkoły Ekonomicznej (WSE) – od 1974 r. Akademii Ekonomicznej (AE), Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego (WSWF) oraz Wyższej Szkoły Muzycznej (WSM). W 1970 r. z uczelni tych na SPR skierowano ok. 4,7 tys. studentów, z czego ok. 2/3 do przedsiębiorstw przemysłowych. W tym samym czasie kolejne trzy tys. studentów odbywało też standardowe praktyki zawodowe. Praktykantów gościły łącznie 284 zakłady pracy sektora przemysłowego, rolnego i leśnego. Niektórzy studenci uczelni śląskich odbywali swoje praktyki w innych częściach kraju, jednocześnie województwo śląskie gościło żaków z takich uczelni jak Uniwersytet Warszawski czy Akademia Górniczo-Hutnicza (AGH).

Najwięcej „pracy operacyjnej” SB wkładała jednak w kontrolowanie międzynarodowej wymiany studenckiej odbywającej się głównie pod egidą stowarzyszenia IAESTE (The International Association for the Exchange of Students for Technical Experience). Przykładowo w 1974 r. do tzw. krajów kapitalistycznych wyjechać miało z województwa katowickiego, grupowo lub indywidualnie, 113 osób (głównie do Francji, Anglii i Belgii), podczas gdy do tzw. krajów demokracji ludowej (dalej – KDL; zaliczano do nich m.in. NRD, Czechosłowację, Węgry, Rumunię, Bułgarię i poniekąd Jugosławię) – 261 osób. W 1976 r. tylko do KDL wyjechało z uczelni województwa katowickiego ok. 450 studentów polskich. Systematycznie rosła też liczba wyjeżdżających na Zachód. Jednocześnie studenci z zagranicy odbywali praktyki na terenie województw: katowickiego, bielskiego czy częstochowskiego, gdzie organizowano ich w tzw. Międzynarodowe Obozy Pracy (MOP).

Zgodnie z wytycznymi Departamentu III MSW (walka z opozycją), zadaniem terenowych placówek SB było zapobieganie szeroko rozumianemu „niewłaściwemu zachowaniu się młodzieży”, zwłaszcza zaś manifestowaniu przez nią „nieodpowiedniej postawy politycznej” oraz wszczynaniu dyskusji na tematy gospodarcze. Ponadto likwidować zamierzano niedociągnięcia organizacyjne wytwarzające stany konfliktowe w trakcie pracy, a także przeciwdziałać inicjatywom Duszpasterstwa Akademickiego w zakresie organizacji

czasu wolnego studentów. W 1976 r. pakiet zainteresowań SB w ramach SO krypt. „Praktyki” poszerzył się o przejawy działalności opozycyjnej w ramach Komitetu Obrony Robotników (KOR), sondowano też opinie na temat wydarzeń czerwcowych w Radomiu i Ursusie. Od 1977 r. do zagrożeń dołączyła agitacja na rzecz Studenckiego Komitetu Solidarności (SKS). Jeszcze przed rozpoczęciem praktyk w tym właśnie roku, a już pod wpływem wypadków związanych z zabójstwem Stanisława Pyjasa w Krakowie, funkcjonariusze SB uczulali kierowników domów studenckich (DS) na przypadki rozprowadzania tzw. literatury bezdebitowej (drugoobiegowych książek, broszur i ulotek) w akademikach. W 1978 r. w jednym z katowickich zakładów zanotowano przypadek kolportażu odezw Komitetu Wolnych Związków Zawodowych. W 1980 r. SB sondowała opinie zarówno pracowników zakładów, jak i studentów na temat wydarzeń na Wybrzeżu.

Każdego roku późną wiosną funkcjonariusze pionu SB w KW MO w Katowicach zabierali się za sporządzenie odpowiednich planów zabezpieczenia operacyjnego. Sprawa „Praktyki” znajdowała się w gestii Grupy IV Wydziału III SB odpowiedzialnej za inwigilację uczelni wyższych. W drugiej połowie lat 70. działania tej grupy wspierał Wydział III „A”, wyspecjalizowany w ochronie zakładów przemysłowych.

Celem nadrzędnym prowadzonej operacji było zawsze uzyskanie szybkiego dopływu informacji „o nastrojach i sytuacji w środowiskach studenckich z miejsc odbywania praktyk”. W związku z powyższym bezpieka starała się nie tylko wykorzystać funkcjonujące już w środowisku studentów oraz naukowców osobowe źródła informacji (OZI – zbiorcze określenie wszystkich kategorii konfidentów), lecz także zwerbować przy okazji nowych donosicieli. W pierwszej linii dążono do pozyskania w charakterze kontaktów służbowych (k.s. – jedna z form współpracy z SB) ustanawianych na każdej uczelni pełnomocników rektorów ds. SPR. Relacje o podobnym charakterze nawiązywano też z wytypowanymi pracownikami uczelni pełniącymi funkcje komendantów hufców studenckich podczas praktyk. Ci ostatni informować mieli „o wszelkich ujemnych zjawiskach ze strony studentów oraz o warunkach pracy stworzonych dla nich przez poszczególne zakłady i przedsiębiorstwa, ze szczególnym uwzględnieniem oddziaływania studentów w sensie wrogim lub opozycyjnym na środowiska robotnicze”. W razie potrzeby SB sięgała też do szczebla zastępców komendantów, którymi byli studenci, a także do opiekunów grup studenckich z ramienia zakładów.

Szczególnie duży nacisk kładziono na pozyskanie kontaktów operacyjnych (k.o. – kolejna forma współpracy z SB) wśród opiekunów grup studenckich, a także wśród samych studentów wyjeżdżających na Zachód, by dowiedzieć się o ewentualnych „próbach docierania do studentów pracowników wrogich ośrodków dywersji ideologiczno-politycznej lub pracowników wywiadu”, a także o zjawiskach „przekazywania [przez studentów] informacji o sytuacji w kraju i innych sprawach stanowiących tajemnicę państwową i służbową PRI”.

Z roku na rok wzrastała liczba OZI eksploatowanych na potrzeby SO krypt. „Praktyki”. W 1977 r. do dyspozycji KW MO w Katowicach stało 90 OZI, w 1980 r. planowano wykorzystać już 141. W 1978 r. tylko na Uniwersytecie Śląskim zmobilizowano na potrzeby praktyk 18 tajnych współpracowników (t.w.), w tym samym czasie na Politechnice Śląskiej wykorzystywano trzy OZI, na AE dwa, na WSWF pięć, a na ŚIAM sześć.

Praca, czyli oko w oko z gospodarką socjalistyczną

Przez miesiąc pracy w ramach SPR studenci nie tylko mieli okazję wczuć się w sytuację robotników, ale również przypatrzeć się z bliska mechanizmom funkcjonowania gospodarki socjalistycznej, ze wszystkimi jej patologiami. To stawało z kolei niejednokrotnie pod znakiem zapytania wychowawczą funkcję praktyk.

W piśmie do naczelnika Wydziału III SB KW MO z 17 października 1970 r. zastępca komendanta miejskiego MO ds. SB w Gliwicach ppłk W. Sołdyk tak oto sformułował „wnioski polityczno-operacyjne” z realizacji SO „Praktyki” na jego terenie: „Tęgoroczne praktyki studentów PGR Łąbędzy i Pniów przyniosły wręcz odwrotny od zamierzonego skutek natury politycznej. Młodzież, która osobiście zetknęła się z niewłaściwym stosunkiem do pracy wśród całej załogi w miejscu praktyki, nie wyniesie poszanowania dla ludzi pracy i nauczy się tylko cwaniactwa, oszukiwania itp. [...] Konieczne wydaje się zwrócenie uwagi na przekonanie o potrzebie praktyk najniższych funkcją przełożonych w zakładach pracy, aby ich nastawienie nie rzutowało ujemnie na praktykantów jako osoby niepotrzebne i przypadkowe”. Niepełna rok później ppłk R. Puchała z Komendy Miejskiej i Powiatowej MO w Częstochowie raportował do zastępcy naczelnika Wydziału III KW MO: „W[ojewódzkie] P[rzedsiębiorstwo] B[udownictwa] M[iejskiego] traktuje studentów jako «zło konieczne». Inżynierowie i robotnicy napominają stu-

dentów, aby się zbyt nie spieszyli, żeby nie robili za szybko. Stanowisko takie zmieniło nastawienie studentów do pracy, pracowali oni bardzo opieszale, unikali pracy. Na skutek interwencji sytuacja trochę zmieniła się na lepsze [...] Podobnie wygląda w P[rzedsiębiorstwie] B[udowlano] R[emontowym] K[opalnictwa] R[ud] Ź[elaza] – studenci pracują słabo, są też wstrzymywani w tempie pracy, żąda się od nich powolnego wykonywania prac”. W notatce SB z 1975 r. czytamy z kolei: „hufiec 11 zatrudniony w «Zakładzie Elwro» skarży się na nagminne picie alkoholu i piwa w czasie godzin pracy przez załogę tego zakładu”.

Nie mniej destruktywnie oddziaływać musiały na studentów tak charakterystyczne dla gospodarki socjalistycznej absurdy związane z organizacją i celowością wykonywanej pracy. W październiku 1971 r. ppłk Henryk Sikora uzalał się, że w Zarządzie Zieleni Miejskiej w Katowicach „studenci Uniw[ersytetu] Śląskiego pracujący przy Rondzie, kilkakrotnie wykonywali tę samą pracę, oczyszczali teren z kamieni, po czym ponownie przywożono je na to samo miejsce”. Z notatki SB z września 1974 r. dowiadujemy się zaś, że „w Państwowym Szpitalu Klinicznym w Zabrze dziewczęta malują numerki porządkowe na stołach i innym sprzęcie biurowym. Praca jest lekka, w sam raz dla tej płci, ale satysfakcję psuje wiadomość, że malują numerki na sprzęcie przeznaczonym do kasacji”. W 1976 r. tajny współpracownik ps. „Troglodyta” zarysował sytuację na SPR w Wojewódzkiej Spółdzielni Spożywców „Społem” w Gliwicach: „Często uczestnicy nie mieli nic do roboty albo też przenosili te same przedmioty z jednego pomieszczenia do drugiego, a następnie z powrotem”. W tym samym roku funkcjonariusz SB zanotował, że studenci zatrudnieni przy budowie huty „Katowice” „mają kilku przełożonych, z których każdy wydaje inne polecenia, często sprzeczne ze sobą. Przenoszą materiały z jednej strony na drugą [stronę] drogi, po to by później je załadować na samochód, bo komuś to przeszkadza [...]. Studenci zwracali uwagę na marnotrawstwo [...], czyli zwały stali zbrojeniowej zasypiane ziemią, skamieniałe worki cementu, znajdujące w każdym punkcie budowy i brak kompetencji osób, do których ze swoimi sprawami zwracali się”. Rozczarowanie realiami pracy robotnika potęgować musiała u studentów krążąca na placu budowy plotka, że konstruowany „piec i tak nie da wytopu, gdyż przy takim bałaganie nie będzie sprawny, i kierownictwo budowy zastanawia się, w jaki sposób przywieźć surówkę z innych hut, na otwarcie, by można było pokazać pierwszy wytop huty”. W 1979 r. kilkunastu studentów



W DS Barbara (u góry) i DS Karolinka kwaterowani byli w okresie realizowania SPR praktykanci z zagranicy, w tym z Europy Zachodniej. Dlatego też SB dążyła do pozyskania informatorów spośród członków personelu obsługującego DS-y, tak by „mieć na oku” poczynania kapitalistycznej młodzieży



z Politechniki Śląskiej skierowano na praktyki do kombinatu Urzędzeń Mechanicznych „BUMAR-Łabędy” w Gliwicach, zapominając przy tym, że studenci nie posiadają certyfikatów uprawniających ich do pracy przy produkcji z klauzulą tajności, a takie właśnie zlecenia ten zakład wykonywał (wytwarzano tam elementy uzbrojenia dla armii). Wobec powyższego praktykanci stali się dla załogi zakładu swoistym „piątym kołem u wozu”, nie można ich było bowiem wykorzystać do pracy, a jednocześnie trzeba było pilnować, by nie wchodzili do zastrzeżonych pomieszczeń fabryki.

Niechęć kierownictwa zakładów, a także szeregowych pracowników do studentów, była w wielu aspektach zrozumiała. 15 października 1971 r. pplk Sikora pisał: „W zakładach pracy, a szczególnie w kopalniach podkreśla się, że programy praktyk są szeroko rozbudowane i ich realizacja jest niewygodna dla zakładów i kopalń, gdyż absorbuje i odciąga od produkcji majstrów i dozór”. Wymogi BHP powodowały, że kierownictwo kopalń rezygnowało z zatrudniania studentów pod ziemią, ograniczając się do organizowania dla nich wycieczek połączonych z obserwacją pracy górników. Nawet tutaj natrafiano na przeszkody, gdyż np. przebywanie pod ziemią kobiet (studentek) obwarowane było specjalnymi przepisami, w tym konwencją genewską.

Realizowanie przez niektóre zakłady praktyk w formie obserwacji, a nie pracy, wprowadzało studentów w stan dezorientacji, a pośrednio i irytacji. Podczas gdy bowiem jedni „przesiadawali w kąciach śniadaniowych, czytając prasę, rozwiązując krzyżówki, grając w kości”, względnie „wałęjąc się po oddziałach zakładu [...] nudzili się nie mogąc znaleźć sobie miejsca”, inni – jeśli pechowo trafili – pracowali w upale przy młocie pneumatycznym (obsługiwanym pierwszy raz w życiu), kując w skale i wykonując przekopy pod torami. Zdarzało się, że studenci się buntowali. T.w. ps. „Kalikst” donosił 18 lipca 1972 r. na temat praktyk w Kombinacie Maszyn Elektrycznych „Ema-Komel” w Katowicach: „Między kierownictwem praktyki a studentami powstał konflikt na temat przebiegu praktyki. Studenci twierdzą, że jest to praktyka obserwacyjna i nie należy wymagać od nich pracy. Szczególnie duży protest budzi używanie studentów do prac transportowych. Jedna z grup na początku praktyki odmówiła wykonania zleconej im pracy”.

Przynajmniej w pierwszych latach realizacji SPR władze uczelni nie przywiązywały większej wagi do korelowania profilu zakładu, do którego trafić mieli praktykanci, z ich kierunkiem studiów. Nie uchodziło to uwadze SB. W notatce dotyczącej przebiegu „Praktyk ‘70” czytamy: „Pewne kło-

poty sprawiali również studenci z Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach, odbywający praktykę w Zakładach Transportu Kolejowego i Gospodarki Kamieniem w Boguszowicach k[olo] Rybnika [...]. W pierwszych dniach rozpoczęcia praktyk zatrudnieni byli przy pracach budowlanych i wówczas zaczęli wyrażać swoje niezadowolenie twierdząc, «iż kaleczą i niszczą ręce, a u muzyków delikatne ręce są podstawą sukcesu». W tym stanie rzeczy zmieniono im pracę, ale i tak pracowali ulgowo”.

Większość zakładów przejęła na siebie ciężar zapewnienia studentom wyżywienia i transportu między miejscem zakwaterowania a miejscem pracy. Notorycznie dochodziło jednak do komunikacyjnych opóźnień przekładających się na znaczne obniżenie efektywnego czasu pracy, co skrupulatnie odnotowywała bezpieka. Sam naczelnik Wydziału III, ppłk Sikora, nie omieszkał wspomnieć w swoim sprawozdaniu z października 1971 r., że poprzez źle funkcjonującą komunikację autobusową w nadleśnictwie Łabędy studenci nie tylko z opóźnieniem przybywali do pracy, ale także za późno ją opuszczali, przez co w miejscach zakwaterowania „jedli niesmaczny wielokrotnie odgrzewany obiad wraz z kolacją”. W innym miejscu, wyraźnie wyczulony na kwestie aprowizacji podpułkownik SB pisał: „studenci zakwaterowani w hotelach robotniczych i domach młodego górnika odżywiają się bardzo skromnie, a nawet brakowało im pieniędzy na utrzymanie”. Zresztą w sferze wyżywienia nie było dla SB informacji nieważnych. 1 września 1971 r. ppłk B. Dankowski z katowickiej SB powiadomił naczelnika Wydziału III m.in. o tym, że podczas praktyk na jego terenie zabrakło napojów chłodzących dla studentów. Na początku października 1972 r. t.w. ps. „Andrzej” donosił, że w Pszczynie intendentka w komitywie z komendantem hufca systematycznie okradała grupę praktykantów z przysługującej im w ramach racji żywnościowych kielbasy: „przeprowadzona kontrola przez Komisję Praktyk Robotniczych stwierdziła np. brak 1 kielbasy, przeznaczonej na śniadanie. Taki stan rzeczy był tolerowany w sposób świadomy przez komendanta hufca [...]. Wobec stwierdzonego zajścia i ciągłych narzekań studentów na wyżywienie [komendant] bronił intendentki, z którą, jak twierdzili studenci, łączyły go dość bliskie stosunki, czego komisja już ustalić nie mogła”. Na jeszcze „poważniejsze” nadużycia natrafił przypadkowo t.w. ps. „Zbigniew” w czasie SPR w 1977 r. Tym razem chodziło o 12 kawałków kielbasy oraz skrzynkę jabłek, które chomikowane były przez dwie kucharki w jednej ze stolówek obsługujących praktykantów. Oficer prowadzący chwycił trop, po-

lecając konfidentowi obserwować dyskretnie poczynania personelu stołówki pod kątem występowania ewentualnych nadużyć.

SB interesowała się też warunkami zakwaterowania praktykantów, odkrywając niekiedy dość niecodzienne formy traktowania studentów przez pracodawców. Przykładowo w lipcu 1971 r. inspektor Sławomir Baniak zapisał w notatce służbowej sporządzonej po rozmowie ze studentkami psychologii Wydziału Humanistycznego UŚ, odbywającymi praktykę w Przedsiębiorstwie Handlu Zagranicznego w Koszęcinie: „mieszkają one w baraku, który podzielony jest na dwie części. W części pierwszej mieszczą się chlewnie, w części drugiej mieszczą praktykantki. Dyrekcja nie zapewniła im ani odpowiednich pomieszczeń do spania i mycia (myją się w chlewni), ani też odpowiednich warunków pracy”.

Jedynym chyba plusem, jaki dla pracowników zakładu przedstawiały SPR, była możliwość bardziej swobodnego wybierania sobie urlopów w sezonie wakacyjnym, gdyż – przynajmniej teoretycznie – do dyspozycji kierownictwa w charakterze zastępców stali studenci. Z drugiej jednak strony, niższa nieraz nawet o kilkadziesiąt procent wydajność tych ostatnich w porównaniu z pracownikami etatowymi, obniżała parametry wydajności zakładu w skali całego roku.

Również sami studenci „dawali w kość” kierownictwu zakładów i pracownikom. Część zaków podchodziła do SPR dość swobodnie. W meldunku zastępcy komendanta powiatowego MO ds. SB w Lublińcu przesłanym naczelnikowi Wydziału III w dniu 22 września 1970 r. czytamy: „Zatargi między praktykantami a kierownictwem miały miejsce w pierwszym turnusie, odbywającym praktykę w Leśnictwie Braszczok. Studenci [WSE] byli wówczas przekonani, że przyjechali na odpoczynek a nie do pracy”. Wśród komentarzy zasłyszanych od studentów przez informatorów SB w 1970 r. znalazły się następujące wypowiedzi: „nie po to idę na studia, ażeby łopata robić”; „łopata to mogłem robić po 7-miu klasach” czy „w czasie ferii [letnich] mieliśmy możliwość znaleźć bardziej płatną pracę”. Studenci stwierdzali też często, że zdecydowanie korzystniejszym rozwiązaniem byłoby umożliwienie im indywidualnego doboru zakładu, zamiast wysyłania przez uczelnie odgórnie skompletowanych grup.

Nierzadkie były przypadki świadomego spóźniania się i przedwczesnego wychodzenia z pracy. W 1972 r. t.w. ps. „Kalikst” informował SB o sytuacji w jednej z katowickich fabryk: „Dyscyplina na praktyce jest raczej luźna. Stu-

denci nagminnie spóźniają się, wychodzą wcześniej lub w ogóle są nieobecni na praktyce”. W 1971 r. rybnicka bezpieka narzekała na zatrudnionych w kopalni „Chwałowice” studentów z Uniwersytetu Wrocławskiego, którzy załatwiali sobie zwolnienia lekarskie, uciekali z pracy albo się wręcz ukrywali. Studenci AGH odbywający w 1973 r. praktykę w Zakładach Naprawczych Przemysłu Węglowego w Niedobczycach wpadli na pomysł podrabiania podpisów na listach obecności w zakładzie. Jak przekonywał w 1979 r. t.w. ps. „Dorota” „sporadyczne przypadki lenistwa” wynikały z braku odpowiedniego dozoru nad studentami.

Dochodziło też do poważniejszych ekscesów, jak np. 18 sierpnia 1970 r., kiedy to dwóch nietrzeźwych studentów WSE praktykujących w Śląskim Przedsiębiorstwie Budowy Elektrowni i Przemysłu w Katowicach, pobiło podczas pracy dwóch robotników.

Mimo wszystko przeważały zakłady, z których do SB docierały pozytywne sygnały na temat praktykantów. W 1971 r. tylko na terenie działania tyskiej SB odnotowano pięć przedsiębiorstw, w których studenci „swoim zachowaniem i postawą zdobyli uznanie u przełożonych i opiekunów”, a także „wykazywali duże zainteresowanie sprawami zawodowymi, objętymi programem praktyki”. W 1972 r. kierownictwo zakładów chemicznych Krywałd wystąpiło nawet z wnioskiem o przyznanie nagrody pieniężnej (150 zł) dla dwóch studentów, którzy wzorowo wypełniali swoje obowiązki.

Szczególnie newralgiczną kwestią na linii studenci-zakład pracy były oczywiście zarobki. Wiele zakładów płaciło studentom nie za czas pracy, lecz za wydajność. Często też na tym tle dochodziło do nieprawidłowości ze strony kierownictwa fabryk. W lipcu 1971 r. SB dopatrzyła się nadużycia w Przedsiębiorstwie Robót Budowlanych w Bielsku-Białej. Po tym, jak dyrekcja zmieniła kwalifikację systemu pracy z uzgodnionego pierwotnie dniówkowego na akordowy, oraz potrafiła sobie za jedzenie, zatrudnieni w tym zakładzie praktykanci z Wydziału Humanistycznego UŚ otrzymali – prawdopodobnie za sześć tygodni pracy – przeciętnie 200 zł na głowę (czyli o ok. 400 zł poniżej normy), co i tak nie było złym wynikiem, gdyż, jak czytamy w notatce SB, „kilku studentów nie otrzymało w ogóle wynagrodzenia a są i tacy, którzy mają jeszcze dopłacić przedsiębiorstwu”. W tym samym miesiącu SB zarejestrowała ostry konflikt pomiędzy praktykantami a dyrekcją innego bielskiego przedsiębiorstwa, również z branży budowlanej. Tym razem poszło o dysproporcje pomiędzy wynagrodzeniami wahającymi się od jednego tys. do 277 zł.

Zirytowani studenci, zapewne pod naciskiem tych, których zarobki były bliżej dolnego progu, udali się wieczorem 28 lipca do Komitetu Powiatowego PZPR w Bielsku-Białej z prośbą o interwencję w ich sprawie. Dzień później przy wspólnym stole zasiedli przedstawiciele PZPR, zakładu oraz studentów. Ci ostatni wypunktowali swojego niedawnego pracodawcę za to, że na jednej z budów w Starym Bielsku nie było apteczki, że woda sodowa była tylko dwa razy dziennie, że nie było obiecanej śmietany i kwaśnego mleka, że potrącono im za Związki Zawodowe, do których przynależć nie chcą, w końcu także za to, że „w dniu 15 lipca 1971 robotnicy na budowie byli pijani i spali po kątach”. Rok później, za sprawą donosu t.w. ps. „Andrzej”, SB dowiedziała się o nieprawidłowościach w Przedsiębiorstwie Budownictwa Rolniczego w Myszkowie, gdzie „część pracy wykonywana przez studentów została przez majstrów wpisana na konto pracowników, przez co wzrosły ich zarobki, kosztem zarobków studentów”. W sierpniu 1972 r. katowicka bezpieka raportowała o odwrotnych anomaliiach; w jednym z zakładów studenci zarabiali lepiej od pracowników etatowych (dziesięć wobec ośmiu zł za godzinę).

W drugiej połowie lat 70. SB odnotowywała coraz więcej pozytywnych komentarzy ze strony studentów na temat warunków finansowych. Spowodowane było to głównie tym, że zaczęto ich opłacać za dniówkę tak samo jak etatowych robotników. W „ocenie działań operacyjnych w zakresie zabezpieczenia praktyk studenckich i robotniczych” z 1978 r. czytamy: „w większości przedsiębiorstw praktyki realizowane są bez zakłóceń a zachowanie studentów i ich postawa nie budzi żadnych zastrzeżeń. [...] Na uwagę zasługuje duże zaangażowanie i chęć do pracy nawet w godzinach nadliczbowych osób, które zostały przyjęte na pierwszy rok studiów. Za przykład może służyć postawa studentów Politechniki Śląskiej, odbywających praktyki w III turnusie przy budowie Bazy Z[akładu] R[obót] I[nstalacyjnych] Sośnica-Błonie, przy budowie Zakładów Ceramicznych w Sierakowicach oraz w FADOM-ie Gliwice i osiedlu Bema w Gliwicach, którzy w wolną sobotę w dniu 2 września b.r. podjęli z własnej inicjatywy pracę w formie czynu społecznego”.

„Libacje połączone z upilstwem”, czyli czas wolny

Zapanowanie nad studentami w czasie wolnym od pracy było dla organizatorów SPR nie lada wyzwaniem. Kluczowe znaczenie, o czym przekonała się z czasem bezpieka, miała w tym przypadku forma zakwaterowania. Większość praktykantów umieszczana była w domach studenckich – np. w 1971 r.

aż 70 proc. studentów Politechniki Śląskiej odbywających SPR zamieszkiwało w ten właśnie sposób – reszta w obiektach należących do przedsiębiorstw, w hotelach robotniczych, szkołach, internatach, a także w mieszkaniach prywatnych.

W 1976 r. funkcjonariusz SB narzekał: „Słabą stroną praktyk jest zła organizacja czasu wolnego, powodująca, że praktykanci po pracy nadużywają alkoholu na terenie akademika i nie przestrzegają norm moralno-etycznych”. Lukę tę starały się wypełnić organizacje studenckie oraz partia, nierzadko ze skutkiem dość mizernym. Zgodnie z relacją t.w. ps. „Andrzej” z lipca 1971 r., dotyczącą prelekcji wygłoszonych przez lektorów PZPR w czasie trwania obozu organizowanego przez Koło Naukowe Prawników UŚ w Boguszowicach „zarówno opiekunowie jak i studenci byli zdania, że powinni przyjeżdżać na spotkania specjaliści z poszczególnych dziedzin, a nie ludzie «wszechwiedzący», podejmujący się prelekcji na każdy temat”. Nie tak łatwo jednak było się uwolnić od parasola partii i ZSP. 18 września 1971 r. zastępca komendanta Komendy Miejskiej i Powiatowej MO ds. SB w Zabrze raportował: „Plan zajęć pozaprodukcyjnych był skrupulatnie realizowany, ponieważ [jednak] studenci ustosunkowani byli do tych zajęć bardzo biernie i konsumpcyjnie, została wprowadzona obowiązkowa obecność na większości imprez”.

Zdominowanie czasu wolnego miało też na celu uniemożliwienie studentom uprawiania praktyk religijnych, o czym dowiadujemy się z szyfrogramu mjr. W. Wilczka z dnia 6 września 1974 r.: „Podkreślić również należy znacznie lepsze i bardziej zróżnicowane zorganizowanie czasu wolnego. Poza wieczorkami tanecznymi organizowano spotkania z ciekawymi ludźmi, wycieczki krajoznawcze oraz [...] zbieranie grzybów. Było to zapewne przyczyną tego, że w uroczystościach kościelnych na Jasnej Górze, jakie odbywały się w sierpniu prawie nie stwierdzono obecności studentów odbywających praktyki”; i dalej: „W dniu 15 sierpnia, kiedy w Częstochowie była «pielgrzymka warszawska» [...] zorganizowano całodniową wycieczkę do Olsztyna k[olo] Częstochowy na pieczenie kiełbasek i barana”.

Mimo wysiłków młodzież, jak to młodzież, chadzała własnymi ścieżkami. Teoretycznie za jej nadzorowanie, nie tylko w czasie pracy, ale także po niej, odpowiadali komendanci hufców. Ci ostatni jednak – jak wynikało z ustaleń SB – często nie zamieszkiwali ze studentami, wracając po zakończeniu pracy do swoich domów. W niektórych przypadkach studenci nie mieli nawet okazji osobiście poznać swoich opiekunów. Pod nieobecność komendantów ich

obowiązki wykonywali zastępcy, ci jednak byli zaledwie studentami starszych roczników i z tego względu nie posiadali wśród młodzieży wystarczającego do utrzymania porządku autorytetu.

Obsada stanowisk komendantów niewłaściwymi ludźmi mogła też prowadzić do sytuacji konfliktowych. 2 września 1971 r. t.w. ps. „Andrzej” donosił: „Na hufcu w Murckach (w sierpniu) doszło do zbytecznej «konkurencji» pomiędzy komendantami. Jeden z nich traktował studentów zbyt surowo, drugi zbyt liberalnie, powstała niezdrowa atmosfera wśród studentów, którzy wciągnięci zostali w osobiste rozgrywki asystentów”.

Nie ulega jednak wątpliwości, że najwięcej kłopotów sprawiali sami studenci, przede wszystkim ci skoncentrowani w akademikach i internatach. Bezpieka na bieżąco informowana była przez administrację DS, Milicję Obywatelską, a także donosiciele z grona studentów, o imprezach odbywających się w akademikach i klubach studenckich.

Relacjonując przebieg praktyk '70 na terenie powiatu wodzisławskiego, plutonowy Henryk Nowak pisał: „Niejednokrotnie studenci do późnych godzin nocnych urządzali na terenie internatu różne libacje połączone z upilstwem i niemoralnym zachowaniem się i popisami. Były przypadki, [...] że studenci szczególnie z drugiego turnusu wieczorami na korytarzu używali gaśnic p[rzeciw] pożarowych”. Szczególnie burzliwe pod względem obyczajowym były SPR w 1971 r. Pod koniec lipca tego roku kpt. H. Domagała z rybnickiej SB pisał: „W rejonie miejsca zamieszkania studentów w Rydułtowach spotkaliśmy się z głosami krytyki okolicznych mieszkańców z powodu zbyt swobodnego zachowania się młodzieży akademickiej, co w pojęciu małomiasteczkowych poglądów na moralność było dla nich zbyt rażące. Przykładów jednak zbyt drastycznych nie zanotowaliśmy”. W sierpniu 1971 r. SB przejęła od MO sprawę wielokrotnego gwałtu na odurzonej uprzednio narkotykami studentce, do którego doszło w jednym z akademików na Ligocie. Pogłoski w formie plotek o tym wydarzeniu notowano następnie na wszystkich uczelniach wyższych w województwie, a nawet w innych częściach kraju.

W meldunki o libacjach obfitował również rok 1972. 13 lipca tego roku zgorszony t.w. ps. „Anna” poinformował bezpiekę, że w DS „Barbara” w Gliwicach, w którym zakwaterowani byli praktykanci z Wrocławia „istnieje ogólny bałagan i rozluźnienie, towarzystwo jest mieszane żeńsko-męskie, libacje, które mają miejsce prawie codziennie ciągną się do 3 nad ranem”. Dwa dni później t.w. ps. „Andrzej” donosił o podobnych ekscesach, tyle że

mających miejsce w akademikach UŚ na Ligocie, gdzie „odbywają się pijackie burdy i awantury”. T.w. ps. „Kalikst” sytuację na Ligocie skomentował w donosie z 18 lipca 1972 r. następująco: „ogólnie na terenie akademika panuje bałagan, szerzy się pijaństwo i gra w karty na pieniądze”.

Pod koniec lipca 1973 r. ppłk A. Kwiecień z Rybnika raportował: „stwierdzono zjawisko nagminnego spożywania dużych ilości alkoholu przez studentów. Częściowo studenci tłumaczyli spożywanie alkoholu tym, że nie było co robić. Ujawniono szereg wybryków chuligańskich dokonywanych najczęściej pod wpływem alkoholu polegających na wyrzuceniu różnych przedmiotów przez okna, wyładowywanie gaśnicy pianowej, gaszenie światła rzucanym obuwiem”. W sierpniu 1974 r. sierżant Marek Przeradzki zanotował: „mieszkańcy dzielnicy Panewniki od dłuższego czasu skarżą się na mieszkańców Domu Studenta przy ul. Medyków na niewłaściwe zachowanie się w godzinach wieczorowo-nocnych, twierdząc, że studenci przebywający na praktykach urządzą różne orgie pijackie, puszczają na całe regulatory radiodbiorniki, a nawet rozbierają się wraz ze studentkami do stroju «adamowego» i przy oświetlonych oknach urządzą tańce”.

Informacje posiadane przez bezpiekę pozwalały jej ustalić, w których konkretnie pokojach akademickich funkcjonują meliny pijackie. Poza tym szczególnie złą sławą okryty był klub studencki „Straszny Dwór” na Ligocie. W dniu 9 sierpnia 1974 r. do SB zadzwonił nawet przewodniczący Rady Uczelnianej SZSP, informując o libacjach i bijatykach mających miejsce w trakcie organizowanych tam wieczorków tanecznych. Burdy, kończące się niekiedy pobiciem studentów, wywoływać miał jednak wówczas tzw. „element miejscowy”.

O niektórych wybrykach studenckich oraz niedopatrzeniach komendantów hułców SB informowała władze uczelni, które następnie wyciągały odpowiednie konsekwencje. W notatce SB z lipca 1975 r. czytamy: „grupa studentów Wydziału Budownictwa i Architektury Politechniki Śląskiej przebywająca na obozie inwentaryzacyjnym w Bielsku Białej po spożyciu większej ilości alkoholu, zanieczyściła pomieszczenia szkoły, w której była zakwaterowana, oraz zniszczyła dekorację sali gimnastycznej. Po uzgodnieniu z naszą służbą rektor Politechniki Śląskiej wyciągnął ostre sankcje dyscyplinarne w stosunku do kierownika zespołu [...] oraz członków grupy”.

Konsumpcja alkoholu w akademikach i klubach studenckich pozostała trwałym elementem SPR. Przyczyn tego zjawiska dopatrywała się bezpie-



„Miejsce studenckiej rozpusty” – wejście do klubu „Straszny Dwór”
w DS nr III w Katowicach-Ligocie

ka w „braku zapewnienia odpowiednio atrakcyjnego programu kulturalnego i zajęć o charakterze wychowawczym, które wypełniałyby czas wolny”. Jednocześnie co do „programu kulturalnego” SB była niezwykle wybredna. W raporcie z października 1979 r. czytamy: „stwierdzono, że w miesiącu wrześniu w trakcie przeglądu w klubie «Kropka» studenckich zespołów amatorskich, których członkowie rekrutowali się spośród studentów I roku Politechniki Śląskiej miał miejsce występ kabaretu Hufca 28. W czasie spektaklu kabaret ten starał się ośmieszyć społeczeństwo, ukazując je jako stado baranów robiących wszystko, co zostanie mu narzucone [...]. W wyniku podjętych przez nas działań władze uczelni nie dopuściły do dalszych występów tego kabaretu i w efekcie został on rozwiązany”.

O godność państwa i narodu walczyła bezpieka nie tylko na werbalnym, ale i wizualnym froncie. W lipcu 1971 r. zastępca szefa rybnickiej SB meldował naczelnikowi Wydziału III: „W trakcie trwania obozu [studenckiego] zwróciliśmy uwagę na niestosowność dekoracji w Domu Kultury kop[alni] Rydułtowy, gdzie studenci wywiesili dwie flagi o barwach narodowych w kompozycji z innymi kolorami płótna zabazgranymi różnymi ekstrawaganckimi napisami i rysunkami. Jedna z flag narodowych miała przy tym wypalony przez środek kształt stopy. O powyższym poinformowaliśmy Se-

kreterza Komitetu Powiatowego [PZPR], który osobiście interweniował w tej sprawie, wzywając do siebie kierownictwo tegoż obozu i nakazując kategorycznie zmianę dekoracji i zaprzestanie wszelkich prób profanacji flag narodowych”.

Syryjczycy, Rosjanie i cinkciarze, czyli międzynarodowe obozy pracy

Bardzo wiele trudu zadawała sobie bezpieka, żeby „zabezpieczyć” pobyt zagranicznych studentów na terenie województwa. Za punkt niewrażliwy uznano tzw. Międzynarodowy Hotel Studencki (MHS), który urządzany był najczęściej w DS „Barbara”, „Solaris” lub „Karolinka” w Gliwicach, ewentualnie na osiedlu Paderewskiego w Katowicach.

Przykładowo w 1974 r., by zapewnić sobie stały dopływ informacji z DS „Barbara”, SB zamierzała nawiązać kontakt z kierownikiem MHS, a także przekazać odpowiednie zadania czterem konfidentom. W planie dotyczącym zabezpieczenia MHS zapisano ponadto: „Z chwilą uzyskania składu personelu hotelu nawiązać kontakty operacyjne z pracownikami recepcji w celu realizacji ochrony hotelu przed wrogą działalnością ze strony obcokrajowców” i dalej: „w stosowanych przedsięwzięciach wykorzystać wszelkie możliwe środki techniki operacyjnej”. Chodziło głównie o podsłuch telefoniczny, względnie kontrolę korespondencji krajowej i zagranicznej.

Przyjęto również zwyczaj każdorazowego przeszukiwania pokoi po wyjeździe grup zagranicznych, a w uzasadnionych operacyjnie wypadkach przeprowadzano „tajne przeszukania”, jeszcze w trakcie ich pobytu. Przede wszystkim bowiem SB dążyła do przeciwdziałania ewentualnemu kolportowaniu przez studentów z tzw. krajów kapitalistycznych obcej literatury o treści antysocjalistycznej. Zjawisko tego typu przybierało jednak w rzeczywistości raczej sporadyczny charakter.

Kierując się podejrzeniami o szpiegostwo, bezpieka podejmowała wobec cudzoziemców również inne działania o charakterze operacyjnym. Gdy w 1979 r. pewien Niemiec z Aachen odbywający praktykę w kopalni „Bobrek” zaplanował sobie wycieczkę po dawnych ziemiach niemieckich przyłączonych do Polski w 1945 r., na którą przygotował sobie mapę ukazującą granice Niemiec sprzed 1939 r., „podjęto działania operacyjne i za pośrednictwem Wydz[iału] III «A» zastrzono kontrolę nad w[yżej]/wym[ienionym] w miejscu pracy, celem uniemożliwienia mu wyjazdu poza nasz teren w trakcie trwania praktyki. Ponadto w sposób operacyjny odebrano mu posiadaną

przez niego mapę, przy czym jest on przekonany, że mapę zgubił”. W 1976 r. zaniepokojenie SB wzbudziło z kolei zachowanie pewnego Szweda i Niemca z RFN, którzy swój pobyt wykorzystywać mieli rzekomo w celu „uzyskania materiałów rzutuujących ujemnie na stosunki panujące w Polsce”, a to dlatego, że „podczas odbywania praktyk na terenie Gliwic i Świętochłowic dokonywali rodzajowych zdjęć fotograficznych między innymi kolejek za cukrem, mięsem i do studzienki po wodę, spowodowanej wynikłą awarią rurociągów”. W tym przypadku SB zwróciła się do służb granicznych, aby te skonfiskowały ciekawskim opuszczającym teren PRL posiadane przez nich filmy. Sami organizatorzy SPR nie zawsze traktowali gości z zagranicy jako potencjalnych szpiegów, co wzbudzać musiało niepokój SB. Pewnej studentce geologii z RFN odbywającej w 1977 r. praktykę na kopalni „Marcel” „starano się pokazać to co kopalnia ma najlepszego, by wyrzucić na niej dobre wrażenie. Głównie tu chodziło o sprzęt techniczny, wyposażenie laboratoriów itp.”

Często docierały do funkcjonariuszy informacje na temat różnego rodzaju incydentów z udziałem przyjezdnych, jak np. w 1974 r., gdy wyrażający się negatywnie o Polsce student z Somalii, w odpowiedzi na uwagę zwróconą mu przez studenta II roku ŚIAM „uderzył go talerzem w twarz”. W 1979 r. donosiciel z akademika „Karolinka” w Gliwicach powiadomił SB o studencie IV roku Wyższej Szkoły Górniczej z Syrii, którego zgwałcić próbował pracownik jednej z gliwickich kawiarni, „jednak ze względu na przewagę fizyczną poszkodowanego, do tego nie doszło”. Odnotowywano też przypadki niezadowolenia obcokrajowców z warunków pracy, jak np. w 1971 r. w Zakładach Transportu Kolejowego i Gospodarki Kamieniem w Boguszowicach, gdzie „student syryjski objawiał publicznie swoje niezadowolenie wykrzykując głośno, iż pochodzi z kraju wolnościowego i nie będzie wykonywał tak ciężkiej pracy, [krzycząc] «Niech Polacy sami pracują». Wypowiadając się głośno, uderzał przy tym łopatą po szynach kolejowych. Studenci francuscy jednak go uspokoiли dając przykłady, że my i inne narodowości również w trudnych warunkach budowaliśmy dla Z[jednoczonej] R[epubliki] A[rabskiej] tamę asuańską. Ponadto zagrożono mu, że jeśli powtórzy swoje ekscesy to zostanie z obozu usunięty”.

Nie były rzadkością przypadki lenistwa. 21 lipca 1976 r. t.w. ps. „DWM” donosił na temat studentów IAESTE: „zachowanie poszczególnych przedstawicieli pozostawia wiele do życzenia. Szczególnie źle zachowują się studenci jugosłowiańscy, ich dzień wygląda następująco: wstają o godz. 8.00, siadają

na poręczach ławek przed DS-em i piją piwo. Na praktyki do zakładu pracy chodzić po prostu nie chcą”. Przybysze z nad Adriatyku uaktywniali się dopiero w nocy kiedy to „zachowywali się hałaśliwie i głośno śpiewali jugosłowiańskie piosenki”.

Byli i tacy, którzy dopiero po posmakowaniu pracy dochodzili do wniosku, że to nie dla nich. Przykładowo z liczącego 25 osób MOP przy kopalni „Jankowice” „dwie studentki francuskie zbiegły po trzech dniach, zaś trzy studentki czeskosłowackie wyjechały przed zakończeniem obozu”. Jeszcze inni wybierali drogę konfrontacji, jak np. w 1971 r., kiedy to „grupa studentów słowackich krytykowała warunki pracy, narzekając na stosowanie w Polsce przestarzałego sprzętu i urządzeń w budownictwie”. SB rejestrowała zresztą przypadki nie wywiązywania się strony polskiej z zapewnienia zagranicznym praktykantom odpowiednich warunków socjalnych. W sprawozdaniu podsumowującym „Praktyki ‘71” napisano: „Brak zainteresowania kierownictwa krakowskiej AGH praktykami studenckimi zanotowano w Przedsiębiorstwie Geologicznym w Katowicach, gdzie skierowano do odbycia praktyki studenta z Wietnamu, bez uzgodnienia warunków płacy, w związku z czym został on bez środków do życia. W tej sytuacji zakład przyznał mu pożyczkę bezzwrotną”.

Trafiały się również pozytywne opinie na temat grup zagranicznych, jednak głównie z KDL. 7 sierpnia 1974 r. ppłk Stanisław Cyba meldował naczelnikowi Wydziału III: „Studenci zagraniczni z krajów demokracji ludowej, odbywający praktyki robotnicze w Częstochowie zaprezentowali godnie swoją postawę. Byli zdyscyplinowani, uczestniczyli we wspólnych spotkaniach koleżeńskich ze studentami polskimi. Podczas obchodów XXX-lecia PRL w Katowicach uczestniczyli w powitaniu tow[arzysza] Breżniewa”.

Oczkiem w głowie bezpieki były grupy sowieckie, którym nie szczędzono słów uznania. W sierpniu 1972 r. ppłk Władysław Syjota pisał: „Na szczególną uwagę zasługują studenci z ZSRR, odbywający praktyki na tut[ejszym] terenie, którzy swoim polskim kolegom świecili przykładem zdyscyplinowania, obowiązkowości i koleżeńskości”. Dokładnie rok później podobną laurkę sporządził mjr A. Wilczek: „Na uwagę zasługuje postawa studentów radzieckich i węgierskich. Byli oni bardzo sumienni, zdyscyplinowani i koleżeńscy. Wykazali się dużym przygotowaniem do pobytu w naszym kraju poprzez znajomość naszej historii, kultury i obyczajów oraz języka polskiego”.

W rzeczywistości koegzystencja Polaków z „przyjaciółmi” z ZSRS nie zawsze układała się po myśli aparatu władzy. O poważnym incydencie SB

dowiedziała się na przełomie lipca i sierpnia 1974 r., m.in. od t.w. ps. „Aleksander”. Rzecz dotyczyła wspólnego dwudniowego wyjazdu turystycznego polskich i rosyjskich studentów do przysiółka (schroniska) „Daniela” w Beskidzie Żywieckim. Mjr Władysław Fabian z Gliwic pisał do naczelnika Wydziału III: „studenci z Doniecka zachowywali się niezgodnie z przyjętymi zasadami w schronisku. Nie myli po sobie naczyń, jedli posiłki przygotowane przez studentów Politechniki Śl[ąskiej], doszło do potracania i wymiany zdań. Według informatorów do bójk nie doszło tylko dlatego, że kierownictwo wyjazdu siłą utrzymało spokój. W drodze powrotnej opiekunowie grupy radzieckiej wracali autobusem, a ich studenci pociągiem. Po wejściu do autobusu doc. Kompan z Doniecka zapytał [studentów polskich] «jakie znaczenie piosenki radzieckiej». Gdy nie otrzymał odpowiedzi, wyraził się następująco: «tyle lat żyjecie w Związku Radzieckim, a nie znacie piosenek». Po chwili studenci polscy zaśpiewali piosenkę «Czapajew Gieroj», co wywołało wielkie oburzenie doc. Kompana. Powiedział, że poinformuje swoje i nasze władze, dodał, że w ZSRR nikt takich piosenek nie ma prawa śpiewać [...]. W czasie podwieczorku pożegnalnego w rozmowie ze studentami [Kompan] powiedział, że zna dobrze Polaków, ponieważ był przez nich postrzelony na Ukrainie, pokazywał blizny po ranach”.

Innym znowu razem, w lipcu 1975 r., na terenie jednej z fabryk w Sosnowcu „grupę studentów radzieckich w liczbie 15 osób pracownicy Sosnowieckiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Przemysłowego obrzucili gwoździami”. W tym przypadku delegacja zakładu oficjalnie przeprosiła studentów sowieckich, a załodze zagrożono poważnymi sankcjami dyscyplinarnymi w razie powtórzenia się tego typu zająć.

Wiele miejsca w meldunkach SB poświęcano nielegalnemu handlowi obcą walutą na terenie MHS. Inicjatywa wychodziła przy tym zarówno ze strony polskich cinkciarzy, jak i gości z zagranicy. Przykładowo w 1976 r. t.w. ps. „DWM” poinformował SB o sprzedaży 90 dolarów i tyluż marek zachodnioniemieckich przez pewną Turczynkę, rok później t.w. ps. „Urszula” doniósł o skupowaniu przez studentów AE forintów i dolarów od Jugosłowian i Włochów.

Pobyтови cudzoziemców przyglądano się także od strony obyczajowej. W notatce z 22 sierpnia 1979 r. czytamy: „Z informacji uzyskanych od k.s. «C.B.» i lustracji książki rejestracji osób odwiedzających DS «Karolinka» wynika, że w ostatnim czasie [...] odwiedzały [go] b[ardzo] często dwie

kobiety [...]. W[yżej]/w[ymienione] odwiedzały najczęściej obywateli Turcji i Egiptu. Kobiety te przychodziły jak stwierdził k.s. C.B. «we wiadomych celach». W 1976 r. zainteresowano się pewnym zakwaterowanym w akademiku Austriakiem, który w jedną z lipcowych nocy gościł u siebie znajomą kobietę, wychodząc z założenia, że skoro w Austrii postępowanie takie nie jest niczym nagannym, to podobnie będzie i w Polsce. Tymczasem w reakcji na jego postępek „kierownictwo DS-u zwołało zebranie wszystkich cudzoziemców, gdzie podano im do wiadomości treść regulaminu DS-u, [i] podkreślono, że po godz. 22.00 nie może przebywać w ich pokojach żadna obca osoba. Przedstawiono również konsekwencje za nieprzestrzeganie regulaminu”.

Nie lepiej od cudzoziemców w Polsce wypadali często Polacy odbywający praktyki za granicą. Informacje na temat zachowania wyjeżdżających studentów uzyskiwała bezpieka dzięki umieszczonym w takich grupach konfidentom. W 1970 r. polscy studenci powrócili do kraju z Merseburga (NRD) jeszcze przed zakończeniem odbywanej tam praktyki. Przyczyną były nieporozumienia z Niemcami na tle wyżywienia i zakwaterowania, wynikające z kolei z tego, że dotyczącą praktyk umowę strona polska podpisała nie czytając jej, gdyż nikt z delegacji nie znał języka niemieckiego. W sierpniu 1975 r. bezpieka dowiedziała się o postawie polskich studentów przebywających w Czechosłowacji: „odmawianie podjęcia pracy na wyznaczonym stanowisku, demonstracyjne, w obecności pracowników zakładów, czytanie gazet wzgl[ędnie] granie w szachy. Były przypadki spóźniania się do pracy i niegrzecznego zachowania wobec opiekunów czechosłowackich. Na terenie hotelu studenckiego dwukrotnie zorganizowano bardzo głośne libacje alkoholowe, sprowadzano kobiety lekkich obyczajów, zakłócano ciszę nocną. W jednym przypadku interweniowała milicja”. Libacje miały też pochłonąć większość pieniędzy wypłaconych studentom z góry przez pracodawcę, w konsekwencji czego strona czeska musiała wspomóc ich finansowo w końcowej części pobytu, gdy zabrakło im na utrzymanie. Z kolei w 1979 r. „podczas jednej z wycieczek do USA przyłapano jednego ze studentów [polskich] na kradzieży i zrobiono o tym program w amerykańskiej TV”.

Sens prowadzenia sprawy obiektowej „Praktyki”

Jakie były konsekwencje i jaki był pożytek z prowadzenia przez SB sprawy obiektowej o kryptonimie „Praktyki” w latach 1970-1980?

W kilkunastu tomach akt zgromadzonych przez pion SB KW MO w Katowicach na przestrzeni lat 70. w ramach SO „Praktyki”, oprócz dziesiątek planów i setek meldunków, znaleźć można również liczne sprawozdania z zawartymi w nich wnioskami na przyszłość. Świadczą one o tym, że SB istotnie dążyła do łagodzenia napięć oraz korygowania mankamentów w funkcjonowaniu SPR.

Przykładowo w 1970 r. postulowano, aby uczelnie zadbały o zagwarantowanie studentom godziwych warunków socjalnych i pracy, już na etapie podpisywania umowy z odpowiednim zakładem. Od zakładów wymagano natomiast, aby wkładały więcej wysiłku we wzbudzenie zainteresowania praktykantów produkcją, poprzez udostępnienie im literatury fachowej i organizowanie dyskusji merytorycznych.

W podsumowaniu „Praktyk '71” ppłk Sikora podkreślał, że praca wykonywana przez praktykantów w dużym stopniu zależy od umiejętności organizacyjnych, pedagogicznych, rzutkości i inicjatywy komendantów hufców. W tym samym sprawozdaniu podpułkownik SB pisał ponadto: „nie należy zatrudniać studentów w przedsiębiorstwach nie mogących im zapewnić odpowiedniego frontu robót i znanych ze złej organizacji pracy, gdyż bałagan panujący w przedsiębiorstwie wpływa demoralizująco na studentów”. Wśród kolejnych dezyderatów znalazły się: dążenie do kwatrowania studentów w miejscowościach, w których są zatrudniani, w celu zaoszczędzenia na środkach transportu, czasie i pieniądzu; unikanie organizowania hufców pracy dla studentów – którzy ukończyli już pierwszy rok – w miesiącu wrześniu, w celu umożliwienia im zdawania egzaminów poprawkowych; zatrudnianie studentów w przedsiębiorstwach o profilu zgodnym z wybraną przez nich specjalnością (np. studentów medycyny w szpitalach jako akuszerów). Zapewne w nawiązaniu do ekscesów notowanych w akademikach Sikora dodawał: „nie należy mieszać ze sobą hufców roku zerowego i pierwszego, ponieważ starsi studenci mają częściowo destrukcyjny wpływ na młodszych, a także [...] dają zły przykład utrudniając utrzymanie dyscypliny”.

W 1972 r. bezpieka diagnozowała kolejne niedopatrzenia: brak prawidłowej ewidencji studentów odbywających praktyki przez działy personalne zakładów; brak odpowiedniej dokumentacji potwierdzającej codzienną obecność studentów na praktyce; częste absencje komendantów hufców; rozdziwki na płaszczyźnie studenci-załoga oraz studenci-dyrekcja.

Wnioski te wyciągano przede wszystkim na podstawie doniesień agencji oraz rozmów prowadzonych z organizatorami SPR. Wartościowi tajni współpracownicy na uczelniach nie tylko informowali SB o funkcjonowaniu tamtejszych organów odpowiedzialnych za koordynowanie SPR – do których to gremiów *nota bene* sami często należeli – lecz udzielali także bardzo konkretnych propozycji w zakresie polepszania funkcjonowania praktyk.

Najcenniejszym pod tym względem informatorem na UŚ był t.w. ps. „Andrzej”. Przykładowo w donosie z 2 września 1971 r. zaatakował on odpowiedzialnego za organizację praktyk Leszka F., zarzucając mu chaos panujący w dokumentacji, w wyniku którego „kieruje się na praktyki robotnicze studentów do miejsc, w których tych praktyk już nie ma” oraz to, że „prawdopodobnie za pieniądze podejmuje [Leszek F.] decyzje o zwolnieniach z praktyk”. „Andrzej” skrytykował też system administrowania SPR, twierdząc, że utworzona w tym celu komisja rektorska jest zbyt liczna, a wielu jej członków nie angażuje się w rzeczywistości w pracę zespołu. Niemal identyczne zarzuty zawarł t.w. w doniesieniu z lipca 1972 r. Tym razem oberwało się pełnomocnikowi rektora ds. praktyk, docentowi K., i podlegającym mu członkom komisji, a także dziekanatom, za sprawą których „stwarzane są doskonałe okazje i pole do działania dla lawirantów, i osób, które unikają odbycia praktyki robotniczej”. Rok później „Andrzej” doniósł nawet na koordynatora wojewódzkiego ds. praktyk studenckich z ramienia Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach, w towarzystwie którego odbywał wizytację SPR w Przedsiębiorstwie Budownictwa Rolniczego w Myszkowie: „w czasie prowadzonej wizytacji jak również rozmów z kierownictwem zakładu w Myszkowie [koordynator] nie zabrał ani jeden raz głosu, nie przejawiał żadnego zainteresowania, a w chwili gdy rozmowy z kierownictwem wchodziły w decydującą fazę, poszedł do samochodu jeść śniadanie”.

W 1977 r. ten sam t.w. ponownie „wieszał psy” na osobie pełniącej funkcję pełnomocnika rektora ds. praktyk, którą była tym razem inż. Urszula B.

Odpowiednikiem „Andrzeja” z UŚ, choć bardziej w swoich opiniach stonowanym i konstruktywnym, był na Politechnice Śląskiej t.w. ps. „Trogłodyta”. W doniesieniu z września 1976 r. zatytułowanym „Ocena przedsiębiorstw zatrudniających studentów Politechniki Śląskiej w ramach SPR-76”, uwzględniając takie kryteria, jak przygotowanie frontu pracy, warunki w zakresie BHP oraz warunki socjalne, podzielił on zakłady na: te, do których nie

ma żadnych zastrzeżeń, a współpracę z nimi należy bezwzględnie kontynuować (siedem zakładów), te, z którymi współpracę można by kontynuować, lecz z zastrzeżeniami (sześć zakładów), oraz te, z którymi współpraca jest niemożliwa (jeden zakład).

Oprócz przytoczonych wyżej merytorycznych konsekwencji prowadzenia SO krypt. „Praktyki”, istniały jeszcze inne, posiadające wartość jedynie z punktu widzenia Służby Bezpieczeństwa. Operacja ta, podobnie jak wiele innych realizowanych przez bezpiekę, stwarzała bowiem doskonałą okazję do pozyskania kolejnych OZI, prowadząc tym samym do rozbudowy potencjału agenturalnego i umocnienia wpływów aparatu represji w społeczeństwie, a zwłaszcza w postrzeganym jako szczególnie newralgiczne. Bez odpowiedzi pozostawić trzeba niestety pytanie o to, w jakim stopniu ten właśnie czynnik inspirował SB do zakładania spraw operacyjnych, w tym zwłaszcza obiektowych, ukierunkowanych często na rozpracowanie dużych grup ludności, jak to miało miejsce w przypadku SO „Praktyki”.

Rozbudowa sieci OZI wpisana była w każdy plan przygotowań operacyjnych do SPR. W 1977 r. Wydział III SB katowickiej KW MO planował pozyskać 12 t.w., w 1980 r. pięciu t.w. i dziesięć k.o. Do 26 sierpnia 1976 r. tylko grupa operacyjna Wydziału III w Będzinie w związku z zabezpieczeniem na swoim terenie międzynarodowego ruchu osobowego w ramach „Praktyk '76” przeprowadziła rozmowy z 37 osobami wyjeżdżającymi za granicę (z tego 31 do tzw. krajów kapitalistycznych), w wyniku których pozyskano aż sześciu nowych t.w. Rok później ta sama grupa operacyjna tylko do 1 sierpnia zdołała pozyskać dziesięć doraźnych OZI, oraz przeprowadzić 15 rozmów operacyjnych ze studentami odbywającymi SPR, w wyniku których „wytypowano dwie osoby, które opracowane będą jako kandydaci na t.w.” W notatce ppor. Macieja Gumulczyńskiego z 7 lipca 1978 r. – a więc z samego początku SPR – dotyczącej wyjazdów zagranicznych z WSWF, czytamy: „do dnia dzisiejszego przeprowadzono 22 rozmowy ze studentami oraz 4 rozmowy z pracownikami naukowymi, wyjeżdżającymi do państw kapitalistycznych w ramach akcji «Lato 78». Z rozmów tych uzyskano 6 informacji mających wartość operacyjną, założono 1 sprawę operacyjnego sprawdzenia krypt. «Janus» oraz pozyskano do współpracy 3 tajnych współpracowników”.

Drugim – po wyjazdach zagranicznych – obiecującym podłożem werbunku agentury w trakcie SPR były dla bezpieki często stosunkowo błahе ekscesy i wykroczenia z udziałem studentów. W lipcu 1977 r. t.w. ps. „Max” do-

niósł, że jedna z nowo przyjętych studentek filologii angielskiej Uniwersytetu Śląskiego „jest w posiadaniu środków odurzających, które zażywa w miejscu zakwaterowania”. Niedługo potem funkcjonariusz SB przeprowadził ze studentką rozmowę, po czym w notatce z 1 sierpnia 1977 r. zapisano: „planuje się wyżej wymienioną opracować w charakterze kandydata na t.w.” Gdy natomiast w 1978 r. SB zarejestrowała przypadki nadużywania alkoholu przez grupę studentów z AE i UŚ, jedynie dwóch spośród nich skreślono z listy praktykantów (co łączyć się też mogło z wyrzuceniem ze studiów), wobec pozostałych zaś „nie spowodowano wyciągnięcia sankcji dyscyplinarnych, ponieważ nadają się oni do wykorzystania operacyjnego”.

Na początku lat 80. władze ludowe odstąpiły od realizacji SPR, zdejmując tym samym z SB ciężar sporządzania kolejnych setek meldunków. Zaoszczędzone dzięki temu esbeckie roboczogodziny miały teraz zostać spożytkowane na rozpracowywanie i zwalczanie „Solidarności”.

Źródła:

Akta z zasobu Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Katowicach: sygn. IPN Ka, 07/195 (SO „Praktyki ‘70”), IPN Ka 07/193 (SO „Praktyki ‘71”), IPN Ka 07/239 (SO „Praktyki ‘72”), IPN Ka 07/241 (SO „Praktyki ‘73”), IPN Ka 07/232 (SO „Praktyki ‘74”), IPN Ka 030/52 (SO „Praktyki ‘75”), IPN Ka 030/112 (SO „Praktyki ‘76”), IPN Ka 030/115 (SO „Praktyki ‘77”), IPN Ka 030/133 (SO „Praktyki ‘78”), IPN Ka 030/137 (SO „Praktyki ‘79”), IPN Ka 030/152 (SO „Praktyki ‘80”).

Ryszard Mozgol

„Jastrzębie porządki” w gołębniku

W grudniu 1968 r. na biurko naczelnika II Wydziału Komendy Wojewódzkiej MO (KW MO) w Katowicach trafiło pismo z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (MSW) dotyczące rozpoczęcia przygotowań do akcji zabezpieczenia planowanej na przełom stycznia i lutego 1969 r. XI Międzynarodowej Olimpiady Gołębi Pocztowych, która miała odbyć się Wojewódzkim Parku Kultury i Wypoczynku (WPKiW) w Chorzowie. W przesłanym piśmie zawierającym ramowy plan olimpiady i listę kilkudziesięciu uczestników pochodzących z „k.k.” (krajów kapitalistycznych), płk L. Skupiński z MSW zobowiązał SB z wojewódzkich komend w Katowicach i Krakowie do „dokonania niezbędnych przedsięwzięć celem zorganizowania wszechstronnej kontroli operacyjnej” uczestników z Europy Zachodniej i USA. Korespondencja oznaczała początek drobiazgowych przygotowań do jednej z najbardziej kuriozalnych akcji katowickiego aparatu bezpieczeństwa – roztoczenia wywiadowczej kurateli nad międzynarodowym środowiskiem gołębiarzy.

Nadzwyczajna czujność Służby Bezpieczeństwa wyrastała z paranoicznego strachu ekipy partyjnej Władysława Gomułki przed wszelkimi obcymi wpływami i z przekonania o hamującym wpływie zachodnioeuropejskich czynników na budowę polskiego socjalizmu. Jest raczej mało prawdopodobne, aby funkcjonariusze SB wierzyli w możliwość skutecznego wykorzystania przez wrogie wywiady gołębi pocztowych do nowoczesnej pracy szpiegowskiej. Mimo to przypomniano w artykule zamieszczonym w „Trybunie Robotniczej” (1 luty 1969 r.), że gołąb jest przekaźnikiem informacji – „skrzydlaci pocztylioni przynosili nawet mikrofotografie czasopism oraz miliony prywatnych wiadomości!” Warto podkreślić, że w kraju totalnej kontroli przepływu informacji gołąb mógł być jednym z nielicznych środków przekazu wiadomości pozbawionej partyjno-państwowej kontroli... A to mogło budzić niepokój władzy.

Jednak do wnikliwego „zabezpieczenia” XI Olimpiady Gołębi Poczтовых skłaniała bardziej waga imprezy. PRL była pierwszym państwem bloku socjalistycznego organizującym imprezę gołębiarską o tej randze. Przygotowania do olimpiady rozpoczęto trzy lata przed jej terminem, kiedy Międzynarodowa Federacja Miłośników Gołębi Pocztowych (FCI – Federation Colomophile Internationale) przekazała Polskiemu Związkowi Hodowców Gołębi Pocztowych (PZHGP) prawo do zorganizowania imprezy. W 1966 r. rozpoczęto budowę okazałego Pawilonu Związkowego usytuowanego w WPKiW w Chorzowie, który ostatecznie otwarto w maju 1968 r. Kolejnym krokiem było powołanie Polskiego Komitetu Olimpijskiego przy PZHGP oraz Komitetu Organizacyjnego XI Międzynarodowej Olimpiady Gołębiarskiej. Patronat honorowy nad przygotowywaną imprezą objął sam „syn Ziemi Śląskiej” gen. Jerzy Ziętek, członek Rady Państwa i Przewodniczący Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach. Komitet Honorowy zapelnili przede wszystkim ówczesni partyjni i związkowi oficjele szczebla wojewódzkiego i miejskiego.

We wrześniu 1968 r. Komitet Organizacyjny olimpiady rozesłał zaproszenia do organizacji narodowych wchodzących w skład FCI, w tym licznych związków gołębiarskich z krajów kapitalistycznych. Przygotowana olimpiada miała, pomimo rywalizacji pomiędzy Wschodem a Zachodem, przebiegać w ciepłej, rodzinnej atmosferze „przyjaźni i braterstwa między hodowcami świata”, pozbawionej politycznych demonstracji o charakterze antyradzieckim, antysocjalistycznym lub antypolskim, o co zadbać mieli znanymi sobie sposobami funkcjonariusze SB.

Rozpoczęte przez nich w styczniu 1969 r. rozpoznanie operacyjne obejmowało kilka obszarów zainteresowań. Miało na celu budowę podstaw sieci informacyjnej (czyli usytuowanych w newralgicznych punktach konfidentów) wśród organizatorów olimpiady, dzięki której pozyskiwanoby z pierwszej ręki podstawowe informacje potrzebne do konstruowania konkretnych działań bezpieczeństwa. W dalszej części funkcjonariusze stawiali sobie jako cel rozpoznania dokładne ustalenie planu przebiegu imprezy i określenie liczby zagranicznych gości znajdujących się w sferze zainteresowań aparatu bezpieczeństwa. Dopiero po uzyskaniu tych informacji można było rozpocząć właściwe przygotowania wywiadowcze.

Już w pierwszym tygodniu stycznia 1969 r. uzyskano od organizatorów wykaz delegatów FCI oraz podstawowe informacje dotyczące liczby gości

zagranicznych i turystów deklarujących uczestnictwo w olimpiadzie. Jerzy S. traktowany przez SB błędnie jako szef całego Komitetu Organizacyjnego olimpiady, w czasie spotkania z funkcjonariuszem SB kpt. R. Wanikiem zobowiązał się do przekazania w ciągu najbliższych dni karnetów upoważniających esbeków do wstępu na wszystkie imprezy w ramach olimpiady. Dzień później podobne spotkanie odbyło się z „obyw. P.”, kierownikiem spraw społecznych przy Wojewódzkiej Radzie Narodowej w Katowicach, odpowiedzialnym za współpracę z Komitetem Organizacyjnym, który dostarczył SB wykaz delegatów FCI deklarujących uczestnictwo w olimpiadzie. Towarzysza P. uczyniono kontaktem operacyjnym (k.o.) odpowiedzialnym „w zakresie kontroli cudzoziemców”. W toku prowadzonych czynności uzyskano od kontaktów służbowych (k.s.) pracujących w hotelach informacje orientacyjnie określające liczbę cudzoziemców wybierających się do Katowic na olimpiadę. Z hotelu „Katowice” k.s. „Barbara” informował, że „Orbis” zamówił 200 miejsc hotelowych, a Polski Związek Hodowców Gołębi Poczтовых złożył zapotrzebowanie na 67 miejsc. Z kolei k.s. „Marcin” donosił, że w hotelu „Polonia” zostało zamówionych przez „Orbis” 100 jednoosobowych pokoi na czas trwania imprezy. Rozpoznanie operacyjne prowadzone przez katowicką SB zostało zakończone ostatecznie około połowy stycznia 1969 r. W szczegółowych dokumentach określano dokładną liczbę 69 osób, jako gości zaproszonych przez władze PZHGP z 25 państw, oraz oszacowano na ok. 600 liczbę turystów z krajów kapitalistycznych, planujących przybycie do Katowic na przełomie stycznia i lutego 1969 r. Ostatecznie przyjęto, że Katowice odwiedzi 138 turystów z RFN, 260 z USA, 134 z Wielkiej Brytanii i 12 z Francji. Traktowano te liczby jako szacunkowe i niepełne. 8 stycznia Polski Komitet Olimpijski PZHGP w Katowicach przekazał w trybie natychmiastowym (napisany w tym samym dniu) szczegółowy plan imprezy zawierający dokładnie rozpisane godziny trwania obrad i zawodów oraz osoby odpowiedzialne ze strony organizatorów za realizację kolejnych części. Przekazano również imienne listy Zarządu FCI (osiem osób), kompletu sędziowskiego (pięć osób), delegatów FCI z Austrii, Francji, Holandii, NRD, RFN, Węgier i Wielkiej Brytanii, specjalnych gości – międzynarodowego tłumacza specjalistycznego federacji Wilhelma Otterpohla z RFN i emerytowanego pułkownika Armii Francuskiej barona Jacquesa Revona, zasłużonego działacza federacji gołębiarskiej. Wyposażeni w podstawowe informacje esbecy przystąpili do zaawansowanego planowania operacyjnego.

Przybycie do Katowic tak dużej liczby obywateli krajów kapitalistycznych samo w sobie stwarzało, według SB, zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa socjalistycznego. Dodatkowe zagrożenie wynikało z potencjalnego nawiązywania przez nich kontaktów z obywatelami PRL (Dyrektoriat FCI planował spotkanie z polskimi hodowcami), a co za tym idzie, „rozsiewania wrogich poglądów” i „wypaczania marksistowsko-leninowskiego postrzegania świata”. W tym celu od grudnia 1968 r. poddano ścisłej kontroli wszelką korespondencję wychodzącą z województwa katowickiego do krajów kapitalistycznych i przychodzącą stamtąd na Górny Śląsk. Szczególną uwagę przywiązywała bezpieka umieszczona, wbrew zapisowi konstytucji PRL gwarantującej tajemnicę korespondencji, w placówkach pocztowych (Biuro „W”) do wiadomości zawierających informacje na temat planowanych spotkań turystów przybywających na Górny Śląsk w celu udziału w olimpiadzie z mieszkańcami tujejszych miast. 21 stycznia 1969 r. mjr A. Wierczyński w korespondencji do naczelnika Wydziału III Biura „W” MSW w Warszawie postulował w związku z planowaną olimpiadą wzmożenie kontroli korespondencji na obszarze województwa katowickiego, stwierdzając: „Interesują nas wszelkie materiały w których jest mowa o umawianiu w tym okresie spotkań, kontaktów, awizowania przyjazdów czy innych danych o znaczeniu operacyjnym”. W styczniu przekazano katowickiej bezpiece fotokopię przechwyconego listu z RFN, skierowanego do mieszkańca Katowic dra T. P., zawierającego informacje o przyjeździe na olimpiadę znajomej z Dortmundu, która przywiezie większą ilość potrzebnych lekarstw. Jako że w liście podano datę spotkania, bezpieka skierowała sprawę do dokładniejszego rozpoznania przez grupę III-B (obserwacja zewnętrzna). Podobny przypadek dotyczył listu przewodniczącego Komitetu Olimpijskiego i aktywnego działacza PZHGP Józefa Paliczki z Piasku koło Pszczyny, którego list do specjalnego gościa olimpiady Donalda Smartha z Londynu został przechwycony przez SB. Prywatny list, pełen przyjacielskich serdeczności, zawierał informacje na temat spotkania na olimpiadzie, w czasie którego Paliczka miał odebrać niedostępne na polskim rynku tabletki Aspro, potrzebne chorej żonie. Przewodniczący, zmuszony kilkakrotnie w czasie przygotowań do rozmów z esbekami (traktowano go jako źródło informacji), nie miał pojęcia, że w tym samym czasie znalazł się pod obserwacją, ponieważ wobec niego bezpieka rozpoczęła działania operacyjne.

20 stycznia 1969 r. odbyła się narada oficerów SB, w czasie której przyjęto szczegółowy plan „zabezpieczenia wewnętrznego” imprezy. W zachowa-

nym kilkunastostronicowym planie zabezpieczenia przesłanym do akceptacji MSW w Warszawie określano przyczyny podjęcia tak szerokiej akcji SB. Stwierdzano, że w związku z niespotykanym zainteresowaniem przyjazdami do PRL osób z krajów kapitalistycznych służby zmuszone są do podjęcia stosownych środków ostrożności i traktowania pod względem operacyjnym imprezy całościowo. Planowano roztoczenie specjalnej kurateli nad obywatelami PRL planującymi kontakty z osobami z Zachodu. Wcześniej prowadzone rozpoznanie operacyjne określało, że w sferze zainteresowań SB znajduje się co najmniej 40 obywateli „k.k.” planujących przybycie do Polski. Stwierdzano w dokumencie, że dane są wysoce niekompletne i mogą okazać się znacznie wyższe.

W czasie narady opracowano szczegółowy plan przedsięwzięć operacyjnych i operacyjno-technicznych SB na czas trwania XI Międzynarodowej Olimpiady Gołębiarskiej odbywającej się w Katowicach i Chorzowie. Podstawą działań operacyjnych było zdobycie odpowiedniej agentury, dającej dostęp do pożądaných i rzetelnych informacji. Jedną z takich grup byli organizatorzy olimpiady i tłumacze, niejako z urzędu zmuszeni do przekazywania wszystkich interesujących bezpieczeństwo wiadomości. Ośmiuosobowa grupa tychże była odpowiedzialna za zbieranie informacji o zainteresowaniach, poglądach, wypowiedziach, kontaktach i ewentualnych zamiarach gości, które w formie relacji miały być przekazywane odpowiedniemu oficerowi SB odpowiedzialnemu za utrzymywanie oficjalnego kontaktu z organizatorami. W toku dalszego postępowania, odpowiedzialny za tę część działań wywiadowczych kpt. R. Wanik, oparł się głównie na czterech „źródłach informacyjnych” z kręgów organizacyjnych. Niektórzy organizatorzy z niezwykłą wręcz gorliwością przekazywali bezpieczeństwo różne informacje, nierzadko zwracając uwagę na podejrzanych obcokrajowców. Dzięki takiej „obywatelskiej postawie” bezpieczeństwa zainteresowała się opiekunem polskich ekip na wcześniejszych olimpiadach gołębi pocztowych w Londynie i Wiedniu, propagatorem polskiego gołębiarstwa za granicą, polonusem z USA Józefem Żebrowskim.

Znacznie poważniejsze zadania stawiano starannie wyselekcjonowanej 23-osobowej agenturze, dobieranej głównie „po zagadnieniu niemieckim”. Zadaniem ich była nie tylko kontrola zachowań gości i uczestników olimpiady, ale też infiltracja cudzoziemców, polegająca na zbieraniu informacji o ich ewentualnych kontaktach prywatnych w PRL oraz rozpracowywanie „prawdziwego” charakteru przyjazdu. Szczególnie cennymi agentami na tym

odcinku byli konfidenti: „Zdzisław”, gołębiarz często przebywający w Niemczech, „Achim” z Rudy Śląskiej, działacz dobrze znający tajniki organizacji imprez gołębiarskich oraz skierowany dodatkowo do pomocy w ostatnich dniach przed olimpiadą czeski gołębiarz z Czeskiego Cieszyna, deklarujący chętnie współpracę w zamian za załatwienie przez bezpiekę czteroosobowego pokoju hotelowego w Katowicach. Agentura miała za zadanie również wyławianie spośród obywateli krajów kapitalistycznych potencjalnych kandydatów do rozpracowania kontrwywiadowczego.

W celu lepszej kontroli nad uczestnikami olimpiady, gośćmi PZHGP i zagranicznymi turystami, SB zorganizowała jeszcze trzy dodatkowe odcinki działań operacyjnych. Kuratela esbeków nie ograniczała się do czasu i terenu samych rozgrywek olimpijskich, kongresu olimpijskiego czy wystawy gołębi, ale rozciągała się na cały czas pobytu w PRL i ingerowała mocno w sferę prywatną gości. Powodem rozpracowywania były potencjalnie niebezpieczne poglądy lub zachowania miłośników gołębi, do których SB zaliczała pracę zawodową w wojsku lub policji na Zachodzie, odmowę powrotu do kraju albo ucieczkę za granicę, jak również zarzut dezercji z LWP. Wydział II katowickiej KW MO (zajmujący się kontrwywiadem) uruchomił agenturę znajdującą się w bazie hotelowej Katowic i Chorzowa (18 informatorów), którą sama bezpieka określała jako „wyczuloną” i „przeszkoloną w zakresie czynności operacyjnych”. Pracować razem z nią miały w każdym hotelu specjalne czteroosobowe grupy esbeków złożone z funkcjonariuszy Wydziału II i Wydziału „T” (techniki operacyjnej), przeszkolone w zakresie tajnych rewizji i penetracji pokoi. Wydział „T” KW MO Katowice miał za zadanie przygotowanie maksymalnej liczby pomieszczeń hotelowych wyposażonych w aparaturę podsłuchową. Odpowiedzialny za zabezpieczenie tego odcinka pracy operacyjnej por. Edward Mucha z Wydziału II został zobowiązany do rozciągnięcia całkowitej kontroli nad hotelowymi recepcjami, teleksami i punktami telefonicznymi. Z podległych mu hoteli nie mogła wydostać się żadna informacja, której nie znałaby SB. Jako że podejrzewano, iż zagraniczni goście będą starali się nawiązać niepożądane kontakty z ludnością województwa katowickiego, powołano dwie specjalne grupy Wydziału „B” (obserwacji zewnętrznej) odpowiedzialne za bezpośrednią obserwację podejrzanych w terenie.

Roztoczono ponadto kuratelę nad gośćmi i turystami w czasie wycieczek. Wówczas pilnowało „porządku” 14 wyselekcjonowanych pilotów „Orbisu”

znajdujących się w gestii warszawskiej bezpieki. Nie zapomniano również o dziennikarzach i korespondentach zagranicznych odwiedzających Katowice w czasie trwania olimpiady. Agentura dziennikarska znajdująca się pod opieką Wydziału II miała przy pomocy czterech konfidentów kontrolować przepływ informacji medialnych za granicę, neutralizować negatywne komentarze oraz poszukiwać wśród zachodnioeuropejskich dziennikarzy ewentualnych kandydatów do zwerbowania. Najważniejszą rolę odgrywał na tym odcinku konfident ps. „Sportowiec”, dzięki któremu bezpieka miała swobodny dostęp do punktu teleksowego w redakcji pisma „Sport”. Warto zwrócić uwagę czytelnika, że SB uruchomiła prawie 70-osobową agenturę, pomijając siły mundurowej MO i funkcjonariuszy tajnej SB, w celu kontroli i rozpracowywania – jak sama podawała – ponad 40-osobowej grupy cudzoziemców – pasjonatów gołębi pocztowych.

W trakcie opisywanej odprawy powołano zespół odpowiedzialny za zabezpieczenie olimpiady, na czele którego stanęli: zastępca naczelnika Wydziału II mjr A. Wierczyński, jako koordynator wszystkich działań operacyjnych, kpt. W. Popiołek, kierownik grupy VII Wydziału II odpowiedzialny za zabezpieczenie operacyjne olimpiady i nadzór nad dziennikarską agenturą oraz wspomniani już kpt. R. Wanik i por. E. Mucha. Decyzje podjęte 20 stycznia uruchomiły lawinę szczegółowych rozkazów.

Jeszcze tego samego dnia naczelnicy milicyjnych wydziałów ruchu drogowego Katowic, Chorzowa, Gliwic, Zabrze i Pszczyny zostali zobowiązani do opracowania w ciągu tygodnia szczegółowych planów swoich działań, z uwzględnieniem „zabezpieczenia terenu przed ewentualną penetracją przez obcokrajowców”. 21 stycznia mjr Wierczyński skierował pismo do naczelnika Wydziału „T”, wzywając go do przygotowania „pomieszczeń opracowanych technicznie” w hotelach: „Katowice”, „Polonia”, „Centralny”, „Orbis-Monopol” i Domu Turystycznym PTTK w Chorzowie, gdzie mieli zostać zakwaterowani uczestnicy olimpiady i turyści zagraniczni. Kilka dni później bezpieka dysponowała już dziesięcioma „przygotowanymi” pokojami w hotelu „Katowice” i dziesięcioma w hotelu „Orbis-Monopol”, które mogły znajdować się pod pełną kontrolą SB. Mimo tego zwrócono się jeszcze do MSW z propozycją założenia podsłuchu w pokojach 13 gości zagranicznych, wśród których znaleźli się m.in.: gość honorowy W. Otterpohl, delegaci W. Merkel i E. Wilde, wspomniany już D. Smarth czy zadenuncjowany J. Żebrowski z USA.

W związku z planowanymi wycieczkami gości oraz turystów do Krakowa, katowicka SB zwróciła się do swej krakowskiej odpowiedniczki z poleceniem zabezpieczenia imprez na tamtejszym terenie.

Na czoło „zagrożeń” wysuwał się już w fazie przygotowań ewentualny „rewizjonistyczny” charakter kontaktów pomiędzy turystami z Niemiec a obywatelami PRL. Wierczyński, zwracając się również 21 stycznia do biura „W” Wydziału III MSW w Warszawie z prośbą o pełną kontrolę korespondencji przychodzącej z zagranicy na Górny Śląsk i wychodzącej z terenu województwa katowickiego na Zachód, stwierdzał: „Z danych operacyjnych wynika, że większość osób awizujących swój przyjazd pochodzi, względnie zamieszkiwało na tutejszym terenie, zwłaszcza w odniesieniu do przyjazdów z NRF i USA”. To mogło według rachub partii i bezpieczeństwa spowodować wzrost sympatii proniemieckich wśród Ślązaków i tak podejrzewanych o skrywaną nielojalność wobec Polski. Służby dyplomatyczne PRL rychło rozwiązały to nadzwyczajne zagrożenie dla polskości Górnego Śląska ze strony „niemieckiego rewizjonizmu”.

Napływające regularnie w szyfrogramach informacje rezydentur wywiadu działających przy placówkach dyplomatycznych PRL i informacji Wydziału Kontroli Ruchu Granicznego KW MO w Katowicach zwracały uwagę na zagrożenie „rewizjonistyczne” już w fazie rozpoznania operacyjnego. W szyfrogramie nr 330 z Berlina, odebrany 10 stycznia 1969 r., informowano, że wnioski wizowe w celu udziału w gołębiarskiej olimpiadzie złożyła 157-osobowa grupa turystów z RFN, z której aż 115 osób pochodziło z obszaru Śląska, a dwie osoby posiadały paszporty uchodźców. „Z uwagi na powyższe proponujemy udzielić odmowy całej grupie bez występowania [...] o decyzje wizowe” – czytamy w zachowanym szyfrogramie. Trzeba było to jednak zrobić w „białych rękawiczkach”. Od 17 do 22 stycznia 1969 r. trwały w Düsseldorfie przedolimpijskie obrady Zarządu Federacji (FCI), na których, prócz akceptacji programu XI Olimpiady, poruszono problem dyskryminującego traktowania w procedurach wizowych obywateli Zachodnich Niemiec. Polscy organizatorzy zmuszeni zostali do tłumaczenia się z decyzji, na które nie mieli wpływu, a za którymi stały realizujące dyrektywy partii MSZ i MSW. W sytuacji, kiedy wize posiadał już obywatele wszystkich krajów wybierających się turystycznie na olimpiadę do Chorzowa, brak takowych u turystów zachodnioniemieckich miał jasne oblicze polityczne. Drobiazgowość działań i przeciąganie procedur wizowych spowodowały

ostatecznie 27 stycznia odwołanie przyjazdu do Polski 157-osobowej grupy turystów z RFN, co bezpieka poczytywała sobie za swój szczególny sukces. Do czasu. Następnego dnia kpt. R. Wanik został poinformowany przez organizatorów o „oficjalnej” rezygnacji reprezentantów Szwecji z udziału „z przyczyn politycznych” w XI Olimpiadzie Gołębi Poczтовых. Decyzja Szwedów wywołała liczne komentarze wśród organizatorów i kierownictwa FCI. Dla strony polskiej była poważnym policzkiem i ciosem w propagandowy wymiar całej imprezy, która miała przebiegać bez politycznych wstrząsów. Decyzję szwedzkiej reprezentacji gołębiarskiej utajniono, rozpuszczając w katowickim dzienniku „Wieczór” kłamliwą informację o rezygnacji Szwedów z udziału w olimpiadzie ze względu na stwierdzoną u ptaków chorobę. Na tym kłopoty się nie skończyły. 29 stycznia zrezygnowała z przyjazdu do Katowic austriacka grupa turystów, podając jako przyczynę zbyt wysokie koszty nałożone przez „Orbis” (20 dolarów za dzień), bez zapewnienia wyżywienia na miejscu. Bezpieka obawiała się, że zdesperowani gołębiarze z Austrii przyjadą na Śląsk indywidualnie (płacąc 3 dolary za dzień!), uniemożliwiając tym samym dokładną infiltrację. Sytuację uratowali obywatele Jugosławii, którzy niespodziewanie zapowiedzieli przyjazd, zapelniając lukę po Szwedach, oraz 500-osobowa grupa turystów z Czechosłowacji. Ta druga, mając jeszcze świeżo w pamięci niedawne zajścia „Praskiej Wiosny” i interwencję wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji, została 29 stycznia objęta pełną obserwacją wywiadowczą SB.

Czynniki kreujące w PRL rzeczywistość społeczno-polityczną starały się wykorzystać do celów propagandowych każdą imprezę krajową i międzynarodową. Z założenia neutralne politycznie zawody sportowe zaczęły być nasycone treściami ideologicznymi i politycznymi. Przyznanie w 1966 r. prawa do organizacji olimpiady Polsce, jako pierwszemu państwu socjalistycznemu, trzy lata później miało łatwy do wyzyskania kontekst polityczny, o którym nie zapomniano. O organizację tej imprezy ubiegały się razem z Polską RFN i Czechosłowacja, państwa, z którymi PRL w tym okresie nie posiadała zbyt dobrych relacji. Z lubością zatem podkreślano w prasie, że to Polska Ludowa otrzymała honor organizacji XI Olimpiady, nie zaś Niemcy lub Czesi. Impreza miała również czytelny charakter legitymizacyjny dla władzy, objawiający się nie tylko półjawnym patronatem władz partyjnych, miała również podkreślać legalność władzy komunistycznej wieńczącej historyczny rozwój Polski. Świadczą o tym treści propagandowe zawarte w okolicznościowym folderze

wydanym dla gości olimpijskich w trzech językach – angielskim, francuskim i polskim. Prócz zwykłych w takim przypadku informacji o samej olimpiadzie, organizatorze imprezy PZHGP czy miastach, w których odbywają się zawody, folder zawierał informacje historyczne: o odzyskaniu niepodległości w 1918 r. dzięki „rewolucyjnym przeobrażeniom w Rosji”, o słabości i wstecznictwie II Rzeczypospolitej, o doniosłej roli ZSRS w odzyskaniu wolności przez Polskę w latach 1944-1945. Na tym tle zaprezentowano wyrastające z socjalizmu osiągnięcia społeczne i ekonomiczne PRL, wskazując korzyści, jakie „daje ustrój socjalistyczny ludziom pracy”. W propagandowym zapale nie omieszkało odnieść tych sukcesów i korzyści do samego gołębiarstwa, starając się ukazać tradycję historyczną oraz liczebność i prężność ruchu gołębiarskiego na Górnym Śląsku (osiem tys. zrzeszonych na 25 tys. w całej Polsce – dane z 1968 r.) jako efekty wpływu ludowej demokracji. Zofia Zaręba na łamach „Trybuny Robotniczej”, przypominając, że Śląsk jest kolebką polskiego gołębiarstwa podkreślała, że sport ten wyrasta z plebejskiej, robotniczej pasji, która mogła w pełni rozwinąć się dopiero wraz ze zmianą ustroju. W porównaniu z czasami przedwojennymi ruch gołębiarski uzyskał większe możliwości rozwoju w Polsce Ludowej, co zdaniem dziennikarki było spowodowane spadkiem cen gołębi powodującym upowszechnienie sportu. Organizatorzy XI Olimpiady liczyli, że wystawa gołębi ściągnie do Chorzowa co najmniej 10 tys. widzów z całej Polski. Na taką widownię gołębie na Śląsku mogły liczyć niezależnie od ustroju społeczno-politycznego.

28-29 stycznia 1969 r., wraz z przybyciem do Katowic pierwszych zagranicznych gości, bezpieka rozpoczęła szeroko zakrojone działania tzw. zabezpieczania XI Międzynarodowej Olimpiady Gołębi Poczтовых. Akcję zaczęto od rozmieszczenia gości według klucza SB w przygotowanych technicznie pokojach hotelowych. Aby nie nastąpiła fatalna w skutkach pomyłka, skrupulatnie odnotowano w hotelu „Polonia” pobyt w tym samym czasie holenderskiego zespołu jazzowego „Rekord”, którego członkowie mogli przez funkcjonariuszy zostać omyłkowo wzięci za gołębiarzy. Okazało się, że ostatecznie do Polski przyleciało lub przyjechało 262 goście zagranicznych z „k. k.” (m.in.: 48 z Belgii, 13 z Anglii, pięciu z RFN, trzech z Francji, trzech z Austrii), w tym największa grupa – 146-osobowa z USA.

Piastujący godność Wysokiego Protektora olimpiady Jerzy Ziętek nie znalazł czasu na spotkanie z przedstawicielami FCI, w związku z czym 30 stycznia uroczystego powitania gości w gmachu Wojewódzkich Komisji Związ-

ków Zawodowych w Katowicach dokonał przewodniczący prezydium WRN Jan Grzebiela, który: „Wyraził nadzieję, że obecna Olimpiada Gołębi Poczтовых, zorganizowana na Śląsku, będącym kolebką tego pięknego sportu stanie się dla czołowych hodowców świata okazją do wymiany doświadczeń, a równocześnie przyczyni się do zacieśnienia przyjaznych kontaktów między ludźmi o podobnych zainteresowaniach i zbliżenia krajów, które reprezentują”. Prezes FCI Wilfried Staes z Belgii, w inauguracyjnym przemówieniu, odnotowując z uznaniem największą od 20 lat obsadę olimpijską, nawiązał do idei gołąbka pokoju, który jest symbolem przedstawiającym czyste intencje idei sportowej, jak również obiektem inspiracji dla gołębiarzy.

Po otwarciu władze i delegaci FCI przystąpili do narady programowej (Kongresu Olimpijskiego), w czasie której miano wybrać nowy zarząd, rozważyć włączenie do federacji nowych państw, rozważyć plany dotyczące kolejnej olimpiady, zmiany przepisów w klasie „Standard” oraz wspólny polsko-belgijski wniosek zobowiązujący państwa członkowskie do udziału co dwa lata w olimpiadzie. Mniej więcej w tym samym czasie w WPKiW w Chorzowie rozpoczęto olimpijską rywalizację w klasie „Standard” i „Sport”. Słynny sędzia olimpijski Paul Brimeyer z Luksemburga obejrzał pod kątem urody ponad 400 ptaków, dokonując ostrej selekcji wśród prezentowanych okazów i najwyżej oceniając – jak się okazało w czasie ogłoszenia wyników – gołębie holenderskie. W tym samym dniu goście olimpijscy spotkali się z przedstawicielami MRN w Chorzowie, natomiast wieczorem na ich cześć Komitet Olimpijski PZHGP wydał wystawną kolację, w czasie której ogłoszono wyniki i wznoszono toasty zaakceptowane przez partyjną cenzurę. Polsce przypadło piąte miejsce. W czasie, kiedy trwały obrady i rozgrywki olimpijskie, działania operacyjne szły już pełną parą.

Lista osób znajdujących się pod specjalnym nadzorem SB ulegała stopniowemu wydłużaniu, a jej podstawę stanowili początkowo goście zza Atlantyku. Dzięki hotelowej agenturze i podsłuchom funkcjonariusze SB otrzymali kilka sygnałów dotyczących zapytań przez obywateli PRL o obcokrajowców, które skrupulatnie sprawdzali agenci Wydziału „B”. Odnotowano również „trudne do zrozumienia” dla esbeków zainteresowanie Polek Amerykanami. Z krakowskiego lotniska bezpieczeństwa otrzymała alarmującą informację o próbie wwiezienia do PRL dużej ilości dewocjonaliów przez policjanta z Pensylwanii Josepha Gydosha (4,7 kg dewocjonaliów) i Franka Grabowskiego (ok. 4,5 tys. obrazków). Obrazki ze świętymi skonfiskowały służby celne, tym samym

uniemożliwiając rozpowszechnianie „wrogiej, klerykalnej propagandy”, a SB zintensyfikowała kontrolę nad Amerykanami polskiego pochodzenia. W notatkach zapracowani funkcjonariusze ubolewali, że Amerykanie kontaktują się z miejscowymi i chętnie takie znajomości podtrzymują. Zwracano jednak uwagę, że przytłaczająca większość kontaktów to spotkania rodzinne i dawne przyjaźnie, w czasie których pije się wódkę, je zakąskę, ale niewiele rozmawia się na tematy polityczne.

Funkcjonariusze Wydziału „B” pracujący w terenie mieli sporo pracy. Traktowany jako duże zagrożenie polonus z USA Ignatus Bielenda nie ukrywał, że przyjechał do Polski nie tyle ze względu na gołębie, co swoich bliskich, wśród których był również proboszcz pewnej parafii. Bezpieka starała się kontrolować wycieczki Bielendy po kraju, ponieważ „nawiązuje bardzo podejrzane kontakty”, dopóki funkcjonariusze nie pomylili miejscowości. Amerykanin wybierał się w odwiedziny do proboszcza parafii w Lisiej Górze koło Tarnowa, którą bezpieka pomyliła z Łysą Górą (kojarzoną z sabatami czarownic). Tropiony zatem „urwał się ze smyczy”. By zrekompensować sobie porażkę, 1 lutego dokonano tajnego przeszukania w hotelowych pokojach zajmowanych przez Bielendę oraz, przy okazji, dwóch obywateli USA „przemycających” dewocjonalia. Niczego intrygującego jednak nie udało się znaleźć.

Uwagę funkcjonariuszy przykuły „wyrafinowane” przypadki, jak dostarczona przez jednego z konfidentów informacja o próbie przekazania korespondencji za granicę przy pomocy jednego z angielskich gości. Skrupulatnie sprawdzono nie tylko poddanego królowej, który przestraszony odmówił wywiezienia z PRL przesyłki, ale przede wszystkim rozpoczęto dokładne rozpracowywanie nadawcy listu – brata jednego z kelnerów orbisowskiego hotelu. Z kolei kontakt poufny „Marysia” przekazał bezpiece ważną informację o „wrogiej robocie ideologicznej” Zygmunta I. z Bogucic, który wraz ze swoim „bardzo bogatym” bratem z USA – Harrym – poszukiwali na terenie Krakowa, a później Katowic, rzemieślnika potrafiącego zrobić kilkaset znaczków okolicznościowych poświęconych tematyce Monte Cassino. „Marysia” prosił funkcjonariuszy, aby sprawą „niebezpiecznego” Harry’ego zajęła się konkretnie „nasza służba”, czyli SB, a nie milicja.

Kolejne dni przewidywały bardziej luźny program. 31 stycznia rano dokonano uroczystego otwarcia wystawy gołębi pocztowych w hali w WPKiW w Chorzowie. W tym czasie dostojni goście FCI rozpoczęli realizację turystycznej części pobytu w Polsce, uczestnicząc w wycieczce do Oświęcimia.

Wśród atrakcji na kolejne dni nie przewidywano obwieszczanego mieszkańcom województwa „zwiedzania niecki węglowej”, ale odwiedzenie Krakowa i Wieliczki, występ zespołu „Śląsk” w Zabrze oraz degustację piwa w Żywcu i zwiedzanie zabytkowego pałacu w Pszczynie. Przez cały ten czas – w trakcie wystawy, jak i wycieczek – gościom towarzyszyli agenci i funkcjonariusze SB.

W okresie trwania olimpiady na czoło zagrożeń wysunęła się dociekliwość ponad 50-osobowej grupy flamandzkiej. Bezpieka określała jej trzon jako zwolenników zjednoczenia Europy przeciwko ZSRS, odnotowując zadawane przez poddanych monarchii belgijskiej prowokacyjne i polityczne pytania: „Czy w Polsce są księża?”; „Dlaczego jest tyle dziewczyn ulicznych w kraju socjalistycznym?”; „Czy można się swobodnie poruszać po Polsce?”; „Czy milicja śledzi ludzi mieszkających w hotelu?” To ostatnie pytanie zakrawało na dekonspirację czynności operacyjnych SB, zważywszy na fakt przebywania w grupie dwóch doświadczonych belgijskich policjantów, których pokoje zostały w dniu 31 stycznia przeszukane (bez ich wiedzy).

Starano się stworzyć na potrzeby działań operacyjnych portret psychologiczny jednego z Belgów – inspektora Hansa van Wettera, jak również odnotowywano wszelkie jego spostrzeżenia dotyczące Polski, jak uwaga o niewielkiej ilości mundurowej milicji i wojska na ulicach, co odróżnia Polskę od NRD. Jeden z liderów grupy flamandzkich gołębiarzy van den Bosche utrzymywał zaś wprost, że komunizm prędzej czy później musi upaść, a stałoby się tak, gdyby w 1968 r. udało się to Czechom, bo spowodowałoby to pójście Polski tą samą drogą. Z kolei Feliks Orns – szef grupy – wzbudził zainteresowanie безпеکی pytaniami o stacjonujące w Polsce oddziały Armii Radzieckiej i wysyłane przez PRL jednostki wojskowe do Czechosłowacji w ramach interwencji Układu Warszawskiego. Tajny współpracownik podkreślał jednak, że krytyczne opinie o osiągnięciach socjalizmu dotyczyły tylko części grupy. Sięgając do arsenału autosugestii, pisał o pozytywnym postrzeganiu PRL przez obcokrajowców, podbudowując własną niską samoocenę: „spotykają się z życzliwością i uśmiechem, co ich utwierdza w tym, że nie jesteśmy ani nieszczęśliwym, ani uciemiężonym narodem”.

Amerykańscy turyści obserwowani przez pilotów „Orbisu” – często przeszkolonych agentów SB – w czasie wycieczek turystycznych zadawali szereg niepoprawnych politycznie pytań, jak żartobliwe zapytanie skierowane do pilota „Orbisu”, gdzie w pokojach hotelowych poszukiwać aparatury podsłu-

chowej – „Czy za obrazkami?” W kręgu zainteresowań gości zza Atlantyku znalazły się jednak przede wszystkim relacje państwo-Kościół oraz przeszkody, jakie stwarza partia i bezpieczeństwa w praktykach religijnych Polaków. Było to niewygodne pytanie dla konfidentów, z kolei dla Amerykanów naturalne z powodu restrykcji na lotnisku w Balicach, które spotkały dwóch współobywateli przewożących dewocjonała. Kierujący jednym z informatorów oficer SB zlecił mu konkretne zadania wobec grupy amerykańskiej. Wśród nich na czoło wysuwało się skontrolowanie „jakie obiekty fotografują”, bo „posiadają aparaty fotograficzne i dokonują zdjęć” (sic!) oraz dokładne rozpoznanie i tworzenie wśród amerykańskich gości negatywnego wizerunku Żebrowskiego, u którego w czasie tajnej rewizji znaleziono pokaźne ilości dewocjonałów. Ważnym odcinkiem działań wywiadowczych wśród Amerykanów było rozpoznanie ich stosunku do tzw. powojennych nabytków Polski – „czy nie kwestionują w rozmowach naszych ziem zachodnich i północnych”.

Kilkudziesięciosobowa grupa zagranicznych gości została umieszczona w pokojach hotelowych z podsłuchami. Według zachowanej dokumentacji z hotelu „Katowice” (źródło: „Baza”) obejmującej 11 osób z USA, Francji, RFN, Austrii, Anglii i Polski, można odnieść wrażenie, że funkcjonariusze bezpieczeństwa, komponując lakoniczne raporty z podsłuchów, głównie ćwiczyli się w umiejętności stopniowania wychwyconych w aparaturze podsłuchowej rodzajów ciszy („panowała cisza”, „panowała kompletna cisza”). Eksploatacja dokonywana od 7.00 do 22.00 w „przygotowanych technicznie” pokojach nie ujawniła szczególnie interesujących informacji. Poza stwierdzeniem, że mieszkańiec Częstochowy słucha wieczorem radia „Wolna Europa” czy podsłuchiowaniem intymnego życia amerykańskiego małżeństwa, pisano obszerniejsze raporty wyłącznie z rozmów gołębiarskich dziennikarza i delegata FCI Melvina Kennetha z Anglii. Funkcjonariusze SB ominęli barierę językową, ponieważ do podsłuchiwania zaangażowali sztab sprawdzonych tłumaczy z języka angielskiego, niemieckiego i francuskiego.

Do intensyfikacji spotkań pomiędzy zagranicznymi gośćmi a mieszkańcami województwa doszło po otwarciu wystawy. Miały one charakter sentymentalno-rodzinny lub kolekcjonerski i handlowy. SB starała się sprawdzać każdą próbę nawiązania takiego kontaktu, wskazując na nielegalny charakter handlu (za dewizy!) gołębiami. Wszystkie odnotowane osoby zostały po zakończeniu operacji przekazane Departamentowi II MSW do dalszego rozpracowywania ze względu na utrzymywanie związków z Zachodem.

Niektóre sprawy później wyjaśniono. Np. podejrzliwie traktowany z powodu nieobecności na obradach kongresu FCI Anglik Donald Smarth okazał się zapalonym filatelistą (ujawniła to dopiero intensywna inwigilacja). Wykorzystał przyjazd do Polski także w celu nawiązania kontaktu z rodzimymi zbieraczami znaczków pocztowych. Zaowocowało to wpisem na listę niepożądanych gości w PRL.

Bezpieka dysponowała już niemalże pełnym zestawem politycznych fobii okresu gomulłowskiego, od niemieckiego rewizjonizmu, poprzez podważanie sojuszu ze Związkiem Radzieckim, po drażliwe pytania dotyczące inwazji na Czechosłowację w 1968 r. zadawane przez Belgów. Z braku reprezentantów Izraela za wypowiedzi syjonistyczne uznano krytyczne uwagi pod adresem Polski wygłaszane przez Amerykanina Serge Philphe, poruszające problem tzw. polskiego antysemityzmu czy eksploatowanego przez niektóre środowiska żydowskie współdziałania Polaków w mordowaniu Żydów w czasie II wojny światowej. Dzięki kontrowersyjnym monologom tej jednej osoby, ignorowanej przez innych, misterny gmach peerelowskich uprzedzeń i ksenofobii został ukończony, a bezpieka zaczęła traktować jako działalność wywrotową o podtekście antysocjalistycznym nawet fotografowanie przez gości z Zachodu koni wykorzystywanych do pracy w kopalni soli w Wieliczce. Dobrym przykładem takiej „nadwrażliwości” było przechwycenie podejrzanej korespondencji (kartek pocztowych) adresowanych do Carsten i Therese B. z RFN. W pierwszej z nich ojciec piszący do córki, najprawdopodobniej w interesach przebywający w Katowicach, opisuje swoje wrażenia z olimpiady gołębiarskiej i odwiedzin w wesołym miasteczku (karuzele, samoloty, kolejka „elka” itd.), nieopatrznie informując o wykonaniu fotografii – „Zrobiłem parę zdjęć, które sobie później obejrzysz jak wrócę do domu”. Nie mniejsze zainteresowanie wzbudziła następną przechwycona kartka pocztowa, tym razem adresowana do żony, a dotycząca, prócz olimpiady gołębi pocztowych, samopoczucia i zdrowia, również postępów w budowie tajemniczego taśmociągu. Fotokopie obu kartek pocztowych zostały skrzętnie zachowane w dokumentacji zabezpieczenia imprezy jako dowód ciężkiej i niedocenianej pracy bezpieczniaków.

2 lutego 1969 r. w trakcie uroczystego party pod Gliwicami (w Zameczku Leśnym) XI Międzynarodowa Olimpiada Gołębi Poczтовых została zamknięta. Organizatorzy zostali pochwaleni za przygotowanie imprezy. Gołębiarze z Jugosławii podarowali władzom PZHGP okazały puchar w dowód

wdzięczności i wkład w jednoczenie ruchu gołębiarskiego. Dzień później zwycięzcy bogatsi o kolejne tytuły i medale olimpijskie, zagraniczni hodowcy ze swoimi gołębiami i turyści pełni wrażeń, powoli opuszczali Polskę. Bezpieka rozpoczęła podsumowywanie akcji.

W informacji końcowej przesłanej do MSW w Warszawie mjr A. Wierczyński stwierdzał, że goście zagraniczni „w toku rozpoznania agenturalnego” zajmowali się wyłącznie „sprawami dotyczącymi Olimpiady i hodowli gołębi”, a bezpieka nie wykryła „żadnych zainteresowań wykraczających poza ramy olimpijskie”. W czasie trwania imprezy SB odnotowała 18 nawiązanych kontaktów pomiędzy obywatelami PRL a zagranicznymi gośćmi o podejrzanym charakterze. Przytłaczająca większość z nich miała charakter handlowy dotyczący sprzedaży za dewizy gołębi pocztowych albo była nawiązaniem kontaktu z przyjaciółmi lub rodziną. W kilku sytuacjach chodziło o sam nielegalny handel dewizami. W jednym odnotowanym przypadku, mieszkaniec Katowic, inżynier Ryszard Ż., starał się przesłać korespondencję do USA z pominięciem Poczty Polskiej, wykorzystując do tego celu „zaufaną osobę” z grona gości. Nieporadne postępowanie inżyniera, który poszukiwał takiej osoby przez pilota wycieczki, konfidenta bezpieki, umożliwiło funkcjonariuszom SB przeprowadzenie kombinacji operacyjnej, w wyniku której list znalazł się w rękach oficerów bezpieki. Treść listu, w której katowiczanie stwierdza, że posiada konto bankowe w Szwajcarii i prosi o przesłanie na nie dolarów, skłaniała esbeków do przyjęcia hipotezy o prowadzonej agenturalnej działalności na rzecz obcego wywiadu. Za dodatkową okoliczność obciążającą uznano amerykańskie obywatelstwo żony podejrzanego. Sprawę przekazano MSW w Warszawie do dalszego prowadzenia.

W trakcie działań operacyjnych przeprowadzono 11 penetracji w pokojach hotelowych (w hotelach „Monopol” i „Katowice”), w czasie których wykonano 86 fotografii dokumentów, kart wizytowych i adresów będących w posiadaniu gości. Materiały te przekazano do dalszego rozpracowania.

Najważniejszym zdarzeniem operacyjnym XI Olimpiady według bezpieki (wspominane trzy razy w dokumentacji końcowej!) było „manifestowanie” w czasie pożegnalnego bankietu przez grupę z NRD wyraźnej sympatii dla obywateli RFN. Niedopuszczalne „utrzymywanie stosunków przyjaznych między ekipami NRD i NRF” wiązało się ze skrzętnie odnotowanym przez esbeków spożywaniem „nadmiernych ilości alkoholu”. Dla potwierdzenia tego karygodnego wydarzenia mjr A. Wierczyński przytaczał wypowiedź

prezydenta FCI Wilfrieda Staesa z Belgii, który przypomniał w czasie uroczystości pożegnalnych o zaangażowaniu Polski w starania o włączenie wschodnioniemieckich gołębiarzy do federacji, którzy „teraz utrzymują tylko kontakt z delegacją NRF”. SB nie miała wątpliwości, że „zachodnioniemieccy rewizjoniści” mieszają nawet wśród gołębi. Na straży bezpieczeństwa stały jednak „jastrzębie” z SB.

Źródła i literatura:

Akta z zasobu Archiwum Instytutu Pamięi Narodowej Oddział w Katowicach: sygn. IPN Ka 07/244, Akta zabezpieczenia operacyjnego XI Olimpiady Gołębi Pocztowych – 1969 r.

„Trybuna Robotnicza”, „Dziennik Zachodni”, „Wieczór” „Goniec Górnośląski”, „Hodowca gołębi pocztowych” – rocznik 1969.

11 Olimpiada Gołębi Pocztowych. Katowice – Polska. Wjewódzki Park Kultury i Wypoczynku 29 I-2 II 1969 (folder okolicznościowy).

Michał Szynkiewicz

Operacja „Obiekt”, czyli SB na Mistrzostwach Świata i Europy w Hokeju na Lodzie w Katowicach (8-25 kwietnia 1976 r.)

Wielkie sportowe widowisko w Katowicach

Rok 1976 obfitował w wielkie wydarzenia sportowe o zasięgu międzynarodowym. W lutym w Innsbrucku odbyły się XII Zimowe Igrzyska Olimpijskie, w lipcu i sierpniu w Montrealu XXI Letnie Igrzyska Olimpijskie, w czerwcu w Jugosławii rozegrano V Mistrzostwa Europy w Piłce Nożnej. Rok ten był też pod tym względem bardzo łaskawy dla Polski. Trzy lata wcześniej, w 1973 r. w Moskwie, Międzynarodowa Federacja Hokeja na Lodzie zdecydowała, by XLII Mistrzostwa Świata i LIV Mistrzostwa Europy w Hokeju na Lodzie zorganizować w Katowicach. Dla polskiego świata sportowego oraz władz było to wielkie wyróżnienie, a jednocześnie ogromne wyzwanie. Tak prestiżowa impreza miała odbyć się w Polsce po raz pierwszy od zakończenia II wojny światowej, a po raz drugi w ogóle – w 1931 r. zmagania hokejowe rozgrywano w Krynicy. Mistrzostwom towarzyszyć miał także Kongres Międzynarodowej Federacji Hokeja na Lodzie, w czasie którego zamierzano poruszyć istotne kwestie dla rozwoju tej dyscypliny sportu.

Strona polska zabrała się do pracy – należało bowiem przygotować obiekty sportowe, bazę noclegową, gastronomiczną, całe zaplecze logistyczne, transport, a także odpowiednio zadbać o promocję imprezy i towarzyszące jej atrakcje. Podstawowym zagadnieniem był wybór odpowiedniego miejsca na rozgrywki sportowe. Tu sprawa przedstawiała się dosyć prosto, ponieważ od kilku lat w centrum Katowic stał świeży – niemalże „prosto spod igły” – i przystosowany do imprez masowych obiekt. Była to Wojewódzka Hala Widowiskowo-Sportowa, popularnie nazywana „Spodkiem”. Jej budowę ukończono w 1971. Obiekt był przystosowany do przyjęcia kilkunastotysięcznej widowni, a jednym z budynków przyległych do „Spodka” było lodowisko z miejscami dla około półtora tysiąca osób. Na poszczególne spotkania

najlepszych ekip hokejowych w trakcie Mistrzostw przeznaczono zatem lodowisko WHWS, a także tzw. Małą Halę w Katowicach. Było to dogodne rozwiązanie, także z punktu widzenia treningów i rozgrzewek.

Na przybycie gości przygotowano liczne hotele i inne miejsca zakwaterowania. Dla części ekip sportowych, dziennikarzy, korespondentów, reporterów telewizyjnych, dziennikarzy, a także działaczy sportowych przeznaczono hotele w Katowicach, np. „Silesia”, „Katowice”, „Olimpijski”. Pozostałą część zawodników oraz turystów zakwaterowano w domach akademickich śląskich uczelni i hotelach w sąsiednich miastach.

Wyżywienie dla rzeszy przybyłych gości zapewniać miały restauracje: „Monopol”, „Hungaria”, „Sofia”, „Tatiana”, „Melodia”, „Astoria”, „Przystań” i in.

Nad poszczególnymi drużynami narodowymi oraz nad zespołem sędziowskim patronat objęły zakłady przemysłowe z terenu województwa katowickiego. Drużyna polska sponsorowana była przez Hutę „Ferrum” i Zakłady Urządzeń Technicznych „Zgoda”.

Dla turystów, zwłaszcza zagranicznych, przygotowano szereg atrakcji. Przede wszystkim miały nimi być wycieczki krajoznawcze. Główny ciężar ich obsługi wzięło na siebie Biuro Imprez Sportowych i Turystycznych „Sports-Tourist”, opiekę nad cudzoziemcami roztoczyła ponad setka przewodników i pilotów turystycznych, do dyspozycji przeznaczono tyleż samo autokarów.

Niedługo przed rozpoczęciem mistrzostw zadbano o odpowiedni wystrój miasta. Katowice udekorowano, a na drogach dojazdowych rozmieszczono okolicznościowe tablice informacyjne.

Katowickie mistrzostwa trwały blisko trzy tygodnie. Składały się one z fazy eliminacyjnej oraz meczy finałowych. Osiem drużyn biorących udział w zawodach (Czechosłowacja, Finlandia, NRD, Polska, RFN, Stany Zjednoczone, Szwecja, ZSRS) rozgrywało najpierw mecze w systemie „każdy z każdym”. Następnie, w zależności od liczby zdobytych punktów i stosunków bramek, ekipy podzielono na dwie grupy. Cztery najlepsze i cztery pozostałe drużyny rozegrały pomiędzy sobą po trzy mecze (Finał A i Finał B). Zsumowane z całego turnieju wyniki decydowały o miejscach na podium i medalach. Mecze fazy grupowej rozegrano w dniach 8-25 kwietnia (28 spotkań). Następnie odbyły się mecze finałowe (12 spotkań). W sumie w katowickim „Spodku” odbyło się 40 spotkań.

Występy drużyny biało-czerwonych kierowanej przez Józefa Kurka dostarczyły zgromadzonej widowni wielu emocji, w szczególności kibicom pol-

skim. Na siedem spotkań eliminacyjnych Polacy odnieśli dwa zwycięstwa (z ZSRS – 6:4, z NRD – 6:4), ponieśli cztery porażki (z Czechosłowacją – 0:12, z RFN – 3:5, ze Stanami Zjednoczonymi – 2:4, ze Szwecją – 1:4) oraz wywalczyli jeden remis (z Finlandią – 3:3). Po tych spotkaniach Polska zajęła piąte miejsce, tak więc kolejne mecze finałowe rozgrywała w „Finale B”. W tej fazie pokonała NRD (5:4), ponownie zremisowała z Finlandią (5:5) oraz przegrała z RFN (1:2). W ostatecznej klasyfikacji nasi zajęli w całym turnieju siódme miejsce.

Szczególnie w pamięci zapisał się inauguracyjny mistrzostwa mecz Polska-ZSRS. Mało kto dawał naszej drużynie realne szanse na zwycięstwo nad wielokrotnie sięgającą po laur mistrza drużyną zza wschodniej granicy. Szczególnie wymowna była twarda statystyka sportowa. Na 25 do tej pory rozegranych spotkań wszystkie skończyły się porażką Polaków, a bilans strzelonych bramek wynosił 31:255. Najbardziej druzgocąca przegrana to 0:20 w 1973 r. w Moskwie, natomiast zaledwie dwa miesiące przed katowickimi mistrzostwami, 8 lutego, podczas zmagani olimpijskich w Innsbrucku Polacy zostali pokonani 1:16. Do kolejnej, 26 już w historii potyczki ze „Sborną”, wystawiono następujący skład: Andrzej Tkacz, Robert Góralczyk, Andrzej Szczepaniec, Walenty Ziętara, Mieczysław Jaskierski, Stefan Chowaniec, Stanisław Szewczyk, Jerzy Potz, Zdzisław Włodarczyk, Józef Stefaniak, Ryszard Nowiński, Kordian Jajszczok, Marek Marcinczak, Wiesław Jobczyk, Leszek Kokoszka. Mecz odbył się 8 kwietnia. W początkowych minutach spotkania drużyna polska została zepchnięta do defensywy, lecz już w 11 minucie po sprawnie przeprowadzonej akcji i strzale Jaskierskiego prowadziła 1:0. W cztery minuty później bramkarza rywali pokonał Nowiński i po pierwszej tercji nasi prowadzili 2:0. Drugą część spotkania przeciwnicy rozpoczęli od generalnego ataku zakończonego bramką Michajłowa, ale Polacy nie pozostali dłużni i w kolejnych trzech minutach podwyższyli wynik na 4:1 (bramki Jobczyka i Jaskierskiego). Na zdobytą z kolei w 26 minucie bramkę Jakuszewa odpowiedział ponownie Jobczyk i w ten sposób Polacy wygrywali już dwie tercje. Ostatnie 20 minut spotkania miały decydujące znaczenie. Znakomitą formą popisał się Jobczyk, który po raz trzeci pokonał bramkarza radzieckiego, zdobywając w ten sposób dla siebie *bat-trick*, a dla drużyny szóste goła. Rywale zdołali jeszcze podwyższyć na swoją korzyść wynik na 4:6 (Charłamow i Michajłow), jednakże bohaterami tego meczu byli Polacy. Wynik spotkania uznano za

wielką niespodziankę, a już po zakończeniu całej imprezy – największą sensację mistrzostw.

Tytuł mistrza świata podczas katowickich zmagani zdobyła rewelacyjnie grająca Czechosłowacja. Drugie miejsce zajął niedawny rywal Polski w pamiętnym spotkaniu – ZSRS. Trzecia była Szwecja.

Zorganizowane w Katowicach Mistrzostwa Świata w Hokeju oceniono bardzo dobrze. Ze szczególnymi wyrazami uznania wypowiedziano się o hali „Spodka”, podkreślając jej nowoczesność i funkcjonalność. Przewodniczący Międzynarodowej Federacji Hokeja na Lodzie Gunther Sabetzki wskazał na wysoki poziom organizacyjny imprezy. Jednakże nie brakowało też słów krytyki, na co wskazały materiały operacyjne Służby Bezpieczeństwa.

SB w akcji, czyli działania zabezpieczające

Mistrzostwa Świata w Hokeju na Lodzie w Katowicach były wielkim wydarzeniem sportowym, które zgromadziło dużą rzeszę gości. Według danych organizatorów na Górny Śląsk przyjechało kilkuset członków ekip sportowych, oficjeli i działaczy oraz przedstawiciele mass mediów, w tym duża część z zagranicy, nie licząc dodatkowo sporej ilości kibiców spoza Polski. Dlatego ważną kwestią było zapewnienie bezpieczeństwa i porządku, zarówno podczas samych meczów w hali „Spodka”, jak i w drodze na nie. Tu dużą rolę odgrywała Milicja Obywatelska, chociażby poprzez wzmożone patrole na czas rozgrywek. Jednakże znaczący ciężar zabezpieczenia imprezy wzięła na siebie Służba Bezpieczeństwa.

Opracowywanie stosownego planu rozpoczęto jesienią 1975 r. Wtedy to, 2 września, w Komendzie Wojewódzkiej MO w Katowicach wydano zarządzenie nr 089/75, w którym nakreślono podstawowe zasady zabezpieczenia kwietniowych rozgrywek. Sprawie nadano kryptonim „Obiekt”.

Generalne kierunki działania skupić się miały wokół fizycznej ochrony imprezy oraz na zabezpieczeniu kontrwywiadowczym województwa katowickiego, zwłaszcza z uwagi na masowy udział gości zagranicznych. W szczególności chodziło o kontrolę pracowników mediów, dyplomatów i oficjeli, zwrócenie większej uwagi na obywateli polskich kontaktujących się z cudzoziemcami z krajów kapitalistycznych, penetrację grup zagranicznych kibiców i turystów, wykrywanie przypadków wrogiej propagandy, a także zabezpieczenie obiektów i placówek specjalnego znaczenia (np. obiektów wojskowych, placówek dyplomatycznych, zakładów przemysło-

wych) przed potencjalnymi działaniami wywiadowczymi szpiegów państw zachodnich. Zadania te SB miała realizować we współpracy z organizatorami imprezy, a ponadto ze służbami mundurowymi – Wojskową Służbą Wewnętrzną, MO, Zwiadem Wojsk Ochrony Pogranicza. Natomiast w celu kontroli operacyjnej cudzoziemców z krajów socjalistycznych zakładano stałą współpracę z obecnymi w Katowicach pracownikami organów bezpieczeństwa ZSRS i Czechosłowacji.

Ze względu na zróżnicowane zadania wyodrębniono kilka grup funkcjonariuszy SB do ich realizacji: grupę bezpośrednio zabezpieczającą halę „Spodka”; grupę zabezpieczającą dziennikarzy, dyplomatów i wybranych cudzoziemców państw zachodnich, grupę nadzorującą sportowców i działaczy z krajów kapitalistycznych, grupę zabezpieczającą wycieczki turystyczne kibiców, grupę sprawującą kontrolę nad cudzoziemcami w lokalach rozrywkowych, grupę zabezpieczającą obcokrajowców na terenie domów akademickich, grupę zabezpieczającą obcokrajowców na terenie hoteli, grupę interwencyjną w przypadku naruszania przez cudzoziemców prawa oraz grupę analityczno-informacyjną.

Grupa zabezpieczająca halę miała za zadanie kontrolować uczestników imprezy oraz personel „Spodka” w celu ewentualnego wykrycia osób „działających na szkodę interesów państwa”, a także sprawować dyskretną pieczę nad pracami Biura Prasowego, posiedzeniami Kongresu Międzynarodowej Federacji Hokeja na Lodzie i konferencjami prasowymi. Zadania te realizowane były poprzez współpracę bezpieki z Komitetem Organizacyjnym Mistrzostw oraz z informatorami różnych kategorii (tajni współpracownicy, kontakty operacyjne, kontakty służbowe). Warunkiem skutecznego wykonywania tych zadań było zaopatrzenie funkcjonariuszy SB w odpowiednie dokumenty umożliwiające swobodne poruszanie się po „Spodku”.

Zadania porządkowe na terenie obiektu realizowało – zależnie od wariantu – od kilkudziesięciu do ponad setki pracowników służb rozmieszczonych w dziewięciu rejonach, na które podzielono „Spodek”. Do zadań należała także ochrona delegacji partyjno-rządowej, m.in. na wypadek ewentualnego zamachu. W samej hali sportowej pracownicy poszczególnych wydziałów SB byli rozlokowani mniej więcej równomiernie we wszystkich sektorach, tak by wtopić się w tłum. Wszystkich zaopatrzone w komplety biletów wstępu na mecze.

W pracach Kongresu i Dyrektoriatu Międzynarodowej Federacji Hokeja na Lodzie, Sekretariatu Organizacyjnego Mistrzostw oraz w centrum pras-

wym jako tłumaczy wykorzystywano lektorów języków obcych z Ośrodka Nauczania Języków Obcych MSW, co pozwalało na szybki dopływ informacji na interesujące tematy.

Grupa kontrolująca zachodnich dziennikarzy, dyplomatów i innych wybranych cudzoziemców oraz oficjeli uniemożliwiać miała próby realizacji przez nich ewentualnych zadań dla obcych służb wywiadowczych oraz przekazywania zachodnim mediom wszelkich innych materiałów informacyjnych niż oficjalnie zaakceptowane. Paleta dostępnych metod pracy SB była tutaj szeroka – od działań osobowych źródeł informacji, przez technikę operacyjną, po tajne przeszukania czy obserwację zewnętrzną.

W toku prac ustalono, że pewna część dziennikarzy realizowała ściśle przemyślane i zaplanowane zadania pozasporthowe, a atrakcje hokejowe traktowała jako przykrywkę do przyjazdu lub co najwyżej jako dodatek do rzeczywistych celów wizyty. Chodziło głównie o zbadanie problematyki społeczno-politycznej oraz poznanie opinii miejscowych dotyczącej tych zagadnień. W głównej mierze przedmiotem dziennikarskiej „wnikliwości” była nieciekawa sytuacja gospodarcza Polski (czego późniejszym efektem były wydarzenia z czerwca 1976 r.). W tym kontekście interesowano się m.in. brakami rynkowymi, możliwością powstania opozycji na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim czy też rzeczywistą popularnością ekipy Edwarda Gierka. Ponadto przedstawiciele zachodnich mediów ciekawi byli takich kwestii jak: problemy młodzieży akademickiej, nastawienie społeczeństwa do aktualnej polityki, relacje państwo-Kościół, stosunek do ZSRS, relacje pomiędzy władzą a robotnikami, wyjazdy emigracyjne do RFN z terenu województwa katowickiego, stopa życiowa oraz zarobki.

Grupa funkcjonariuszy rozpracowująca sportowców i działaczy z krajów kapitalistycznych bazowała przede wszystkim na informacjach dostarczanych przez zwerbowanych informatorów rozlokowanych w miejscach zakwaterowania cudzoziemców (np. w hotelach „Novotel” w Sosnowcu i „Katowice” w Katowicach). Wśród nich byli pracownicy personelu. Korzystano też z ustaleń pracowników Wydziału „B”, czyli pionu SB zajmującego się obserwacją zewnętrzną. Inna grupa specjalna przeprowadzała tajne przeszukania w pokojach zajętych przez konkretnych gości.

Wbrew pozorom, z punktu widzenia funkcjonariuszy bezpieczeństwa, najmniej atrakcyjni okazali się sami hokeiści, ponieważ nie interesowali się oni zbytnio kwestiami politycznymi czy wywiadowczymi. Nie sprawiali też większych

problemów, które wymagałyby interwencji, poza nieco hałaśliwym zachowaniem zawodników amerykańskich i ich skłonnością do bójek na lodzie oraz nielicznymi przypadkami handlu dewizami.

Grupa pracowników SB zabezpieczająca wycieczki turystyczne utrzymywała stały kontakt z biurami podróży „Sports-Tourist” i „Almatu”, przez co mogła kontrolować program imprez. Swoich informatorów posiadała wśród pilotów, przewodników i kierowców autokarów. Ich pracę koordynowała specjalna grupa rezydentów SB.

W trakcie działań operacyjnych ustalono m.in., że szczególnie dużo kontaktów na terenie Śląska utrzymywali turyści z RFN. Łącznie, w okresie mistrzostw, cudzoziemcy zachodni, co skrupulatnie wyliczyli funkcjonariusze, nawiązali kontakty z 88 obywatelami polskimi. By dokładniej wyjaśnić ich charakter, prowadzono bardziej wnikliwe działania rozpoznawcze.

Kolejna ekipa pracowników SB nadzorująca sytuację w lokalach rozrywkowych stykała się najczęściej z przypadkami nawiązywania przez Polaków kontaktów z obywatelami państw kapitalistycznych, nielegalnym handlem walutą, prostytutką oraz zakłócaniem porządku, np. przez pijanych gości. Za tego typu „występki” zatrzymano 22 osoby.

Podobnymi doświadczeniami mogła pochwalić się grupa funkcjonariuszy zajmująca się osobami zakwaterowanymi w akademikach. Dochodziło tam do przypadków nadmiernego spożywania alkoholu (celowali w tym szczególnie kibice fińscy i szwedzcy), nielegalnego obrotu dewizami oraz ekscesami seksualnymi. Źródła informacji rekrutowano spośród osób pracujących w kasach wymiany walut, recepcjach oraz wśród pilotów i tłumaczy. Pracę z tymi informatorami koordynowali zakwaterowani na miejscu rezydenci. Funkcjonariusze służbowo kontaktowali się z biurami podróży oraz kierownictwem domów akademickich, ale także niektórych rezydentów zakonspirowano jako pracowników „Sports – Touristu” bądź „Almatu”. Do „sukcesów” tej grupy operacyjnej należało rozpoznanie oficera fińskiej policji, który przyjechał razem z kibicami, jednakże nie przejawiał on zainteresowań pozaspportowych.

Pod nadzorem pozostawali także niepolscy kibice mieszkający w hotelach miejskich i turystycznych. Esbecy korzystali m.in. z pomocy zwerbowanych pracowników tych obiektów i pobliskich lokali gastronomicznych, a także współpracowali z ich dyrekcjami.

Do egzekwowania sankcji w stosunku do cudzoziemców, którzy łamali przepisy i prawo, powołano specjalną grupę interwencyjną będącą w goto-

wości do działania przez całą dobę. Zajmowała się ona załatwianiem formalności w przypadku ewentualnych wykroczeń, a także tajnymi przeszukaniami samochodów i bagaży cudzoziemców, którzy naruszyli przepisy drogowe. W czasie mistrzostw winnych karano poprzez mandaty karne, kierowanie spraw do kolegów, wpisanie na listę „persona non grata” w PRL, udzielenie wiz administracyjnych (nakazujących opuszczenie terytorium naszego kraju w ciągu krótkiego czasu z powodu ciężkich naruszeń prawa) czy w końcu natychmiastowe wydalenie z Polski.

Zdobywane informacje były analizowane i przetwarzane na potrzeby wyższych szczebli kierowniczych przez specjalną grupę analityczno-informacyjną. Była ona wspierana przez Sekcję ds. Cudzoziemców Wydziału Paszportów oraz Wydział „C” (czyli archiwum SB).

Istotne znaczenie miało zabezpieczenie newralgicznych obiektów, które mogły budzić pozasportowe i niepożądane zainteresowanie cudzoziemców. Dlatego też szczególną ochroną objęto zakłady przemysłowe i jednostki wojskowe. Te drugie zabezpieczono poprzez wzmocnienie obserwacji oraz dotychczasowej ochrony przez dodatkowych funkcjonariuszy SB. Podczas prac zabezpieczających w okolicach obiektów wojskowych zarejestrowano ponad 1000 przypadków naruszenia tej przestrzeni przez cudzoziemców.

Do znaczących sukcesów Służby Bezpieczeństwa podczas zabezpieczenia Mistrzostw Świata w Hokeju na Lodzie należało wykrycie kanałów przemysłowych złota i dewiz, prowadzących z Austrii, przez Czechosłowację, do Polski. Głównymi organizatorami tego procederu byli, jak ustalono, obywatele Jugosławii i Czechosłowacji.

Do realizacji planu „Obiekt” zmobilizowano ponad 200 funkcjonariuszy – zarówno pracowników wydziałów operacyjnych KW MO Katowice, jak też MSW. Do dyspozycji pozostawało ponadto blisko pół tysiąca informatorów (tajnych współpracowników, kontaktów operacyjnych, kontaktów służbowych).

Już po zakończeniu mistrzostw SB oceniła pozytywnie realizację planu „Obiekt”. Wskazywano zwłaszcza na jasne sformułowanie celów, właściwy dobór środków działania, trafny podział na kilka grup operacyjnych oraz sprawną współpracę z innymi służbami i instytucjami. Przeprowadzone działania zabezpieczające okazały się przydatne przy realizacji innych spraw wywiadowczych, dotyczących m.in. kontaktu obywateli polskich z zachodniemieckimi służbami specjalnymi.

Blaski i cienie. Ocena mistrzostw w materiałach SB

Niebagatelną część wiedzy operacyjnej dostarczali aparatowi bezpieczeństwa zwerbowani informatorzy. Wśród zdobytych informacji znalazły się też bardzo interesujące wiadomości, pozwalające nam współczesnym na barwniejsze spojrzenie na Mistrzostwa z 1976 r.

Goście katowickiego turnieju na ogół pochlebnie wyrażali się o organizacji imprezy, mieście i jego wystroju oraz o świeżo wybudowanej hali „Spodka” – jako „jednej z najpiękniejszych w Europie”.

Z drugiej strony nie brakowało też słów krytyki i wytykania niedociągnięć. Jednym z nich była sprawa rozprowadzania biletów na mecze. 13 kwietnia 1976 r. przekazano meldunek o przejętym teleksie dziennikarza RFN do swojej redakcji, w którym pisał on, że organizatorzy mistrzostw najpierw informowali o całkowitym wyprzedaniu biletów na rozgrywki, a niemieckim biuram odmawiali zezwoleń na wycieczki do Polski z powodu braku wolnych miejsc noclegowych. Natomiast na tydzień przed inauguracją nieoczekiwanie organizatorom zwrócono znaczną liczbę biletów, przez co zwolniły się też miejsca w hotelach. W podsumowaniu stwierdził on: „Katowice będą żałować, że lekkomyślnie rozdały dewizy z Zachodu”.

Niezauważona nie pozostawała też kwitnąca działalność tzw. koników, którzy w pobliżu „Spodka” oferowali bilety na mecze po o wiele wyższych cenach.

Pojawiały się też m.in. stwierdzenia o kłapie finansowej organizatorów, małej liczbie turystów z krajów zachodnich oraz niewłaściwej reklamie mistrzostw za granicą.

Dziennikarze zagraniczni mieli i inne zastrzeżenia. Jak poinformował jeden z tajnych współpracowników, na konferencji prasowej poruszyli oni sprawę niewystarczającej liczby tłumaczy, ograniczonych możliwości w korzystaniu z telefonów i teleksów czy też tak prozaiczną rzecz, jak brak maszyn do pisania z rosyjską lub niemiecką czcionką. Jak wynika z meldunku do kierownictwa katowickiej SB z 9 kwietnia 1976 r., „dziennikarze z RFN-u głośno wyrażali swe opinie, że na imprezy organizowane w PRL nie warto przyjeżdżać”. Warto dodać, że odmowa sprzedaży biletów Niemcom mogła wprawdzie być wynikiem bałaganu organizacyjnego, lecz także zamierzonym działaniem: powstrzymaniem obywateli RFN przed masowym przyjazdem do Polski. Zwłaszcza, że wizyty gości zza Łaby, zdaniem SB zawsze mogły wywołać komplikacje i „zagrożenie dla państwa”. Nie demonizując SB można też przyjąć, że teleksów rzeczywiście było za mało, ale trzeba przy-

pomnieć, że z punktu widzenia aparatu bezpieczeństwa stanowiły one źródło kontaktu z zagranicą. Lepsza była mała ich liczba, za to pod kontrolą, nawet gdyby miało to wywołać niezadowolenie dziennikarzy.

Polska dekady lat 70. silniej niż w okresie rządów Władysława Gomułki uzależniona była od ZSRS. Symbolicznym zwieńczeniem tego faktu było zamieszczenie w polskiej konstytucji w październiku 1976 r. zapisu o przyjaźni i współpracy z hegemonem zza wschodniej granicy. W takiej, a nie innej, politycznej rzeczywistości organy władzy w Polsce musiały być szczególnie wyczulone na wszelkie niepochlebne opinie na temat Sowieców.

Podczas katowickich mistrzostw funkcjonariusze bezpieczeństwa wielokrotnie odnotowywali przypadki wyrażania opinii, a także zachowań o charakterze antysowieckim. Przeważnie ich autorami byli goście z zagranicy, którzy na terenie Polski przebywali tylko na czas trwania rozgrywek i niczym właściwie nie ryzykowali, w przeciwieństwie do obywateli polskich, którzy w wypowiedzianych przez siebie sądach byli dużo bardziej powściągliwi i ostrożni.

Większość akcentów antysowieckich czy antyrosyjskich dotyczyła samego turnieju. W wyniku przejęcia korespondencji dziennikarza zachodnioniemieckiego z 10 kwietnia 1976 r. Służba Bezpieczeństwa dowiedziała się, iż w jego opinii przyczyną zwycięstwa zawodników polskich nad sowieckimi była nocna libacja tych ostatnich w przeddzień meczu oraz ich demoralizacja.

Inne zastrzeżenia budziła nieczysta gra drużyny ZSRS. Według doniesień jednego z tajnych współpracowników z 23 kwietnia 1976 r., w czasie meczu „Sbornej” ze Szwedami dziennikarz „Głosu Pracy” głośno wyrażał swoje niezadowolenie pod adresem sędziego rozgrywającego spotkanie oraz zawodników radzieckich, nazywając ich „gangsterami”, a ponadto „oświadczył, że Rosjanie za wszelką cenę chcą wygrać każdy mecz”.

Niechętny stosunek do ZSRS przejawiał się poprzez niezbyt przyjazne zachowanie publiczności wobec jego reprezentacji. Na dzień przed meczem ZSRS-Czechosłowacja pracownicy SB ustalili, że kibice czechosłowaccy planują nazajutrz specyficzny doping (prawdopodobnie chodziło o „anty doping”) podczas spotkania, a także mają zamiar przekonać Polaków, by kibicowali ich drużynie. Według dziennikarzy czechosłowackich podczas tego meczu mogłoby dojść do „niepotrzebnych i kłopotliwych sytuacji rzutujących na całość mistrzostw”.

Taki stosunek widzów wobec sowieckich hokeistów potwierdzała m.in. korespondencja prasowa dziennikarzy zachodnich, stale będąca pod nadzo-

rem odpowiednich wydziałów organów bezpieczeństwa. Przykładem może być artykuł dziennikarza RFN z 15 kwietnia 1976 r. zamieszczony w jednej z gazet zachodniemieckich pt. „Sowiety walczą przeciwko antypatii publiczności polskiej”, w którym – jak ustalono – znalazło się wiele akcentów antyradzieckich.

Tak więc większość nieprzychylnych wobec ZSRS opinii wyrażona była w kontekście imprezy i gry zawodników radzieckich, choć w toku działań operacyjnych rejestrowano także te o charakterze bardziej ogólnym, jak np. jednego z zawodników amerykańskich, który stwierdził, że Polska jest zbyt- nio uzależniona od swojego wschodniego sąsiada.

Wśród informacji uzyskiwanych w trakcie działań wywiadowczych katowicka bezpieka otrzymywała sygnały o niezadowoleniu cudzoziemców z pracy Milicji. Spowodowane to było rutynowymi procedurami funkcjonariuszy MO, które wśród obcokrajowców mogły wywoływać konsternację i zdziwienie (choć na miejscowych nie robiły już takiego wrażenia). Przykładowo 14 kwietnia 1976 r. jeden z konfidentów poinformował pracowników SB, że działaczka sportowa z Finlandii skarżyła się na milicjantów, którzy w czasie meczu skonfiskowali jej i kolegom gwizdki oraz trąbki. Zachowanie to skomentować miała uszczypliwą uwagą, że „nie jest to polska milicja lecz wypożyczona z NRD, gdyż będąc na imprezach sportowych w Warszawie nie spotkała się z tego rodzaju praktykami”.

W piśmie z 20 kwietnia 1976 r. szef Wydziału „B” informował naczelnika Wydziału III KW MO w Katowicach o niezadowoleniu obywatelki Finlandii, które głośno wyrażała w hallu hotelu „Silesia”. Otóż podczas meczu Finów ze Szwedami podarowała ona długopisy kilku chłopcom, którzy kibicowali jej drużynie. Będący w pobliżu milicjanci, widząc to, zatrzymali i wyprowadzili ich, prawdopodobnie używając przy tym gumowych pałek.

Natomiast w korespondencji z 9 kwietnia 1976 r. zameldowano, że dziennikarz szwedzki podczas rozmowy w barze hotelowym skrytykował nadmierną liczbę milicyjnych patroli w pobliżu hotelu „Silesia”.

Wśród wielu powodów do niezadowolenia cudzoziemców jedną z bardziej dających się we znaki niedogodności było mizerne zaopatrzenie punktów usługowych i handlowych. Chodziło tu głównie o produkty spożywcze, a zwłaszcza przykre i niezrozumiałe dla gości niedobory mięsa i wędlin w sklepach.

Niejednokrotnie spotykano się z procederem wysokich cen w punktach nie przeznaczonych do powszechnej sprzedaży. Tajny współpracownik 9 kwiet-

nia 1976 r. informował, że dziennikarze prasy krajowej i zagranicznej byli niezadowoleni z wygórowanych cen w bufecie prasowym. W prowadzonych rozmowach stwierdzili oni, że na podobnych imprezach organizowanych w innych krajach z taką sytuacją się nie spotkali.

Niecodziennym dla obywateli państw zachodnich zjawiskiem były kolejki przed sklepami. Według informacji uzyskanej 9 kwietnia 1976 r. dziennikarze polscy krytycznie ocenili zaopatrzenie na terenie miasta, a zwłaszcza kolejki przed sklepami w okolicy Ronda i centrum Katowic, które powodowały zdziwienie i nieprzyjemne dla władz komentarze gości zagranicznych.

Mistrzostwa zgromadziły sporą liczbę obcokrajowców. W niemaliej części byli to przyjezdni z krajów zachodnich, a więc dysponujący dewizami. Goście musieli zatem jakoś wymienić swą „twardą walutę” na miejscowe pieniądze w taki sposób, by na tym nie stracić (kurs oficjalny walut zachodnich był kilkakrotnie niższy od czarnorynkowego). Tu z pomocą przychodziły osoby pokątnie handlujące dewizami. Aktywność ich koncentrowała się w okolicach miejsc zakwaterowania cudzoziemców, czyli restauracji, barów hotelowych itp. Jednym z miejsc ożywionej działalności „cinkciarskiej” były też okolice domów akademickich, gdzie mieszkała duża grupa obcokrajowców.

Służba Bezpieczeństwa ustaliła, że sprzedają obcej waluty zajmowali się m.in. członkowie zagranicznych ekip sportowych i zawodnicy. Ustalono nawet, że skupowaniem obcych dewiz od cudzoziemców parał się jeden z dziennikarzy polskich.

W niektórych przypadkach sprawy te przekazywano do dyspozycji Wydziału do Walki z Przeszłością Gospodarczą.

Kolejnym kryminalnym zjawiskiem, które nie pozostało niezauważone przez pracowników Służby Bezpieczeństwa, była prostytutka. „Dewizowi” goście, którzy tłumnie ścignęli na Mistrzostwa Świata w Hokeju, stanowili szczególnie „łakomy kąsek” dla kobiet lekkich obyczajów. Zaś panowie z krajów zachodnich chętnie korzystali z usług polskich „pań do towarzysstwa”. Kontakty te szczególnie mocno koncentrowały się w okolicy hoteli, w których zamieszkiwali zagraniczni i zamożniejsi goście.

Idealnym miejscem spotkań były restauracje hotelowe. 15 kwietnia 1976 r. jeden z kontaktów operacyjnych informował, że „wiele kobiet trudniących się nierządem w czasie przebywania w restauracjach hoteli katowickich zawiera kontakty z cudzoziemcami i następnie zabiera ich do swych mieszkań. Za «swe usługi» pobierają po 45-50 dolarów USA”.

Według uzyskanych przez SB informacji życie towarzyskie gościom ułatwiać miały osoby z obsługi hotelowej, które w zamian za kilka dolarów zezwalały na przyprowadzanie do pokoiów pań lekkich obyczajów.

Cudzoziemców nagabywano również pod hotelami. Z ustaleń SB wiadomo, że zdarzenie takie miało miejsce 12 kwietnia 1976 r. pod hotelem „Katowice”, kiedy to dwie kobiety reklamowały swe usługi zbyt nachalnie, co skończyło się ich zatrzymaniem i przekazaniem sprawy Wydziałowi Kryminalnemu.

Funkcjonariusze bezpieczeństwa w toku swojej pracy operacyjnej zdołali ustalić, że w towarzystwie prostytutek bawiły się rozpracowywane przez nich osoby, np. dziennikarze i reporterzy zachodni.

Na terenie Katowic zdołano również wykryć próby stręczycielstwa przez obcokrajowców. 11 kwietnia na dworcu kolejowym w Katowicach zatrzymano obywatela Jugosławii, który zaczął postronnie kobiety i zapisywał ich adresy do notesu, a następnie oferował je innym obywatelom jugosłowiańskim. Po zarekwirowaniu owego notesu znaleziono w nim sporą ilość nazwisk kobiet z Katowic i pobliskich miast.

Warto wiedzieć, że dla SB i jej zadań operacyjnych środowisko prostitutek bywało niejednokrotnie nieocenione. Odpowiednia bowiem współpraca z nimi mogła być dobrym źródłem dla pozyskania wartościowych informacji o interesujących osobach. Poza tym fakt korzystania z usług pań trudniących się prostytutką można było z powodzeniem wykorzystywać jako tzw. hak (w żargonie SB „kompromaterial”) skutecznie przekonujący do współpracy ze służbami specjalnymi PRL.

Hokej według SB, czyli mistrzostwa w liczbach

W katowickich mistrzostwach udział wzięły drużyny z ośmiu państw ze 160 hokeistami. Ekipom sportowym towarzyszyło blisko 200 sędziów, działaczy i oficjeli. Zmagania sportowe śledziła wielotysięczna publiczność. Z zagranicy przyjechało ponad dziewięć tysięcy kibiców, z czego przeszło dwa tysiące z krajów kapitalistycznych.

Opisywaniem i przekazywaniem relacji z rozgrywek sportowych zajmowało się łącznie 385 dziennikarzy i sprawozdawców sportowych. Transmisje z meczów emitowano do 17 krajów.

W zabezpieczeniu imprezy zaangażowanych było około 220 pracowników różnych wydziałów i departamentów MO i MSW. W celu skutecznej realiza-

cji zadań zorganizowano siatkę informatorów – 92 tajnych współpracowników, 308 kontaktów operacyjnych oraz 59 kontaktów służbowych – łącznie 459 konfidentów różnych kategorii. W czasie samych mistrzostw doraźnie zwerbowano jeszcze 104 informatorów.

Podczas działań operacyjnych pracownicy SB ustalili, że przyjezdni z krajów kapitalistycznych nawiązali kontakty z 88 obywatelami polskimi oraz ponad tysiąc razy pojawiali się w okolicach strzeżonych obiektów wojskowych. Za zakłócanie porządku publicznego zatrzymano 22 osoby, 33 cudzoziemców ukarano za popełnione wykroczenia, dwie wpisano do indeksu osób niepożądanych w PRL, a jedną wydalono z Polski pod konwojem.

Wśród wykorzystywanych metod pracy SB 30 razy dokonywała tajnych przeszukań pomieszczeń i bagaży wybranych gości z Zachodu. Podczas nich wykonano 295 fotokopii interesujących materiałów. 80-krotnie stosowano techniki operacyjne, w tym założono 41 podsłuchów pomieszczeń, 36 podsłuchów telefonicznych i trzy podglądy dokumentowane fotograficznie (filmowo). 19 osób objęto obserwacją zewnętrzną. Wśród ogromu uzyskanych informacji 496 uznano za szczególnie wartościowe i przekazano innym jednostkom MSW. Podczas kontroli korespondencji sprawdzono tysiące przesyłek, w tym 783 z terenu „Spodka”.

* * *

Mistrzostwa Świata i Europy w Hokeju na Lodzie w Katowicach z 1976 r. były wydarzeniem szczególnym. Fanom hokeja dostarczyły okazji do oglądania na żywo zmagania pomiędzy czołowymi drużynami świata. Kibicom biało-czerwonych przyniosły wiele wrażeń i niepowtarzalnych uniesień podczas pamiętnego meczu z drużyną Związku Radzieckiego. Zwykłym obywatelom dały możliwość przeżycia tych siedemnastu kwietniowych dni w atmosferze wyjątkowości i odrobiny „światowości”. Służbę Bezpieczeństwa natomiast wzbogaciły o nowe doświadczenia w operacyjnym zabezpieczaniu imprez masowych, zwłaszcza o charakterze międzynarodowym.

Źródła i literatura:

Akta z zasobu Archiwum Instytutu Pamięi Narodowej Oddział w Katowicach: sygn. IPN Ka 030/124, Sprawa obiektowa „Tafla”.

Operacja „Obiekt”, czyli SB na Mistrzostwach Świata i Europy w Hokeju...

„Sport” rocznik 1976.

Z. Głuszek, *Polscy Olimpijczycy 1924-1984*, Warszawa 1988.

Mała encyklopedia sportu, t. 1, red. E. Skrzypek, Warszawa 1984.

F. Musiał, *Podręcznik bezpieczeństwa. Teoria pracy operacyjnej Służby Bezpieczeństwa w świetle wydawnictw resortowych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych PRL (1970-1989)*, Kraków 2007.

R. Terlecki, *Miecz i tarcza komunizmu. Historia aparatu bezpieczeństwa w Polsce 1944-1990*, Kraków 2007.

W. Tretiak, *Hokej – moja miłość*, Warszawa 1983.

B. Tuszyński, *Polscy Olimpijczycy XX wieku (1924-2002)*, Wrocław 2004.

W. Zieleśkiewicz, *Encyklopedia sportów zimowych*, Warszawa 2002.

Dariusz Węgrzyn

Marionetki na łańcuchu

Wśród wielu rodzajów lalek w okresie PRL pojawił się jeszcze jeden, a mianowicie „lalki z KK”. Rozszerzając ten skrót – były to lalki z krajów kapitalistycznych, a konkretnie zespoły teatrów lalkowych, które przybywały do Bielska-Białej na Międzynarodowy Festiwal Teatrów Lalkowych organizowany przez tamtejszy Państwowy Teatr Lalek „Banialuka”. Można powiedzieć, że była to impreza jakich wiele. Jednak gdy przyjrzymy się jej bliżej, to okaże się, że mocno interesowała się nią bielska SB. Przeanalizujmy więc jedno ze spotkań, a mianowicie VII Międzynarodowy Festiwal Teatrów Lalkowych odbywający się w Bielsku-Białej w dniach 19-26 maja 1976 r. Festiwal odbywał się od 1966 r. co dwa lata. Ten z roku 1976 miał wymiar szczególny. Mianowicie rok wcześniej powstało województwo bielskie i tamtejsza SB miała pierwszy raz samodzielnie „zabezpieczać” taką międzynarodową imprezę. Oczywiście korzystano z doświadczeń lat wcześniejszych, ale dla bielskiej SB był to jednak ten „pierwszy raz”.

Dlaczego „lalki z KK” były takie groźne?

SB z reguły interesowała się wydarzeniami, które mogły stanowić jakieś niebezpieczeństwo dla Polski Ludowej. Rzeczywiście festiwal w oczach Służby Bezpieczeństwa niósł takie zagrożenie. Przecież „lalki z KK” spotykały się na nim z „lalkami z krajów demokracji ludowej”. O zgrozo, dochodziło przy tej okazji między nimi do wymiany poglądów, a jak wiadomo, to nie służyło ideologii socjalistycznej. Mogło się bowiem okazać, że na Zachodzie żyje się lepiej i jest tam zupełnie inaczej niż przedstawiały to w Polsce środki masowego przekazu. „Lalki z KK” były również niebezpieczne, bowiem wśród nich mogli się znaleźć, jak ciągle powtarzano w dokumentach SB, „przedstawiciele ośrodków dywersji ideologicznej”. Aby temu zapobiec, należało otoczyć uczestników szczelną, acz dyskretną „opieką”, tak by uniknąć przykrych sytuacji. Przekładając to na normalny język, SB zastosowała standardowe

w takich wypadkach metody inwigilowania wszystkich i wszystkiego. Najpierw nastraszo „polskie lalki” i przestrzegano je przed rozbudowanymi kontaktami z „tymi z Zachodu”, dając jednocześnie delikatnie do zrozumienia, że „władza ludowa” i tak się o wszystkim dowie, a potem okaże swe srogie oblicze. To w zasadzie mogło wystarczyć, ale jak wiadomo, w Polsce od 1944 r. obowiązywała zasada ograniczonego zaufania, więc należało dodatkowo sprawę „sprawdzić operacyjnie”. Oznaczało to, ni mniej ni więcej, wykorzystanie donosów osób, które uczestniczyły w festiwalu i widziały wszystko z bliska, a równocześnie w różnej formie współpracowały z SB. Równocześnie Komenda Wojewódzka MO w Bielsku-Białej oddelegowała jednego ze swych pracowników, który miał się zajmować tylko tą sprawą. Oczywiście nie rozpoczynał on pracy z chwilą inauguracji festiwalu. Gdy impreza ruszała, SB już dawno była gotowa.

Warto zauważyć jeszcze jedno. Mianowicie „lalki z KK” nie zdawały sobie sprawy, że dodatkowo uczestniczyły w szerszym przedstawieniu, zatytułowanym „Cuda PRL”, w którym na krzeselku reżysera siedział oficer SB. To ten człowiek decydował, jakie atrakcje turystyczne zobaczą, z kim się spotkają, a nawet, gdzie będą mieszkać. „Lalki z KK” miały po festiwalu zachować w pamięci jak najlepszy obraz Polski Ludowej, choć można podejrzewać, że był on daleki od rzeczywistości. Jak więc widać, Międzynarodowy Festiwal Teatrów Lalkowych sprzyjał sztuce i angażował wielu ludzi, którzy nie mieli dotychczas do czynienia z zawodem aktora, scenarzysty czy reżysera.

Oczywiście prostszym sposobem było niezorganizowanie takiego festiwalu lub przekształcenie go w imprezę „wewnętrzną” państw bloku socjalistycznego. Na przeszkodzie temu stała renoma imprezy i dziesiątki zgłoszeń, jakie corocznie wpływały do Biura Festiwalowego. Chcąc nie chcąc należało więc festiwal zorganizować, a SB była zmuszona w nim uczestniczyć. Z drugiej strony trudno określić rok 1976 jako czas wyjątkowego nawału obowiązków dla bielskiej SB. Cząsy „Solidarności” miały przecież dopiero nadejść.

Czas pisać scenariusz

Jak podano wyżej, VII Festiwal Teatrów Lalkowych trwał od 19 do 26 maja 1976 r. Kilka dni wcześniej, bo 12 maja 1976 r., SB założyła sprawę obiekto- wą pod kryptonimem „Baniałuka”, w ramach której planowano inwigilować uczestników tego wydarzenia artystycznego. Jak widać, okres przygotowań nie był zbyt długi, ale festiwal był imprezą cykliczną i posiadano już w tej

dziedzinie spore doświadczenie. Należy pamiętać, że scenariusz imprezy pisany przez SB wcale nie musiał być dziełem sztuki i nieść nowatorskiej myśli. Raczej było to ciągle odgrzewanie „tego samego kotleta”. Było to naturalne w sytuacji, gdy chodziło o skuteczność, a nie finezję i wrażenia artystyczne.

Tym razem do Bielska-Białej miało przyjechać 11 zespołów teatralnych z krajów kapitalistycznych. Na liczbę 400 zaproszonych uczestników goście z Zachodu, wraz z obserwatorami, mieli stanowić grupę około 100 osób. Nadzór nad festiwalem ze strony SB przypadł porucznikowi Józefowi Lachendrowiczowi. Stworzył on więc siermiężny plan działań policji politycznej, datowany na 12 maja 1976 r. No cóż, dokument ten nie należy do pereł języka polskiego; nowomowa służb specjalnych PRL powinna się kiedyś doczekać solidnego opracowania naukowego, które z pewnością będzie zawierało sporo elementów humorystycznych z racji przebogatego w formie i treści materiału źródłowego.

Tak brzmiały cele działań SB w związku z festiwalem:

„ • Ujawnianie i likwidowanie źródeł zagrożeń przewidzianych tabelą kodową¹.

• Utrzymanie odpowiednich kontaktów służbowych i operacyjnych w celu zabezpieczenia i pogłębienia pełnego rozpracowania osobowego.

• Rozpoznanie i ujawnienie ewentualnych nawiązanych kontaktów z przedstawicielami ośrodków dywersji ideologicznej.

• Niedopuszczenie do uprawiania działalności antysocjalistycznej czy antykomunistycznej przez członków poszczególnych zespołów zagranicznych.

• Prowadzić rozpoznanie i ujawnianie elementu warcholskiego i destrukcyjnie oddziałującego na środowiska twórcze, popierających wrogie prądy i działających przeciwko linii partii.

• Uzyskanie informacji wyprzedzających i warunkach, które mogą sprzyjać prowadzeniu wrogiej działalności ze strony przedstawicieli państw kapitalistycznych”.

Powyższy tekst pokazuje, jakie zagrożenia wydawały się policji politycznej najgroźniejsze w czasie tego wydarzenia artystycznego. Szczególnie groźna dla systemu komunistycznego mogła być wymiana poglądów. No i oczywiście przy tej okazji poszukiwano „elementu warcholskiego”.

¹ W ramach tworzenia systemów zbierania i przetwarzania zdobytych informacji SB przyporządkowywała poszczególnym zagrożeniom odpowiednie kody cyfrowe.

By zrealizować te ambitne cele, trzeba było najpierw zapewnić sobie dostęp do „informacji z pierwszej ręki”. Dlatego postanowiono użyć tajnego współpracownika o ps. „Zamian” oraz kontaktu operacyjnego opatrzonego kryptonimem „KM”. Do tego dochodziły informacje, jakie zamierzano uzyskiwać od organizatorów imprezy na drodze oficjalnych rozmów, z których sporządzano notatki służbowe (tzw. informacje od kontaktów służbowych). Sieć informatorów oczywiście otrzymała instrukcje, na co należy zwrócić uwagę i na których osobach się skupić. Standardowo informatorzy mieli meldować o wszystkim, a selekcją informacji zajmował się oficer SB przyjmujący doniesienie.

Jeszcze przed rozpoczęciem imprezy, bielska SB zebrała informacje o zespolach uczestniczących w festiwalu. Było to konieczne dla pisania scenariusza przez policję polityczną. Po pierwsze zatroszczono się o eliminację przypadkowości w zakwaterowaniu gości, zwłaszcza tych z Zachodu. Bielska SB miała wpływ na przydział miejsc noclegowych „ze względów operacyjnych”. Za tym eufemistycznym stwierdzeniem kryje się dość oczywista sprawa. Mianowicie ci, którzy wydawali się podejrzani, musieli być rozmieszczeni w takich miejscach, do których w razie potrzeby, np. konieczności założenia podsłuchu bądź przeszukania pokoju, mieli dostęp pracownicy techniki operacyjnej SB. Jak widać, na każdym kroku „lalki z KK” miały być inwigilowane. Dodatkowo planowano zwerbować w charakterze tajnego współpracownika jednego z tłumaczy, aby uzyskać informacje z „pierwszej ręki”, a właściwie „z pierwszego języka”.

Wszystko gotowe, można zaczynać

Dnia 19 maja 1976 r. festiwal się rozpoczął. Pracownicy SB odetchnęli trochę, gdyż jeden z najważniejszych zapowiedzianych gości, a mianowicie ambasador Indii w Polsce, odwołał swój przyjazd. W ten sposób automatycznie odpadło wiele obowiązków związanych z ochroną dyplomaty i zapewnieniem mu bezpieczeństwa. Oczywiście w tym przypadku nie spodziewano się jakichś zamachów terrorystycznych na życie ambasadora, ale wiadomo, że przy okazji wizyty takiego gościa mogły wyniknąć jakieś wpadki i niedociągnięcia.

Impreza rozpoczęła się tradycyjnymi przemowami notabli z lokalnych władz PZPR. Był też obecny wicewojewoda oraz dyrektor Departamentu Ministerstwa Kultury i Sztuki. Jak we wszystkich tego typu wydarzeniach,

przemówienia były zapewne dość długie i mało treściwe, ale taki był urok owych czasów. Dopełnieniem inauguracji było otwarcie wystawy lalek orientalnych w Muzeum Okręgowym i wystawy plakatu w Wojewódzkim Biurze Wystaw Artystycznych (BWA). Wśród uczestników były dwa zespoły z Francji i po jednym z Danii, Belgii, Szwecji, Kanady, USA, RFN, Algierii, oraz grupa z dalekiej Japonii. Z opóźnieniem dojechali artyści z Indii. Oczywiście byli też reprezentanci „bratnich narodów” z: Jugosławii, Mongolii, Czechosłowacji, Bułgarii, NRD, Rumunii i ZSRS. Skład uzupełniały zespoły polskie z Krakowa, Warszawy, Poznania, Opola, Lublina oraz gospodarz – Państwowy Teatr Lalek (PTL) „Banialuka” z Bielska-Białej. Wszystko to, co się działo na festiwalu i wokół niego, od samego początku było bacznie obserwowane przez pracownika teatru, a zarazem kontakt operacyjny „KM”, który skwapliwie donosił właściwie o wszystkim bielskiej SB. Pierwszego dnia nie zauważył niczego podejrzanego oraz stwierdził, że nikt z pracowników teatru „Banialuka” nie podejmował rozmów z cudzoziemcami.

Kontakt operacyjny, niejako przy okazji, nie omieszkiał przekazać SB garści plotek o obsadzie teatru „Banialuka”. W opisach zawartych w doniesieniach „miłość bliźniego” jako żywo nie znajduje zastosowania. Denuncjator z lubością „obsmarował” jednego z reżyserów, nazywając go „cwaniakiem” i „pijakiem”. Szczegółowo opisał też jego życie towarzyskie, kończąc dosadnie, że jest to reżyser słaby.

Dla SB jedną z najważniejszych informacji, która napłynęła z festiwalu było to, że spektakle nie zawierały akcentów politycznych. Jak uczono funkcjonariuszy, scena teatralna była groźną bronią w rękach przeciwników „demokracji ludowej”, podając zapewne przykład inscenizacji „Dziadów” w reżyserii Kazimierza Dejmka i wydarzeń z 1968 r. w Polsce. Tak więc z pewnym niepokojem obserwowano kolejne spektakle i analizowano, czy przypadkiem nie zawierały jakichś wrogich treści. Nie było to więc zajęcie ekscytujące, ale służba nie drużba. Kolejne dni festiwalowe nie potwierdziły obaw SB. Na bielskich scenach kwitła sztuka, a nie polityka. Niejako przy okazji funkcjonariusz bielskiej SB nabral kultury i ogłady, występując w roli widza-cenzora.

Normalnym było, że oprócz występów artystycznych, goście festiwalowi chcieli zwiedzić miasto i okolice. Starannie więc zadbano o zapełnienie im wolnego czasu, organizując spotkania w okolicznych zakładach pracy. W tym przypadku dyrekcja owych przedsiębiorstw i część załogi była angażowana do

przedstawienia dla „lalek z KK”, by pokazać zakład z jak najlepszej strony. Jak wiadomo, tworzenie iluzji na potrzeby ważnych gości było tak stare jak PRL i „malowanie trawy na zielono”, w związku z wizytą towarzyszy z PZPR czy zagranicznych delegacji, nie było niczym nowym w systemie „demokracji ludowej”. Bielsko jako ośrodek włókienniczy mogło pokazać „lalkom z KK” materiały tekstylne. Rzeczywiście załoga „Lantexu” zachwycała gości różnorodnością i starannym wykonaniem tkanin własnej produkcji. Inną kwestią było, czy rzeczywiście taki asortyment trafiał do polskich sklepów, czy jedynie dyrekcja zakładu miała gotowy „zestaw pokazowy” dla ważnych gości. Z oczywistych względów nie dało się przed przybyszami ukryć wszystkiego. Nawet potężna SB nie była w stanie zaangażować do swego spektaklu wszystkich mieszkańców miasta i równocześnie uzupełnić niedoborów w sklepach. Tak więc goście musieli zauważyć i zauważyli kolejki, zwłaszcza przed sklepami mięsnymi. W rozmowach zwracali uwagę na zbyt wysokie ceny samochodów i materiałów ubraniowych w stosunku do otrzymywanych poborów. Nawiasem mówiąc, „lalki z KK” nie zdawały sobie sprawy z twardej rzeczywistości PRL. „Przejściowe trudności w zaopatrzeniu” funkcjonujące w PRL od końca wojny do 1989 r. powodowały, że podstawowym problemem był nie brak gotówki, ale brak możliwości nabycia produktów w sklepie. Tak więc owe samochody może były i drogie, ale większy problem stanowiło to, że nie tak łatwo było je nabyć.

Na jednym ze spotkań wywiązała się ciekawa dyskusja na temat udziału urzędników w strukturze zatrudnienia. „Lalki z KK” podnosiły, że wskaźnik 32 proc. urzędników wśród ogółu zatrudnionych jest bardzo wysoki. Sytuację ratował uczestnik z Węgier, *nota bene* student marksizmu, z dumą mówiący, że w jego kraju ten udział był jeszcze większy i sięgał 40 proc. W tym przypadku SB zapewne nie martwiła się rozmowami na temat gospodarki państw socjalistycznych. Była to tak zawiła sprawa, że wiele tęgich głów w Polsce czy krajach „bloku” nie była w stanie wytłumaczyć „jak to funkcjonuje”, więc przybysze z zachodu Europy tym bardziej w tak krótkim czasie nie mogli pojąć istoty problemu.

Gospodarze postanowili też uhonorować gości bankietem. Przygotowań było co nie miara, a cała impreza odbyła się w karczmie „Rzym” w Suchej Beskidzkiej. Zapowiedzi były obiecujące, rezultat natomiast średni. Okazało się, że był to bankiet na „skalę naszych możliwości”. Huczne słowo „bankiet” sprowadziło się do skromnego poczęstunku złożonego z „żurku beskidz-

kiego”, kotleta, piwa i kilku kieliszków wódki. Tak więc polska tradycyjna gościnność w peerelowskim wydaniu wypadła dość blado. Mimo skromnych warunków, goście bawili się dość dobrze, a prym wiedli artyści z Kijowa, którzy weszli w komitywę z Duńczykami. Cichaczem pytano „lalki z KK”, czy przypadkiem nie przywiozły jakichś towarów, które mogłyby sprzedać. Okazało się, że goście nie mieli nic do zaoferowania.

Zresztą temat handlowy miał swoje znaczenie w kuluarach festiwalu. Ze-spół z ZSRS miał bowiem do zaoferowania pięknie haftowane obrusy. Chyba jednak najszczęśliwsi w całym towarzystwie byli artyści z Rumunii. W Bielsku-Białej mogli bez problemów nabyć piecyki elektryczne i gazowe, które w ich kraju były zjawiskiem dość rzadkim, a wręcz egzotycznym. Kolorytu dodawali przybysze z dalekiej Mongolii, którzy nagminnie jeździli autobusami MPK „na gapę”. Jeśli chodzi o życie towarzyskie, palma pierwszeństwa należała się „lalkom z Jugosławii”. W kawiarni Domu Wypoczynkowego „Lenko” bawili się przednio, spożywając spore ilości mocnych trunków. Jak jednak akcentowało kierownictwo i obsługa, zachowywali się bardzo dobrze i nie było mowy o ekscesach. Zresztą przez cały czas trwania festiwalu było bardzo spokojnie i jedynym incydentem było zgubienie portfela przez jednego z artystów z Jugosławii.

Esbek na widowni, czyli o ciężkiej służbie na festiwalu

Zarówno festiwal, jak i jego otoczka, były bacznie obserwowane przez SB. Sprawujący kontrolę nad wydarzeniami por. Józef Lachendrowicz trzymał rękę na pulsie. Praktycznie codziennie otrzymywał świeże informacje i plotki od kontaktu operacyjnego „KM”. Właściwie te meldunki w pełni wystarczyły do zorientowania się w tym, co się działo na festiwalu i obok niego. Ten kanał informacyjny działał bardzo sprawnie, bowiem rzeczywiście informator miał niewątpliwie dobry zmysł obserwacji i potrafił zawsze dotrzeć tam, gdzie działo się coś ciekawego. Dla pracownika SB była to więc sprawa „lekka, łatwa i przyjemna”. Dla pewności porucznik SB dodatkowo rozmawiał z polskimi opiekunami poszczególnych grup „lalek z KK”, by wypytać ich o nastroje gości i ciekawe, niekoniecznie artystyczne, wydarzenia festiwalowe. Jak się okazało potem z doniesień, które napłynęły od informatorów, tym działaniem mocno nastraszył indagowanych. Wytworzyło się bowiem przekonanie wśród organizatorów, że „SB wie wszystko”. To niewątpliwie spowodowało, że w kontaktach z uczestnikami festiwalu z zagranicy prowadzono rozmowy

stricte na tematy artystyczne, ważąc przy tym każde słowo. Na wieść o tym pracownik SB uśmiechał się zapewne z zadowoleniem. Osiągnął bowiem pełny sukces w postaci strachu i podejrzliwości. Przecież nierealne było, by SB upilnowała kilkuset uczestników spotkania i zapobiegła prowadzonym dyskusjom. Ważne było, by wbić do głowy „polskim lalkom”, że SB i tak dowie się o wszystkim. To tak, jak z zasłyszaną autentyczną historią z życia cenzora prasy na Dolnym Śląsku na początku lat 50. Człowiek ten opowiadał, że niezwykle się nudził w pracy, bo w sumie nie musiał nic z artykułów skreślać. Najpierw bowiem autor dokonywał autocenzury, potem „ciął tekst” korektor, a na końcu redaktor naczelny nie robił nic innego, jak tylko sprawdzał, czy nie znajduje się w nim coś przeciwko „władzy ludowej”. Po tych zabiegach właściwy cenzor prasy nie miał nic do roboty. Dla pracy UB, a potem SB, najważniejsze było zastraszenie i przekonanie całego społeczeństwa, że policja polityczna wie o wszystkich poczynaniach obywatela. Oczywiście było to nierealne, ale przekonanie takie funkcjonowało i było skutecznym elementem „profilaktyki” aparatu bezpieczeństwa.

Praca przy „obsłudze” festiwalu dla por. Józefa Lachendrowicza nie była zajęciem zbyt obciążającym. Z jednej strony podejmowane czynności były standardowe, a procedury już dawno wypracowane. Nie trzeba się było zbytnio wysilać intelektualnie, pisząc plany czynności, a potem sprawozdania z ich przebiegu, bo wystarczyło sięgnąć do archiwum i wyjąć sprawę zabezpieczenia wcześniejszej imprezy tego typu. Tak więc siermiężne zdania z zachowanych dokumentów opisujące rodzaj „zagrożeń” dla PRL związanych z przybyciem do Bielska-Białej „lalek z KK”, były zapewne powielane po wielokroć z roku na rok. Także opisana w planie skala rzekomych zagrożeń związanych z tą imprezą artystyczną była niewątpliwie mocno już archaiczną i przesadzoną kalką sprzed lat.

Każdy myśli swoje. Po co ten festiwal i komu zagrażał?

Międzynarodowy Festiwal Teatrów Lalkowych był spotkaniem artystów z całego świata i tak naprawdę najważniejsza w nim była sztuka, a nie polityka. Dzięki niemu mieszkańcy Bielska-Białej i widzowie z całej Polski mogli w ramach imprez festiwalowych zobaczyć sztukę lalkarską na najwyższym światowym poziomie. Nie tylko artyści z Polskiego Teatru Lalki i Aktora, Sceny Młodych z Poznania, Państwowego Teatru Lalki i Aktora z Lublina, Teatru Lalki i Maski „Grotteska” z Krakowa, Teatru Lalek „Baj” z Warszawy czy miej-

scowego PTL „Baniałuka” pokazywali swe możliwości na scenie. Byli również goście z Teatru Lalek z Kijowa czy takie zespoły jak: Teatrul De Papusi z Rumunii, Kazalsite Lutaka z Jugosławii czy Divadlo Deti Alfa z Czechosłowacji i jeszcze kilka grup z „bloku komunistycznego”. Najważniejsze było to, że przyjechali również artyści z „żelaznej kurtyny”, z zachodu Europy. Przecież po 1945 r. sztuka europejska nie rozwijała się równomiernie. Postęp miał w niej miejsce niejako dwutorowo, w związku z „żelazną kurtyną” i podziałem kontynentu na dwa wrogie obozy. Dla rozwoju artystycznego hamowanie swobody wymiany myśli było czymś niezwykle szkodliwym. Stąd tak ważne były spotkania artystów z danej dziedziny z całego kontynentu, a nawet świata. Do takich właśnie imprez należał Międzynarodowy Festiwal Teatrów Lalkowych w Bielsku-Białej. To przecież w jego ramach do Polski przyjechały grupy: Youth Puppet Theatre z Indii, Lampion Puppet Theatre z Kanady, Dockteatren ze Szwecji, Théâtre Sur le fil z Francji, Le Theatricule z Francji, Dick Myers Puppet Theatre z USA i jeszcze kilka innych; w tym zespoły z takich egzotycznych krajów, jak Algieria, Mongolia czy Japonia.

Spotkanie grona artystów z całego świata służyło rzeczywiście wymianie poglądów, ale nie w ten sposób jak podejrzewała SB. Nie chodziło o jakąś agitację polityczną czy ideologiczną. Po prostu lalkarze całego świata spotykali się, by pokazać publiczności, a także, co równie istotne, sobie nawzajem, jak rozwija się ta dziedzina teatru. Komunikacja społeczna w latach 70. nie była czymś tak oczywistym, jak w dobie internetu i błyskawicznego przepływu informacji. W środkach masowego przekazu w Polsce w tym okresie emisja spektaklu lalkowego z Zachodu czy Indii była mało prawdopodobna. Stąd istotna rola festiwalu.

Kurtyna opada. Widzowie i artyści idą do domów

26 maja 1976 r. VII Międzynarodowy Festiwal Teatrów Lalkowych w Bielsku-Białej dobiegł końca. Zadowoleni artyści i widzowie ruszyli w drogę do domów. Także por. Lachendrowicz mógł z zadowoleniem napisać:

„W trakcie trwania festiwalu nie stwierdzono propagowania idei i postaw antysocjalistycznych, jak również nie ujawniono nieuzasadnionego nawiązywania kontaktów obywateli polskich z przedstawicielami KK”.

Tak więc także i SB zakończyła swoją sztukę, a jej scenariusz, czyli rozprawowanie obiektowe kryptonim „Baniałuka” nr ewidencyjny BB 1437, złożono do archiwum. Za rok można je było znów wygrzebać, by we właściwy

sposób przygotować aparat bezpieczeństwa do zadań związanych z ochroną stroju przed nowymi/starymi zagrożeniami stwarzanymi przez pacynki i marionetki. A za najważniejsze sznurki miał znów pociągać jakiś oficer SB.

Źródła:

Akta z zasobu Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Katowicach: sygn. IPN Ka 012/30, Sprawa obiektowa „Banaluka”; sygn. IPN Ka 012/31, Sprawa obiektowa „Marionetka”; sygn. IPN Ka 012/65, Sprawa obiektowa „Lalka”.

Źródła ilustracji

Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Katowicach:
s. 81, 84, 87, 95, 98

Archiwum Państwowe w Katowicach:
s. 30, 46, 49

Muzeum w Gliwicach:
s. 18, 21, 122

Fotografie własne:
s. 133, 142

Fotografia udostępniona w serwisie Allegro przez
justyna.malopolska@vp.pl (za zgodą aut.):
s. 68

Spis treści

Wstęp	3
Bogusław Tracz, Na froncie walki o „masę mięsną”	9
Sebastian Rosenbaum, Przeciw „krucjacie rewanżystów”. Służba Bezpieczeństwa w walce z „zachodnioniemieckim rewizjonizmem”	27
Adam Dziuba, Zamachowiec z Zagórza	45
Adam Dziuba, Radiotelewizor „Rekord”, czyli na tropie szpiega	65
Łucja Marek, Tajemnicza, czyli antypaństwowa korespondencja	79
Monika Bortlik-Dźwierżyńska, Pociąg do wolności	93
Grzegorz Bębniak, Od dysydenta do pacjenta	105
Tomasz Kurpierz, „Uwzględnimy specyficzną osobowość de Gaulle’a”. Zabezpieczenie przez Służbę Bezpieczeństwa ważnej delegacji na przykładzie wizyty prezydenta Francji w województwie katowickim w 1967 r.	111
Mirosław Sikora, Praca, „wino, kobiety i śpiew”, czyli na Studenckich Praktykach Robotniczych	127
Ryszard Mozgól, „Jastrzębie porządki” w gołębniku	153
Michał Szynkiewicz, Operacja „Obiekt”, czyli SB na Mistrzostwach Świata i Europy w Hokeju na Lodzie w Katowicach (8-25 kwietnia 1976 r.)	171
Dariusz Węgrzyn, Marionetki na łańcuchu	187
Źródła ilustracji	197

